tygodnikprzegląd.pl

Przegląd

Nr 42 (1345)
13-19.10.2025
Cena 9,80 zł
(w tym 8% VAT)

Prof. Roman Broszkiewicz
Październik 1956

Andrzej Sikorski
Longines pani Glapiak

Michał Kuczmierowski,
człowiek Morawieckiego

ZOSTAWILI DŁUGI I PUSTĄ KASĘ

RZĄD DWUTYGODNIOWY

WILCZE DOŁY KACZYŃSKIEGO

ISSN: 1509-3115 Indeks: 353299

ISSN 1509 3115
42 >
9 771509 311508

TEATR CAPITOL

GRAMY W CAŁEJ POLSCE!

POLSKA PRAPREMIERA
wrzesień 2025

PÓŁ ŻARTEM...

tłumaczenie tekstu
i reżyseria
OLAF LUBASZENKO

autor PETER QUILTER

Piotr **BONDYRA** Jakub **DMOCHOWSKI** Pola **GONCIARZ** Robert **JANOWSKI** Justyna **JELEŃ**
Jakub **KWAŚNIEWICZ** Olaf **LUBASZENKO** Anna-Maria **SIEKLUCKA**
Jacper **SOŁTYSIEWICZ** Michalina **SOSNA** Beata **ŚLIWIŃSKA** Krzysztof **WIESZCZEK**

• KUP BILET TEATR CAPITOL • www.teatrcapitol.pl

Patroni Medialni

Partnerzy Teatru

TEATR CAPITOL, ul. Marszałkowska 115, 00-102 Warszawa, tel. 22 620 21 42, www.teatrcapitol.pl

eprasa.pl c0e04ea7c4

Jerzy Domański

MÓJ PRZEGLĄD

Murem za Żurkiem

Kto ma największy udział w niszczeniu praworządności i rozwaleniu sądownictwa? Odpowiedź jest oczywista. Prezes Kaczyński, polityk, który niczego nie podpisuje i zawsze wysługuje się kimś innym. Najlepszy w Polsce specjalista od sprytnego żonglowania ludźmi i stanowiskami. I jeszcze lepszy w straszeniu wszystkich, którzy stają mu na drodze. Po przeszło 30 latach wypełnionych szalbierstwami i deprecjonowaniem wszystkich słów ważnych dla Polaków, z takimi słowami jak prawo i sprawiedliwość włącznie. Po wypraniu ich przez Kaczyńskiego niewiele już znaczą. A przynajmniej nie to, co jest zapisane w podręcznikach i wykładane na uczelniach.

Jeśli jednak ktoś myśli, że Kaczyński już kończy demolkę całego systemu, na którym opiera się państwo, grzeszy naiwnością. Najnowszy przykład obsesji tego największego szkodnika to chamska napaść na ministra Waldemara Żurka, który krok po kroku próbuje wyciągać sądownictwo z głębokiej zapaści. Prezes grozi ministrowi Żurkowi, że „powinien się znaleźć, i to na bardzo długie lata, w państwowych zakładach karnych". Nie trzeba chyba lepszego dowodu na to, jak bardzo Kaczyński jest spanikowany aktywnością i pomysłowością ministra sprawiedliwości i prokuratora generalnego. Do niego i do tej grupy polityków PiS, których słusznie zalicza się do zorganizowanej grupy przestępczej, zaczyna docierać, że w wyborach parlamentarnych za dwa lata mogą brać udział tylko wtedy, jeśli służba więzienna zrobi punkty wyborcze. Bardzo wielu Polaków czeka na to, że za przekręty finansowe i dojenie państwa na wiele sposobów wreszcie przyjdzie PiS odpowiedzieć. Dlatego nie tylko warto, ale wręcz trzeba słowem i czynem wspierać wysiłki Waldemara Żurka.

Propozycje zawarte w tzw. ustawie praworządnościowej mają sens. I gdyby uzyskały akceptację prezydenta Nawrockiego, mogłyby przywrócić prawidłowe funkcjonowanie wymiaru sprawiedliwości. Nasz kraj przestałby płacić gigantyczne odszkodowania za chaos, jaki wprowadzają wadliwie powołani neosędziowie i wydawane przez nich wyroki. Ktokolwiek by był ministrem sprawiedliwości, musi przeciąć tę paranoję wymyśloną przez Ziobrę przy akceptacji Dudy. Nie jestem naiwny i nie wierzę w dobrą wolę prezydenta Nawrockiego. Co oznacza, że bez społecznego wsparcia minister Żurek nie da rady.

W lipcowym numerze „Przeglądu" Waldemar Żurek był bohaterem okładki z tytułem „Po czynach go poznamy". Po dwóch miesiącach mogę dopowiedzieć: murem za Żurkiem.

BĄKOWSKI

eprasa.pl c0e04ea7c4

W NUMERZE

KRAJ

8 **Wilcze doły Kaczyńskiego**
Operacja „rząd dwutygodniowy”
12 **Boska cześć Agnieszki Glapiak**
Z MON do KRRiT… i przed sąd
15 **Ścigany – Michał Kuczmierowski**
Wraca jedna z największych afer PiS
18 **Szymon, coś ty narobił?**
Scenariusze dla Polski 2050 i koalicji
22 **Powtórka z rozrywki**
Odgrzewany projekt polityczny Nowa Polska
24 **Paradoks szkolnej wycieczki**
Nauczyciel pracuje, lecz nie zarabia
28 **Trzeba się skarżyć na złe traktowanie**
– rozmowa ze Stanisławem Brzozowskim

HISTORIA

32 **Październik 1956**
z perspektywy klubów inteligencji
Majstersztyk reżyserii?

ZAGRANICA

38 **Europejski papierek lakmusowy**
Wygrana Babiša – kłopot dla UE
42 **Flotylla i demokracja**
Korespondencja z Włoch
45 **Francuski dług wobec Trypolisu**
Korespondencja z Francji

KULTURA

48 **Chopina portret psychologiczny**
– rozmowa z Michałem Kwiecińskim
52 **Nawet gdy znikniemy, Chopin zostanie**
– rozmowa z prof. Marcinem Gmysem
55 **Sztuka słuchania**
Nike dla Elizy Kąckiej
57 **Prorok końca świata**
László Krasznahorkai z literackim Noblem
58 **Qulturalia**
66 **Arcana Fabularum Malwiny de Bradé**
Tajemnice zapomnianych baśni

SPORT

60 **Dobrze się strzela po setce**
Młodzi zdolni za mało grają

FELIETONY I KOMENTARZE

3 **Jerzy Domański**
Murem za Żurkiem
27 **Jan Widacki**
Mamy z Litwinami ogromny skarb wspólnego dziedzictwa
31 **Andrzej Romanowski**
Słabnięcie państwa
37 **Stanisław Filipowicz**
Kto kogo powinien się bać?
41 **Roman Kurkiewicz**
Jednostronnie, z premedytacją
51 **Tomasz Jastrun**
Koń i kartofel
59 **Wojciech Kuczok**
Mizantrop nobliwy

55
KULTURA

SZTUKA SŁUCHANIA
Nike dla Elizy Kąckiej

60
SPORT

DOBRZE SIĘ STRZELA PO SETCE
Młodzi zdolni za mało grają

66
GALERIA

ARCANA FABULARUM MALWINY DE BRADÉ
Tajemnice zapomnianych baśni

Projekt okładki: Daria Słowińska-Kettner

FOT. JACEK DOMIŃSKI/REPORTER

eprasa.pl c0e04ea7c4

Wędrując przez Polskę

Wędrując przez Polskę

Po felietonie Andrzeja Romanowskiego trzeba to powiedzieć otwarcie: te pomniki są tak złej jakości artystycznej, że szpecą polską przestrzeń miejską. A przy tym upamiętnienia Lecha Kaczyńskiego są moralnie obciążone manią brata, który, manipulując widmem zamachu, wręcz odarł tę pamięć z majestatu śmierci. Tak było od początku, od wmuszenia Dziwiszowi pochówku na Wawelu między przed- i popołudniem, nachalnie i samowolnie, wbrew protestom artystów i zastrzeżeniom konserwatorów. Z cyniczną świadomością, że chwila żałoby i uległość kardynała stwarzają niepowtarzalną szansę, bo zasługi Lecha same w sobie nie były aż tak duże, żeby je podnosić do godności królewskich sarkofagów. Żadne wspinanie się na palce nie sprawi jednak, by godzący się na kierowanie nim z tylnego siedzenia brat („melduję wykonanie zadania") stał się w pamięci Polaków drugim Piłsudskim. Prawdziwe sławy rosną w ciszy.

Andrzej Lam

35 lat religii w szkole i coraz szybsza laicyzacja

Religię wprowadzono do szkół jako element układu premiera i kandydata na prezydenta RP Tadeusza Mazowieckiego z Kościołem katolickim w sprawie poparcia w wyborach prezydenckich. Ale księża i tak poparli Wałęsę. Dwóch wybitnych i mądrych ludzi, bardzo się różniących – prof. Władysław Bieńkowski i ks. prof. Józef Tischner – uważało, że szkolna katecheza będzie czynnikiem przyśpieszonej laicyzacji. Nie byli jedyni.

Włodzimierz Zielicz

•

Gdy byłem smarkiem, lubiłem chodzić z babcią do kościoła. Szczególnie wieczorami. Atmosfera była niesamowita, półmrok rozświetlony świecami, zapach wosku i kadzidła, rzeźbiony ołtarz błyszczący pozłacanymi ozdobami. I głos księdza unoszący się nad wiernymi z ambony. A w tle muzyka organowa i odbicia światła w witrażach. Przed kościołem wchodzących witali proboszcz i organista, każdego z szacunkiem i bez podawania ręki do całowania. To tam mówiono o potrzebach kościoła i ustalano, czy coś kupić, czy może ktoś umie coś naprawić. Salka do lekcji religii też miała swój urok i atmosferę. Tak było. A teraz do klasy przychodzi katechetka czy ksiądz, sala lekcyjna bez wyrazu, obwieszona tablicami z kserowanymi rycinami i tekstami, gdzieś jakiś ołtarzyk bez sensu. I? Brak atmosfery, brak chętnych.

Krzysztof Szyd

Uniwersytety na sprzedaż

Uniwersytety na sprzedaż

Skoro sytuacja szkolnictwa wyższego jest zła (bo jest), to proszę jeszcze przyjrzeć się sytuacji oświaty. Tu jest bardzo źle. Następuje odpływ młodych i zdolnych osób ze szkół, bo trudno się utrzymać z ochłapów. Pensje nauczycieli nadal nie są powiązane ze średnią krajową. Zarobki nauczycieli początkujących są tylko nieznacznie wyższe od minimalnej krajowej. O jakim podniesieniu prestiżu zawodu nauczyciela mówi pani minister edukacji, jeśli wymagania stawiane polskim nauczycielom są europejskie, pensje zaś erytrejskie?

Damian Paweł Strączyk

ZDJĘCIE TYGODNIA

Nobel nie dla Trumpa. Norweski Komitet Noblowski pozostał nieugięty wobec natarczywości Donalda Trumpa i tegoroczną pokojową nagrodę przyznał liderce wenezuelskiej opozycji, Maríi Corinie Machado.

FOT. PEDRO MATTEY/AFP/EAST NEWS

eprasa.pl c0e04ea7c4

Zmarł prof. Adam Strzembosz (95 lat). Legendarny sędzia. W latach 1990--1998 był pierwszym prezesem Sądu Najwyższego, a od 1994 do 1998 r. przewodniczącym Krajowej Rady Sądownictwa. W latach 80. działał w opozycji. Jako uczestnik obrad Okrągłego Stołu przewodniczył podzespołowi ds. reformy prawa i sądów. Wielokrotnie protestował przeciwko reformom sądownictwa wprowadzanym przez PiS i prezydenta Dudę. Był symbolem obrony niezależności wymiaru sprawiedliwości.

•

Neosędziowie są coraz drożsi. Trybunał w Strasburgu ma do rozpatrzenia ok. 1 tys. skarg przeciw Polsce z powodu prowadzenia spraw sądowych przez osoby wadliwie powołane. Z analizy 91 spraw już zakończonych przez trybunał wynika, że **neosędzia Joanna Lemańska** kosztuje skarb państwa 45 tys. euro, a **neosędzia Maria Szczepaniec** 52,5 tys. euro. Może jednak to one zapłacą?

•

Parlament Europejski **odebrał immunitety europosłom PiS Michałowi Dworczykowi i Danielowi Obajtkowi.** Teraz będą odpowiadać przed polską prokuraturą w sprawach, których dotyczyły wnioski.

•

Agnieszka Kopacz, nauczycielka polskiego i informatyki w I LO im. Marii Skłodowskiej--Curie w Sopocie, została **Nauczycielką Roku 2025.** Konkurs organizują „Głos Nauczycielski" i Ministerstwo Edukacji.

•

Ministerstwo Spraw Wewnętrznych i Administracji poinformowało o 52 tys. przypadkach nienależnego pobrania przez Ukraińców świadczenia 800+. Na kwotę ponad 80 mln zł.

•

Jacek Stawiski został **nowym redaktorem naczelnym „Tygodnika Powszechnego".** Jest dziennikarzem telewizyjnym i radiowym (RMF FM, TVN 24), publicystą prasowym i podkasterem.

•

Collegium Humanum, dziś jako Varsovia, działa, jakby nie było gigantycznej afery z wystawieniem tysięcy fikcyjnych dyplomów. Właściciel uczelni i były rektor Paweł C. opuścił areszt i wbrew prawu zakulisowo zarządza uczelnią. Szczególną paranoją są tysiące studentów psychologii (9,3 tys.) odbywających studia online.

•

Nie będzie fabryki pomp ciepła w Dobromierzu (woj. dolnośląskie). Miała kosztować 1,2 mld zł i zatrudniać 500 osób. Niemiecki koncern Bosch wstrzymał inwestycję.

•

W czasach rządów PiS minister obrony Mariusz Błaszczak za ponad 14 mld zł kupił samoloty FA-50 produkcji koreańskiej bez uzbrojenia. Jak więc mogą skutecznie dyżurować w czasie potencjalnych ataków?

•

Klaudia Zwolińska wywalczyła dwa złote i brązowy medal na mistrzostwach świata w kajakarstwie górskim rozgrywanych w Australii. Jest pierwszą zawodniczką w historii z takim osiągnięciem na jednych zawodach.

•

Oddano do użytku całą liczącą 310 km trasę **Via Baltica.** Od granicy z Litwą w Budzisku do Warszawy. Ostatnim odcinkiem była 13-kilometrowa obwodnica Łomży.

PRZEBŁYSKI

Polski prezydent wybiera polskie woreczki

Pewno nie słyszeliście o firmie Luna Corporate. Ale od czego jest prezydent Nawrocki? Znowu zadziwił świat. Tym razem, zażywając na sesji ONZ woreczki nikotynowe. Jeden z asystentów podał mu woreczki nikotynowe marki 77 o smaku miętowym. Podobny produkt Nawrocki zażył podczas debaty prezydenckiej z Rafałem Trzaskowskim. Nie był to snus, bo snusy, jak mówią fachowcy, zawierają liście tytoniowe. A w woreczku jest sama nikotyna z dodatkiem aromatów smakowych i zapachowych.

Michał Kozłowski, prezes firmy Luna Corporate, chwali się tym, że polski prezydent wybiera polskie woreczki. Reklamuje to w pięciu językach. Właścicielem spółki jest Dawid Urban. Większość Polaków krytykuje zachowanie Nawrockiego, ale dzieciom, z którymi jadł kebab, imponuje taki gość z używkami. Brrr…

Pegasus obciąża Sławomira Nowaka

W tej aferze jest wszystko. W roli głównej Sławomir Nowak, kiedyś złote dziecko Platformy Obywatelskiej. Dziś, po dziewięciu miesiącach spędzonych w areszcie, trudno poznać byłego ministra i szefa ukraińskiej agencji drogowej. Zarzuty ma bardzo poważne. Pranie pieniędzy, wielomilionowe łapówki, nieruchomości, cenne obrazy i drogie zegarki. O tym mówi Jacek P., były przyjaciel Nowaka, świadek koronny prokuratury, który u swoich rodziców ulokował sejf, a w nim 4 mln w różnych walutach. Proces toczy się w Sądzie Okręgowym w Warszawie. Jacek P. ma status głównego świadka oskarżenia. Będzie się działo. Już zresztą się dzieje. Sąd Rejonowy w Warszawie umorzył zarzuty przyjmowania przez Nowaka łapówek za załatwianie posad w spółkach skarbu państwa. Trudno to wszystko pojąć. Może akurat tu przydadzą się nagrania z Pegasusa, którym rozpracowywano Nowaka.

Orlen Oil kontra rybnicka parafia

Mieszkańcy Rybnika-Niedobczyc padli ofiarą ks. Dariusza Kreihsa, który odkrył w sobie ducha biznesmena. Najpierw w pandemii koronawirusa za pieniądze wiernych zakupił płyny dezynfekujące i umoczył w Orlen Oil 441 tys. zł. Później założył spółkę produkującą znicze i stracił 100 tys. zł.

Jako proboszcz parafii pw. Matki Bożej Różańcowej przez 16 lat budował nowy kościół. Msze odprawiał w baraku. Gdy Orlen Oil wystąpił z pozwem przeciwko parafii, proboszcza odwołano. Zostawił po sobie 1,1 mln zł długu. Może będzie pierwsza licytacja majątku po księdzu antyszczepionkowcu, z dwiema lewymi rękami.

FOT. aMEM, YOUTUBE, FACEBOOK

eprasa.pl c0e04ea7c4

Z GALERII ANDRZEJA MLECZKI

mleczko.pl

sklep.mleczko.pl

PYTANIE TYGODNIA | Kto ciągnie Koalicję Obywatelską w dół?

PROF. ROBERT ALBERSKI,
politolog, Uniwersytet Wrocławski

Koalicję Obywatelską najbardziej osłabia brak troski o własnych wyborców. Zamiast wsłuchiwać się w ich głos, partia koncentruje się na tym, co powiedzą politycy opozycji, internauci czy wyborcy PiS i Konfederacji. Zupełnie zaś ignoruje tych, którzy faktycznie oddali na nią głos – 6,5 mln na KO w 2023 r. i 10 mln na Trzaskowskiego w tym roku. Kierownictwo KO zdaje się zakładać, że ci wyborcy i tak zostaną, bo nie mają alternatywy. To błędne myślenie, co pokazały ostatnie wybory prezydenckie. Brak zorientowania na potrzeby własnego elektoratu widać choćby przy sporze o edukację zdrowotną. Decyzje podejmowano, patrząc na reakcje wszystkich poza swoimi zwolennikami. Takich przykładów można wskazać wiele w ostatnich dwóch latach, a w gruncie rzeczy ten schemat działania towarzyszy KO od lat, także przed 2015 r.

PROF. RADOSŁAW MARKOWSKI,
profesor nauk społecznych, Uniwersytet SWPS

Spadki w sondażach pokazują jasno, kto ciągnie Koalicję Obywatelską w dół. Przede wszystkim są to Polska 2050 i PSL, które notują rekordowo niskie poparcie. Z ponad 14% uzyskanych jesienią 2023 r. zostało niewiele. To o tyle zaskakujące, że rząd ma na koncie wiele realnych osiągnięć: od programów cywilizacyjnych, takich jak in vitro czy rozwój psychiatrii dziecięcej, po obniżenie inflacji i stabilny wzrost PKB na poziomie 3% rocznie, a więc jeden z najwyższych w Europie. Mimo ogromnych wydatków na obronność i pomoc dla Ukrainy sytuacja gospodarcza pozostaje dobra. Problemem jest raczej brak tożsamości: KO od lat stoi w rozkroku między wizerunkiem partii centrowo-konserwatywnej i progresywno-liberalnej. Nie potrafi jasno określić kierunku po porażce Trzaskowskiego, co osłabia jej wiarygodność.

GALOPUJĄCY MAJOR,
komentator polityczny

Paradoksem KO, a właściwie całej koalicji rządowej, jest to, że Donald Tusk stanowi jednocześnie jej największy atut i obciążenie. To dzięki niemu KO dominuje po „demokratycznej stronie" i przejmuje poparcie mniejszych partnerów, ale to również jego styl i niechęć wobec niego samego sprawiają, że partia nie potrafi przebić sufitu 33%. W wyborach prezydenckich kandydaci Tuska przegrywają raz za razem, a zmiana lidera niewiele by pomogła, bo wciąż byłby to „rząd Tuska", z koalicjantami jako kwiatkami do kożucha. Obecny układ przypomina nieco sojusz Kaczyńskiego z Lepperem i Giertychem: mocny wynik, ale brak zdolności koalicyjnych. Tusk, tak jak Kaczyński, wyciął konkurencję, doprowadzając do pustki intelektualnej w partii. PSL traci wieś, Lewica Czarzastego wygląda na zajętą głównie walką o stołki. Koalicję spajają już tylko anty-PiS i neoliberalne odruchy resortu finansów. Historia może się powtórzyć: KO wróci do władzy, by po dwóch latach znów wszystkich zawieść.

Rozmawiała Weronika Mikusek

eprasa.pl c0e04ea7c4

Robert Walenciak

WILCZE DOŁY KACZYŃSKIEGO

PiS przez dwa miesiące nie chciało oddać władzy

15 października 2023 r. to ważna data w polskiej polityce. Z jednej strony niespodziewane zwycięstwo anty-PiS, tych wszystkich Polaków, którzy mieli dość tamtego państwa. Tamtej atmosfery. Z drugiej – o czym zupełnie zapominamy i w zasadzie to pomijamy – czas znakomicie przeprowadzonej operacji politycznej. PiS musiało oddać władzę, ale oddawało ją przez dwa miesiące. Co pozwoliło zdyscyplinować własne szeregi, ewakuować działaczy na różne synekury i przygotować polityczne wilcze doły, pułapki na następców.

•

Zacznijmy od prostego przypomnienia: PiS przegrało wybory 15 października, choć do końca wierzyło, że jakoś się wywinie. Że wynik będzie bliski remisu, a potem… Mówiono o tym głośno, nawet w tych mniej wtajemniczonych szeregach, „że najpierw zobaczymy, ile mandatów brakuje nam do większości, a potem się dobierze”.

W domyśle chodziło o kilku posłów, których się przeciągnie na swoją stronę jakimiś apanażami czy obietnicami. Jak posła Mejzę, radnego Kałużę czy posłankę Monikę Pawłowską.

Ale październikowy wynik okazał się dla PiS gorszy, partia zdobyła 194 mandaty, opozycja – 248, więc stało się jasne, że o żadnym „dobieraniu” nie ma mowy. Że trzeba będzie oddać władzę.

Wtedy rozpoczęła się operacja, która pozwoliła PiS pozostać u władzy jeszcze przez dwa miesiące. A praktycznie do Nowego Roku. Pozostać u władzy, wydawać pieniądze i zacierać ślady. To dwumiesięczne zachowywanie władzy nie było przypadkiem, ale celową grą.

Pomogli w tym konstytucja i prezydent Duda, który wykorzystał jej zapisy do maksimum. Zresztą jeżeli prześledzimy pisowski odwrót, dwumiesięczne oddawanie władzy, opóźnianie, kluczenie i kłamstwa, to rola Andrzeja Dudy jest w tych działaniach decydująca.

Duda – sługa PiS

Najpierw więc Duda przez miesiąc nie zwoływał nowo wybranego Sejmu. Konstytucja dokładnie opisuje procedurę powyborczą. Pozostawia jednak prezydentowi pewną dowolność. Jej art. 109 stanowi, że pierwsze posiedzenie Sejmu i Senatu prezydent zwołuje na dzień przypadający w ciągu 30 dni od dnia wyborów. Równie dobrze zatem może to być 10 dni po wyborach, jak i 30. Andrzej Duda zwołał je na 13 listopada, 29. dzień od dnia wyborów. PiS bardzo z tego się cieszyło, bo to ono mogło obchodzić święto 11 Listopada i udawać, że nic się nie zmieniło.

Przez ten miesiąc dostaliśmy więc kilka komunikatów. Po pierwsze, że rząd Morawieckiego sprawuje władzę. I tylko on może zapobiec chaosowi. Po drugie, że wybory wygrało PiS. „Wygraliśmy wybory parlamentarne! Trzecie z rzędu!”, wołał w wieczór wyborczy Jarosław Kaczyński – i to stało się dla polskiej prawicy przekazem dnia, a raczej kolejnych dni. Dobrze opłacani komentatorzy klepali w telewizji publicznej tamtych czasów, pisowskiej, że zwycięzcą wyborów jest PiS. Bo zdobyło najwięcej głosów ze wszystkich partii. Suflowano poza tym sugestię, że prowadzone są rozmowy z PSL

eprasa.pl c0e04ea7c4

i różnie mogą się skończyć. Władysław Kosiak-Kamysz mógł codziennie zapewniać, że takich rozmów nie ma, liderzy PiS i pisowscy komentatorzy zachowywali się tak, jakby tych słów nie słyszeli.

Po trzecie, rozdmuchano sprawę konsultacji, które rozpoczął prezydent. Andrzej Duda zaprosił do Pałacu Prezydenckiego liderów partii politycznych, by – jak komunikowano z namaszczeniem – zadać im kluczowe pytania dotyczące przyszłości Polski i podjąć decyzję w sprawie nominowania premiera. Byliśmy świadkami wielkiej bujdy.

Jeszcze zanim zaczęły się konsultacje, Andrzej Duda mówił: „Będę miał przygotowaną listę pytań, w głównej mierze jeżeli chodzi o plany na przyszłość, jeżeli chodzi o najważniejsze zagadnienia, które do tej pory były, jeżeli chodzi o realizację polityki w Polsce. Myślę tutaj o inwestycjach, o kwestiach gospodarczych, energetycznych, obronności".

Zapowiedział też, że zapyta przedstawicieli komitetów o potencjalnych kandydatów na premiera, a także „zada sakramentalne pytanie, czy uważają, że dysponują większością, która pozwalałaby im na przeforsowanie swojego kandydata na premiera".

Zapytał – i nie zrozumiał. Po dwóch dniach konsultacji ogłosił, że ma dwóch poważnych kandydatów na urząd premiera. Prawo i Sprawiedliwość zaproponowało Mateusza Morawieckiego, z kolei Koalicja Obywatelska wraz z Trzecią Drogą i Lewicą – Donalda Tuska. I że obie strony zapewniły go, że mają w Sejmie większość do poparcia swoich kandydatów. W takiej sytuacji zatem „musi rozważyć", komu powierzyć misję tworzenia rządu.

Byliśmy więc świadkami zdumiewającej lekcji rachunków. Przedstawiciele trzech komitetów poinformowali prezydenta, że mają większość liczącą 248 posłów i swojego kandydata na premiera. A Duda udawał, że tego nie słyszy.

„Jest prawda czasu i prawda ekranu", opowiadał jego minister Marcin Mastalerek. I tak mijał czas.

Mamy wspólną wizję

Inauguracyjne posiedzenie Sejmu odbyło się prawie miesiąc po wyborach, niemal w ostatnim możliwym terminie, 13 listopada. Dopiero wówczas można było wybrać marszałka Sejmu, mogliśmy też wtedy się przekonać, że koalicja PO, Lewicy i Trzeciej Drogi realnie istnieje, funkcjonuje i ma większość w Sejmie.

Wszystko było więc jasne. Ale Duda udawał, że tego nie widzi. Grał razem z PiS. Przyjął dymisję Rady Ministrów i natychmiast powierzył Morawieckiemu pełnienie obowiązków do czasu powołania nowego premiera. Czyli do kiedy? Konstytucja w art. 154 stanowi, że prezydent „powołuje Prezesa Rady Ministrów wraz z pozostałymi członkami Rady Ministrów w ciągu 14 dni od dnia pierwszego posiedzenia Sejmu". Sformułowanie „w ciągu" jest tu kluczowe. Może to więc być po dwóch dniach albo dnia czternastego. Duda powołał premiera w ostatnim możliwym terminie – 27 listopada.

Decyzją prezydenta został nim… Mateusz Morawiecki. „Panie premierze, cieszę się, że mogę panu dzisiaj powierzyć tę tekę – mówił Duda, zwracając się do Morawieckiego. – Bardzo dziękuję za konsultacje, zwłaszcza te wczorajsze konsultacje. Mamy absolutnie wspólną wizję rozwoju Polski, mamy wspólną wizję tych priorytetów, które powinny być zrealizowane".

Morawiecki nie pozostawał dłużny. Dziękował za zaufanie i deklarował: „We współpracy z prezydentem będziemy znajdować odpowiednie odpowiedzi na wyzwania".

Obaj panowie rozmawiali tak, jakby powoływany rząd miał rządzić w Polsce co najmniej cztery lata, choć obaj wiedzieli, że będą to maksimum

Te wilcze doły to, po pierwsze, pusta kasa dla następców.

Zaprzysiężenie rządu, od lewej: Szymon Szynkowski vel Sęk, Jacek Ozdoba, Ewa Krajewska, Izabela Antos, Marcin Warchoł, Krzysztof Szczucki, Anna Łukaszewska-Trzeciakowska, Marlena Maląg, Danuta Dmowska-Andrzejuk, prezydent Andrzej Duda, premier Mateusz Morawiecki, Anna Gembicka, Małgorzata Jarosińska-Jedynak, Marzena Małek, Dominika Chorosińska, Mariusz Błaszczak, Dorota Bojemska, Andrzej Kosztowniak, Paweł Szefernaker i Alvin Gajadhur. Pałac Prezydencki, 27 listopada 2023 r.

FOT. JACEK DOMIŃSKI/REPORTER

eprasa.pl c0e04ea7c4

dwa tygodnie. Wszyscy zresztą wiedzieli, świadczył o tym skład rządu. Z trudem można było znaleźć w nim znane nazwisko, głównie byli to albo ministerialni urzędnicy, albo posłowie z dalekich rzędów. Historia Mariusza Błaszczaka, który pozostał na swoim stanowisku, jest jak piękna anegdota. Oczywiście on też nie chciał być dwutygodniowym ministrem i nawet publicznie mówił, że nie będzie. Ale do zmiany zdania przymusił go Jarosław Kaczyński. Skutecznie.

Poza tym w rządzie mieliśmy ministra finansów Andrzeja Kosztowniaka, minister kultury Dominikę Chorosińską, ministra infrastruktury Alvina Gajadhura itd. Nie są to tuzy świata polityki, więc PiS tłumaczyło, że jest to autorski rząd fachowców…

Wróćmy jeszcze do zapisów konstytucji. Otóż stanowi ona, że tak powołany premier musi w ciągu 14 dni przedstawić Sejmowi swój program działania z wnioskiem o udzielenie wotum zaufania. I dopiero gdy wotum nie otrzyma, dzieło wyboru nowego premiera i nowego rządu przechodzi w kompetencje Sejmu. W tym przypadku Mateusz Morawiecki również zdecydował się przedstawić swoje exposé Sejmowi ostatniego możliwego dnia. Czyli 12 grudnia.

W ten sposób koalicja po wygranych wyborach została zablokowana niemal na pełne dwa miesiące.

Rozdajmy do spodu

Jaki był cel tej operacji? Czy było to zaklinanie rzeczywistości? Czy proces wycofywania się na z góry upatrzone pozycje? I czas wykopywania wilczych dołów, żeby następcy mieli trudniej?

Te wilcze doły to, po pierwsze, pusta kasa dla następców. Bo jak nazwać decyzje finansowe, które podpisywali dwutygodniowi ministrowie? Na przykład Dominika Chorosińska, która w dwutygodniowym rządzie kierowała resortem kultury i dziedzictwa narodowego, mogła w tym czasie wydać nawet 500 mln zł.

Tak przedstawiała to w rozmowie z TVN 24 wiceminister kultury Joanna Scheuring-Wielgus: „Pierwszego dnia od razu sprawdziłam, jakie decyzje zostały wydane od 15 października do 12 grudnia. Również te przez dwutygodniową ministrę Dominikę Chorosińską". I czegóż się dowiedziała? „Zapadło ok. 130 najróżniejszych decyzji. Jedne dobre, drugie niedobre. Myślę, że kasa, z tego, co pamiętam, to było ok. 500 mln zł na wszystkie te decyzje. Nie wiadomo, dlaczego one zostały wydane, nie wiadomo, dlaczego ta instytucja albo ta dostała pieniądze, bo to wszystko było bez ładu i składu".

Dwa miesiące pozwoliły na rozprowadzenie tysięcy ludzi. I każdy dzień był tu ważny!

Ministerstwo Kultury to jeden ze skromniejszych resortów. Jak więc sytuacja musiała wyglądać w tych wydających dużo?

W ten sposób rozdysponowano miliardy złotych. Sam Mariusz Błaszczak, szef MON, podpisał w ostatnim dniu roboczym rządu kontrakt na 10 mld zł, na zakup 152 armatohaubic Krab. Dobry wujek! I te ostatnie dwa tygodnie takimi gwiazdkowymi prezentami ministrów się wyróżniały. W ten sposób mogli transferować publiczne środki do zaprzyjaźnionych instytucji czy firm. No i na wiele miesięcy paraliżować możliwości działania następców. Bo wszystkie środki zostały już rozdysponowane.

Miliony za dwa tygodnie

To był, z jednej strony, rajd świętego Mikołaja, z drugiej – dobrze opłacana z państwowej kasy robota.

Jak podliczono, tylko na pensje i odprawy dwutygodniowych ministrów trzeba było przeznaczyć ponad 1,3 mln zł. „Otrzymali oni wynagrodzenia w łącznej wysokości blisko 785 tys. zł brutto. Do tego trzeba doliczyć ekwiwalent za niewykorzystany urlop w wysokości prawie 534 tys. zł", podało później, już po zmianie władzy, Centrum Informacyjne Rządu.

Skąd te sumy? Otóż wprawdzie rząd działał w listopadzie zaledwie cztery dni, ale jego członkowie otrzymali pensje za cały miesiąc. Do tego pensje za grudzień, a także za styczeń. Dwa tygodnie pracy – trzy miesiące wypłat. Dlaczego? „Osoby odwoływane z kierowniczych stanowisk państwowych, w tym również członkowie Rady Ministrów, zachowują prawo do dotychczasowego wynagrodzenia przez okres od jednego do trzech miesięcy, w zależności od tego, jak długo zajmowały dane stanowisko", tłumaczyli urzędnicy Kancelarii Premiera.

Kolejnym kłopotem dla następców byli urzędnicy, których w tym czasie zatrudniono i nowa władza musiała coś z nimi zrobić. Na przykład dzień przed dymisją dwutygodniowego rządu w resorcie sprawiedliwości zatrudniono sekretarza do obsługi ministra z pensją 5 tys. zł i umową na rok. Z kolei w resorcie kultury zatrudniono 1 grudnia dwie osoby z pensją między 7,8 tys. a 8,3 tys. zł. W Ministerstwie Spraw Wewnętrznych i Administracji – pięć osób, w Ministerstwie Zdrowia – sześć osób, w Ministerstwie Klimatu – 13 osób, a w Ministerstwie Spraw Zagranicznych – 10.

Zmieniano też umowy osobom już pracującym, tak by przenieść je do wyższych widełek, żeby wydłużyć okres wypowiedzenia. Część ewakuowała się do różnych agencji czy instytutów. Za czasów PiS potworzono ich wiele, stworzono wręcz sektor „rządowych organizacji pozarządowych", do dziś nowa władza wszystkich nie „odbiła".

Dwa miesiące pozwoliły na rozprowadzenie tysięcy ludzi. I każdy dzień był tu ważny! Przykładem niech będzie Komisja Nadzoru Finansowego. Właśnie upływała kadencja jej szefa, prof. Jacka Jastrzębskiego. Mateusz Morawiecki nie chciał, by następcą Jastrzębskiego został ktoś wskazany przez PO. Udało się! 24 listopada przewodniczący KNF został mianowany na kolejną pięcioletnią kadencję.

Te manewry nie zawsze kończyły się sukcesem. Ale w MSZ Radosław Sikorski zdołał cofnąć niektóre decyzje poprzednika. W styczniu

eprasa.pl c0e04ea7c4

2024 r. minister Domański odwołał Piotra Patkowskiego, byłego wiceministra finansów, ze stanowiska prezesa Polskiej Agencji Nadzoru Audytowego, które objął w listopadzie. Powód – nie miał uprawnień biegłego rewidenta.

Nie powiodła się też próba obrony TVP. 23 listopada ówczesny wicepremier i minister kultury Piotr Gliński wystąpił do Rady Mediów Narodowych z wnioskiem o wyrażenie zgody na zmiany w statutach TVP, Polskiego Radia i PAP. Zmiana polegała na wprowadzeniu zapisu, że w razie likwidacji tych spółek likwidatorami mają być członkowie zarządów spółek. Sąd wniosku nie zdążył rozpatrzyć, bo został on złożony na niewłaściwym formularzu. I na tym skończyła się próba zabetonowania mediów publicznych.

Siła naszych

Owo rozprowadzanie po państwowych instytucjach ludzi związanych ze starą władzą można interpretować w różny sposób. Także uznać za dobry uczynek, za próbę ich ochrony przed możliwym rewanżem następców. Ale przecież miało ono głębszy cel. Chodziło o zabetonowanie swoich wpływów w strukturach państwa. Żeby „nasi" trwali, obserwowali, co się dzieje, i informowali. A w niektórych przypadkach hamowali różne działania.

To nie uleganie teoriom spiskowym – tego mechanizmu nie wymyśliło PiS, zawsze tak jest, że na różnych zakrętach historii kadry są wymieniane, ale ktoś ze starej ekipy zostaje. Ważne jest pytanie, w jakiej roli.

To także stanowi element demonstracji siły i sprawczości. Jeżeli partia pokazuje, że potrafi zadbać o swoich ludzi, że nie zapomina o nich, wówczas buduje lojalność tych, którzy nie zostali porzuceni w potrzebie, a zarazem kształtuje obraz formacji, która coś znaczy i coś może. Jest sprawcza.

•

I to chyba był jeden z ważniejszych celów zorganizowanego odwrotu, który jesienią 2023 r. zafundowało nam PiS. Jako główny obrońca pisowskiego układu wystąpił Andrzej Duda. I – korzystając z zapisów konstytucyjnych – przedłużył do maksimum czas rządu Mateusza Morawieckiego. Uspokoił sytuację. Dał ludziom PiS czas na ochłonięcie po porażce, której się nie spodziewali, i wejście w nową rzeczywistość.

To powolne oddawanie władzy miało wielkie znaczenie psychologiczne. Chodziło o to, by zatrzymać wyborców, utrzymać struktury, zrobić, co tylko się da, by świadomości działaczy i sympatyków nie zainfekowało poczucie klęski, przeświadczenie, że wszystko przegrane. Na ile jest to ważne, możemy się przekonać teraz, patrząc, jak po wyborach prezydenckich i klęsce Trzaskowskiego nie może się pozbierać koalicja rządząca.

Zarazem dwumiesięczne czekanie na objęcie władzy po wygranych wyborach wyraźnie zwycięzcom nie służyło. Co z tego, że Donald Tusk nagrywał filmiki, na których wołał: „Zwracam się z gorącym apelem do pana prezydenta! Ludzie czekają na pierwsze decyzje, które będą konsekwencją tych wyborów, tak że prosiłbym bardzo pana prezydenta o energiczne i szybkie decyzje! Wygrane demokratyczne partie są w stałym kontakcie i są gotowe przejąć odpowiedzialność za rządy w kraju w każdej chwili!". Sekundowali mu liderzy partii koalicyjnych. A Duda i tak powołał Morawieckiego.

Nie ma nic bardziej nieciekawego niż bezradny polityk.

Dwa miesiące zwlekania pozwoliły zatrzymać impet nowej władzy. Wymęczyć jej sympatyków czekaniem. Gdy więc przedstawiciele nowej koalicji przejmowali ministerstwa, nie było w nich entuzjazmu sprzed dwóch miesięcy. Było zmęczenie. I weszli w nowy rok ze starymi planami napisanymi przez poprzedników. I z ludźmi PiS.

Te dwa miesiące PiS świetnie wykorzystało. Nie można tego powiedzieć o nowej władzy. Ale to już temat na inną historię.

Robert Walenciak
r.walenciak@tygodnikprzeglad.pl

Z ogromnym smutkiem zawiadamiamy, że w wieku 93 lat zmarł

dr Zdzisław Słowik,

socjolog, wydawca, działacz społeczny.

Współzałożyciel i członek władz Towarzystwa Kultury Świeckiej im. Tadeusza Kotarbińskiego, wieloletni redaktor naczelny dwumiesięcznika „Res Humana".
Twardo trzymał się swoich zasad. Unikając skrajności, zawsze starał się iść środkiem drogi.
Z gronem czytelników będziemy dzielić tęsknotę.

Rodzinie składamy wyrazy najszczerszego współczucia.

TKŚ im. Tadeusza Kotarbińskiego i redakcja „Res Humana"

Z wielkim żalem żegnamy

dr. Zdzisława Słowika,

przyjaciela naszego środowiska,
ideowego człowieka lewicy,
orędownika świeckiego państwa.
Jako wieloletni szef pisma
„Res Humana"
pokazał wielką klasę,
tolerancję i otwartość.

Zawsze życzliwy i pogodny.
Tak go zapamiętamy.

Jerzy Domański
i zespół „Przeglądu"

eprasa.pl c0e04ea7c4

BOSKA CZEŚĆ AGNIESZKI GLAPIAK

Na czele KRRiT stoi dama, która znieważała polski mundur, dopuściła się złodziejstwa i ujawniła tajemnice państwowe

Andrzej Sikorski

Agnieszka Glapiak, lat 55, od lipca 2025 r. jest przewodniczącą Krajowej Rady Radiofonii i Telewizji, obsadzonej w większości przez nominatów PiS. Na stołek szefowej KRRiT trafiła w wyniku wewnętrznej wojny w obozie PiS, zastępując Macieja Świrskiego, który twierdził, że jego odwołanie jest nielegalne. Świrski ma stanąć przed Trybunałem Stanu za nadużycia, których się dopuścił jako przewodniczący KRRiT (pisaliśmy o tym w tekście „Talib PiS dostał po nosie", nr 32/2025).

Cenzorka

KRRiT ma szerokie kompetencje i uprawnienia. Między innymi przyznaje koncesje stacjom telewizyjnym i rozgłośniom radiowym, kontroluje działalność nadawców i nakłada na nich kary finansowe za łamanie prawa. A jak pokazuje dotychczasowa praktyka, kary nakładane są za cokolwiek. Reportaż „Bielmo. Franciszkańska 3" o Janie Pawle II i pedofili, który wyemitowano w programie „Czarno na białym" na antenie TVN 24, „wyceniono" na 550 tys. zł. Innym razem ta sama stacja dostała prawie 150 tys. zł kary za reportaż „29 lat bezkarności. Fenomen ojca Tadeusza". Jako uzasadnienie nałożenia tak drastycznych kar zastosowano pokrętną argumentację: „Propagowanie działań sprzecznych z prawem, poglądów i postaw sprzecznych z moralnością i dobrem społecznym oraz zawierających treści nawołujące do nienawiści i treści dyskryminujące, a także brak poszanowania przekonań religijnych odbiorców".

Jak widać, dla PiS są tematy, których nie wolno poruszać. Choć zgodnie z Ustawą o radiofonii i telewizji KRRiT „stoi na straży wolności słowa w radiu i telewizji (…) oraz zapewnia otwarty i pluralistyczny charakter radiofonii i telewizji".

Niedawno w Senacie (podczas prezentacji sprawozdania KRRiT z działalności w 2024 r.) Agnieszka Glapiak odgrażała się, że nie zejdzie z obranej drogi politycznego cenzora. „Nie ustanę w wysiłkach identyfikowania i wyciągania konsekwencji prawnych w przypadku naruszania przez dostawców, w eterze, na satelicie czy w internecie przepisów związanych z bezpieczeństwem państwa, dobrem społecznym, godnością ludzką", mówiła przewodnicząca rady, sama mająca „wybitne zasługi" w propagowaniu pluralizmu i poszanowaniu godności ludzkiej.

Królowa życia i śmierci

Zanim we wrześniu 2022 r. posłowie PiS wybrali Glapiak do KRRiT, była prawą ręką Mariusza Błaszczaka i szefową Centrum Operacyjnego Ministra Obrony Narodowej – speckomórki do kreowania propagandy resortu. Glapiak była nazywana „szarą eminencją" i „królową życia i śmierci", gdyż miała nieograniczoną władzę w MON. Pod jej wodzą pracowała grupa cywilów i wojskowych, a jak ta praca wyglądała, opisała – na podstawie relacji żołnierzy – Edyta Żemła w książce „Armia w ruinie".

Oficer wojsk lądowych: „Macierewicz miał swojego Misiewicza, a Błaszczak swoją Glapiak. Misiewicz jednak w arogancji, bucie i bezwzględności nie dorastał jej do pięt.

Zanim we wrześniu 2022 r. posłowie PiS wybrali Glapiak do KRRiT, była prawą ręką Błaszczaka i szefową Centrum Operacyjnego Ministra Obrony Narodowej.

Kiedy do jednostek przyjeżdżała pani Glapiak, to trzeba było oddawać jej tam niemal boską cześć. Ludzie się nawzajem przed nią ostrzegali. Mówili, że jak zadzwoni, to trzeba wykonać zadanie, bo będzie po tobie. To ona stawiała zadania dowódcom".

Podoficer z dużym doświadczeniem: „Jeżeli oddajemy honory przełożonemu, to jest wojsko, jeśli oddajemy honory (…) pani Glapiak, to już nie wiem, czy to jest jeszcze armia".

Oficer służb prasowych: „Glapiak osobiście odpowiadała za kreowanie wizerunku ministra. Doprowadziła do tego, że wojsko było tylko tłem, oprawą dla Błaszczaka. Pamiętam wiele wizyt ministra w jednostce.

eprasa.pl c0e04ea7c4

Najważniejsze zawsze było ustawienie sprzętu tak, żeby Błaszczak na jego tle dobrze się prezentował. Myśmy ustawiali tak, żeby było bezpiecznie, potem przyjeżdżali ludzie z Centrum Operacyjnego Ministra Obrony Narodowej i przewracali wszystko do góry nogami. Wyobraża pani sobie, że majorowie i podpułkownicy z MON-u ustawiali generałów, dowódców jednostek? Za wszystkie sznurki pociągała dyrektor Glapiak. Była postrachem wojska. Jeżeli pani dyrektor zadzwoniła do generała i powiedziała, że ma być tak i tak, to każdy generał robił tak, jak ona sobie życzyła".

Oficer, rzecznik prasowy jednostki: „Oni byli chamscy, strasznie obcesowi. Nie dało się z nimi porozmawiać. Wjeżdżali do jednostek, mówili, że ma być tak i tak i nie było dyskusji. Żołnierzy traktowali jak roboli. Mieliśmy wykonywać każde, nawet najgłupsze polecenie i się nie odzywać. Tak to wyglądało za każdym razem, kiedy się zjawiali. Kazali przestawiać ciężki sprzęt – czołgi, transportery – żeby się dobrze na ich tle kadrował Błaszczak na zdjęciach".

Dowódca ważnej instytucji wojskowej: „Niestety, miałem do czynienia z ludźmi CO MON. No, powiem szczerze, kawał szmaciarstwa".

Brzmi to jak żart, ale za „zbudowanie nowej strategii komunikacyjnej w Wojsku Polskim" Glapiak została nagrodzona Buzdyganem – nagrodą resortową, przyznawaną przez pismo „Polska Zbrojna" osobom, które „zmieniają oblicze wojska".

Dla polityków PiS znieważeniem polskiego munduru są relacje świadków o bezprawnym działaniu żołnierzy i funkcjonariuszy Straży Granicznej w stosunku do uchodźców, kobiet i dzieci, ale poniżanie oficerów, w tym generałów, przez współpracowników Błaszczaka to nic zdrożnego. Jednak prokuratura z urzędu nie wszczęła śledztwa.

Taki sobie zegarek wybrała

Śledztwo wszczęto (a nawet wpłynął już do sądu akt oskarżenia) w sprawie przywłaszczenia przez Glapiak wartościowego zegarka. Zaufana Błaszczaka połasiła się na markowy chronometr wart ok. 6 tys. zł, chociaż mogłaby sobie taki kupić, gdyż jest osobą majętną. Nie tylko pracowała w MON, ale również zasiadała w radach nadzorczych spółki zbrojeniowej Exatel i Polskiej Agencji Prasowej. Dorabiała też jako szefowa Akademickiego Centrum Komunikacji Strategicznej, think tanku Akademii Sztuki Wojennej. W sumie co miesiąc na jej konto wpływało ok. 25 tys. zł. Majątek Glapiak to m.in. trzy mieszkania o wartości kilku milionów złotych i samochód wart ok. 100 tys. zł.

Agnieszka Glapiak na stołek szefowej KRRiT trafiła w wyniku wewnętrznej wojny w obozie PiS, zastępując Macieja Świrskiego.

Przekręt z zegarkiem wyglądał następująco. Po wyborach w 2023 r. Mariusz Błaszczak wiedział, że będzie musiał pakować manatki. Postanowił więc nagrodzić współpracowników. Z Glapiak był ten problem, że po wyborze do KRRiT w 2022 r. wzięła urlop bezpłatny w MON, ale jednocześnie dostała posadę doradcy społecznego ministra obrony narodowej „do spraw wdrażania nowych rozwiązań przewidzianych w ustawie o obronie Ojczyzny", cokolwiek to znaczy. Razem z posadą doradcy społecznego zaufanej Błaszczaka przydzielono gabinet.

Pazerna Glapiak nie mogła dostać nagrody, więc sama ją sobie przyznała. 8 listopada 2023 r. (była wówczas wiceprzewodniczącą KRRiT) wysłała mejl do swojej koleżanki Jolanty L., dyrektor generalnej MON, o treści: „Taki sobie wybrałam" z linkiem do strony internetowej z zegarkiem marki Longines La Grande Classique. Tego samego dnia Jolanta L. przesłała mejl od Glapiak do Marcina B., dyrektora Departamentu Administracyjnego MON, z poleceniem, aby w związku z potrzebą wręczenia prezentu okolicznościowego w postaci zegarka damskiego sprawdził, czy w magazynku upominków ministra obrony nie znajduje się taki zegarek, a jeśli nie, by go kupił. Dyrektor generalna zaznaczyła, że „z uwagi na rangę" wskazane jest, aby był to zegarek klasyczny, na skórzanym pasku, automatyczny, z minimum pięcioletnią gwarancją. Dodajmy, że skórzany pasek w tym modelu wykonany jest ze skóry… aligatora.

Za wszystkie sznurki pociągała dyrektor Glapiak. Była postrachem wojska. Każdy generał robił tak, jak ona sobie życzyła.

Ponieważ Błaszczak nie miał na stanie takiego zegarka, dyrektor Marcin B. wydał polecenie swojemu podwładnemu, oficerowi Wojska Polskiego płk. Piotrowi P., aby zrobił rozeznanie rynku i ustalił, gdzie takie cacko można kupić. Pułkownik stanął na wysokości zadania i zameldował, że „za najniższą cenę" 6 tys. zł chronometr Longines La Grande Classique ma do sprzedania

FOT. WOJCIECH OLKUŚNIK/EAST NEWS

eprasa.pl c0e04ea7c4

firma jubilerska Kruk w salonie w Białymstoku.

14 listopada 2023 r., czyli w czasie, gdy trwało pierwsze posiedzenie Sejmu X kadencji, a posłowie Koalicji 15 Października mówili o rozliczeniu złodziejskich rządów PiS, Michał Z., pracownik Departamentu Administracyjnego MON, udał się do stolicy Podlasia po zegarek dla Glapiak. Za zegarek zapłacił służbową kartą i dostał rabat, a ostateczna cena wyniosła trochę ponad 5 tys. zł.

15 listopada 2023 r. ówczesna wiceprzewodnicząca KRRiT pojawiła się w gabinecie Łukasza R., naczelnika Wydziału Organizacji Wizytacji Krajowych i Międzynarodowych Centrum Operacyjnego MON, i poleciła mu pobranie zegarka w „związku z wizytą koreańską" i przyniesienie go do jej gabinetu. Naczelnik Łukasz R. nakazał podwładnemu płk. Sewerynowi A. sporządzenie stosownej notatki. W piśmie wskazano, że zegarek „zostanie wręczony podczas wizyty koreańskiej", a naczelnik krokiem defiladowym zaniósł go do gabinetu Glapiak. Jednak nikt z członków rzekomej delegacji koreańskiej nie dostał zegarka. Żandarmeria Wojskowa zarekwirowała czasomierz 24 kwietnia 2024 r. w mieszkaniu Glapiak.

Na trop przekrętu wpadła Służba Kontrwywiadu Wojskowego. Nie możemy podać szczegółów, by nie zdradzać technik pracy „służby specjalnej, której zadaniem jest ochrona przed zagrożeniami wewnętrznymi dla obronności Państwa, bezpieczeństwa i zdolności bojowej Sił Zbrojnych Rzeczypospolitej Polskiej oraz innych jednostek organizacyjnych podległych lub nadzorowanych przez Ministra Obrony Narodowej".

Wkrótce rozpocznie się proces przewodniczącej KRRiT. Dowody zebrane przez prokuraturę wydają się mocne. Są to m.in. zeznania świadków i dokumenty. A przede wszystkim zabezpieczony zegarek. Za popełnione przestępstwo Glapiak grozi nawet 10 lat więzienia. W trakcie śledztwa zaufana Błaszczaka nie przyznała się do zarzutu i odmówiła składania wyjaśnień. Potem zamieściła oświadczenie, w którym stwierdziła: „Oskarżenia przeciwko mnie uważam za absurdalne i motywowane politycznie, mające na celu uderzenie w Krajową Radę Radiofonii i Telewizji".

Wkrótce rozpocznie się proces przewodniczącej KRRiT. Razem z nią sądzona będzie Jolanta L., ówczesna dyrektor generalna MON, obecnie pracownica NBP.

Razem z Glapiak sądzona będzie Jolanta L., ówczesna dyrektor generalna MON, a obecnie pracownica… Narodowego Banku Polskiego, która pomagała Glapiak w przywłaszczeniu zegarka. Jolanta L. też nie przyznała się do popełnienia przestępstwa. Prokuratorowi powiedziała, że wyraziła jedynie zgodę na zakupienie zegarka, które odbyło się zgodnie z przepisami. Kobieta winę zrzuciła na Marcina B., dyrektora Departamentu Administracyjnego MON, tłumacząc, że nie miała dostępu do magazynu upominków ministra obrony ani możliwości decydowania o przeznaczeniu znajdujących się tam rzeczy.

Jednak prokuratura nie dała temu wiary. „Powyższe wyjaśnienia są sprzeczne z ustalonym w sprawie stanem faktycznym, z którego wynika jednoznacznie, iż to właśnie Jolanta L. podjęła decyzję o zakupie zegarka i przekazaniu go Agnieszce Glapiak bez podstawy prawnej, przy czym od pierwszych związanych z tym czynności oczywistym było, że zegarek nabywany jest ze środków Ministerstwa Obrony Narodowej w ww. celu. Treść wyjaśnień oskarżonej należy zatem uznać za przyjętą przez wymienioną linię obrony mającą na celu umniejszenie jej odpowiedzialności karnej", napisano w akcie oskarżenia.

Obrończyni partyjnej wolności słowa

To niejedyne problemy Agnieszki Glapiak. Wkrótce zasiądzie ona na ławie oskarżonych wspólnie z byłym szefem MON Mariuszem Błaszczakiem, Sławomirem Cenckiewiczem, byłym dyrektorem Wojskowego Biura Historycznego, obecnie szefem Biura Bezpieczeństwa Narodowego, i Piotrem Z., byłym dyrektorem Departamentu Strategii i Planowania Obronnego Ministerstwa Obrony Narodowej. Sprawa dotyczy odtajnienia w lipcu 2023 r. przez Błaszczaka fragmentów planów obronnych Polski i wykorzystania ich w kampanii wyborczej do parlamentu oraz w filmie propagandowym „Reset" (jego współtwórcą był Cenckiewicz).

Według serwowanej narracji rząd PO-PSL pod wodzą Donalda Tuska w razie konfliktu zbrojnego chciał bez walki oddać Rosji wschodnią część Polski, co miało świadczyć o tym, że premier jest nie tylko tchórzem i zdrajcą, ale być może nawet ruskim agentem. Glapiak pomagała Błaszczakowi w przestępczym procederze odtajnienia dokumentów, za co grozić jej może nawet 10 lat więzienia.

Podobnie jak w sprawie kradzieży zegarka przewodnicząca KRRiT nie przyznała się do zarzucanego jej przestępstwa i odmówiła odpowiedzi na pytania prokuratora. Na konferencji prasowej po postawieniu zarzutów bredziła, że działania prokuratury „traktuje jako atak na Krajową Radę Radiofonii i Telewizji, która stoi na straży wolności słowa i dostępu obywateli do informacji", a w jej przekonaniu „rządzący dzisiaj chcą przejąć kontrolę nad informacją i nie dopuścić obywateli do tego, żeby w pełni wiedzieli, co się dzieje".

Andrzej Sikorski

Redaktorowi naczelnemu

JERZEMU DOMAŃSKIEMU

składamy
serdeczne wyrazy współczucia
po śmierci

MAMY

zespół „Przeglądu"

eprasa.pl c0e04ea7c4

Premier Morawiecki z prezesem RARS Kuczmierowskim na spotkaniu z sympatykami PiS w Garwolinie w trakcie kampanii wyborczej do parlamentu. 13 października 2023 r.

ŚCIGANY

Michał Kuczmierowski

Jedna z największych afer rządów PiS wraca w wielkim stylu

Marek Czarkowski

Ostatnio w mediach pojawiła się wiadomość, że były prezes Rządowej Agencji Rezerw Strategicznych Michał Kuczmierowski, oczekujący w Londynie na ostateczną decyzję sądu o ekstradycji do Polski, jest ochraniany przez brytyjski wywiad MI6, z którym współpracował przy dostawach uzbrojenia dla walczącej z rosyjską inwazją Ukrainy.

Brzmi nieźle, lecz brakuje dowodów na potwierdzenie tej śmiałej tezy. Źródłem rewelacji są pragnący zachować anonimowość informatorzy (ma się rozumieć „ze służb"), którzy podzielili się nimi z dziennikarzami.

Tymczasem kazus Kuczmierowskiego i jego kolegów to symboliczna, a jednocześnie typowa historia ludzi, którzy w III RP zaczynali jako ideowcy, a skończyli jako podejrzani, choć bogaci karierowicze, którzy swoje sukcesy zawdzięczają odpowiednim znajomościom i układom.

Harcerz

Przyszły prezes RARS, zanim pojawił się na styku polityki i biznesu, był instruktorem Związku Harcerstwa Rzeczpospolitej. Dał się tam poznać jako sprawny organizator, dobry kolega i człowiek uczciwy, o nieposzlakowanej reputacji. Tak mówią o nim ci, którzy go znali.

Przygodę z władzą Kuczmierowski rozpoczął w 2006 r. Mając niewiele ponad 30 lat, zarejestrował w Sejmie działalność lobbingową. W latach 2010-2015 pracował jako menedżer ds. rozwoju w Banku Zachodnim WBK, którego prezesem był wówczas Mateusz Morawiecki. Rekomendacją była owa działalność w ZHR.

Pięć lat pracy w strukturach jednej z największych instytucji finansowych w Polsce pozwoliło Kuczmierowskiemu nie tylko zdobyć doświadczenie w zarządzaniu biznesowym, lecz przede wszystkim nawiązać bliskie relacje z przyszłym premierem. Okazały się one kluczowe.

Dla Morawieckiego, który budował wokół siebie zaplecze polityczne, liczyły się trzy cechy: lojalność, sprawność organizacyjna i wspólna przeszłość – w tym przypadku w Związku Harcerstwa Rzeczypospolitej. Michał Kuczmierowski idealnie wpisywał się w ten model.

Po zwycięstwie Prawa i Sprawiedliwości w wyborach parlamentarnych w 2015 r., a zwłaszcza po

FOT. PAP/RADEK PIETRUSZKA

eprasa.pl c0e04ea7c4

nominacji Morawieckiego na stanowisko wicepremiera i ministra rozwoju, a następnie ministra finansów i premiera, nasz bohater został dyrektorem departamentu marketingu i komunikacji największego banku w Polsce – PKO BP.

Był to wyraźny sygnał, że należy do elitarnego grona „harcerzy Morawieckiego", którzy mogli liczyć na wysokie stanowiska i wpływy w nowej politycznej rzeczywistości. Szacunki mówią, że osób tworzących zaplecze Morawieckiego było od 40 do 60.

W latach 2018-2020 Kuczmierowski zasiadał w zarządzie Polskiej Grupy Zbrojeniowej, odpowiadając za finanse i strategię. W tamtym czasie PGZ jako holding spółek przechodziła intensywną reorganizację.

Kuczmierowski wywiązał się z tego zadania na tyle dobrze, że w końcu 2020 r. powołano go na prezesa Agencji Rezerw Materiałowych, która wkrótce została przemianowana na Rządową Agencję Rezerw Strategicznych.

Na stanowisku prezesa RARS uzyskał niemal nieograniczony dostęp do zasobów finansowych i możliwość działania z pominięciem standardowych procedur przetargowych. Odejście od nich uzasadniano w oficjalnej rządowej narracji stanem wyższej konieczności.

Jak wykazały śledztwa, tym sposobem uruchomiono mechanizm, dzięki któremu z publicznej kasy udało się wyprowadzić setki milionów złotych na jak najbardziej prywatne rachunki.

Kazus Kuczmierowskiego i jego kolegów to typowa historia ludzi, którzy w III RP zaczynali jako ideowcy, a skończyli jako podejrzani, choć bogaci karierowicze.

W planach rządu miała odgrywać kluczową rolę w modernizacji polskiej armii i w rozwoju krajowego przemysłu obronnego.

Praca ta dała mu nie tylko doświadczenie w zarządzaniu złożonymi strukturami korporacyjnymi, lecz także głębokie rozeznanie w przemyśle obronnym oraz logistyce wojskowej. Kompetencje te miały się okazać bardzo przydatne w jego kolejnej, tym razem wyjątkowej roli.

Dla Kuczmierowskiego wybuch pandemii COVID-19 w marcu 2020 r. stał się początkiem kolejnego – najważniejszego – etapu kariery. W sytuacji poważnego kryzysu premier Morawiecki potrzebował ludzi, którym bezwarunkowo ufał i którzy byli w stanie sprawnie zrealizować każde jego polecenie. Kimś takim był nasz bohater. Dlatego premier powołał go na pełnomocnika ds. rezerw strategicznych w ochronie zdrowia. W warunkach pandemii była to funkcja o zaiste strategicznym znaczeniu, gdyż niezwykle ważne stało się zapewnienie stałych dostaw sprzętu medycznego, środków ochrony osobistej i lekarstw do szpitali, przychodni i aptek.

Jaką rolę w tym procederze odegrał Michał Kuczmierowski? Ile na tym zarobił? Kto za nim stał? Czy uzyskane w ten sposób środki trafiły do wysokich funkcjonariuszy Prawa i Sprawiedliwości, a może do osób zbliżonych do premiera Mateusza Morawieckiego? Na razie na te pytania nie ma odpowiedzi.

Jak to się robi nad Wisłą

Rządowa Agencja Rezerw Strategicznych miała być instytucją odpowiedzialną za zapewnienie rezerw strategicznych kraju – żywności, lekarstw, sprzętu medycznego oraz innych zasobów niezbędnych w sytuacjach kryzysowych.

RARS dysponowała budżetem liczonym w miliardach złotych. Według ustaleń prokuratury łączna wartość kontraktów realizowanych przez agencję w sposób budzący wątpliwości prawne i etyczne mogła przekroczyć 1 mld zł.

Kluczowe kontrakty dostawała wąska grupa firm powiązanych z otoczeniem politycznym PiS, szczególnie zaś z kręgiem politycznym i towarzyskim Mateusza Morawieckiego. Największym beneficjentem tego systemu był Paweł Szopa, twórca marki odzieży patriotycznej Red is Bad. Nie był on przypadkowym biznesmenem. Jego marka była ściśle powiązana z promowaną przez PiS narracją patriotyczną. Sam Szopa regularnie uczestniczył w wydarzeniach organizowanych przez polityków prawicy i nie ukrywał swoich politycznych sympatii. Kontrolowane przez niego spółki zarobiły na kontraktach z RARS setki milionów złotych.

Najbardziej spektakularnym przykładem była dostawa agregatów prądotwórczych. Kontrolowane przez Szopę spółki kupiły je w Chinach za 69 mln zł, a następnie odsprzedały RARS za 350 mln zł. Marża wynosiła zatem ponad 280 mln zł – prokuratorzy dowodzą, że taka kwota jest niemożliwa do uzasadnienia wysokimi kosztami logistycznymi, magazynowymi czy kosztami serwisu.

Podczas pandemii COVID-19 spółki Szopy dostarczały RARS środki ochrony osobistej: maseczki, rękawiczki, kombinezony. Na tych dostawach zarobiły ponad 110 mln zł. Również w tym przypadku marże były – zdaniem prokuratorów – wielokrotnie zawyżone w stosunku do standardów rynkowych.

Gdy w czerwcu 2024 r. wybuchła afera RARS, Szopa wyjechał do Dominikany, skąd pod konwojem został przetransportowany do Polski. Ostatecznie poszedł na współpracę z prokuraturą jako świadek koronny. Może to mieć kluczowe znaczenie dla przebiegu śledztwa. Dziś biznesmen przebywa na wolności. Jak wynika ze złożonych przez niego zeznań, część pozyskanych w ten sposób pieniędzy miała być przekazywana bezpośrednio jako łapówki ludziom z otoczenia premiera, w tym szefowej biura Morawieckiego Annie Wójcik. Miała ona odgrywać rolę pośrednika między światem polityki a biznesem. Prokuratura zarzuca jej przyjęcie od 3,5 mln do 5 mln zł łapówek, co jest jednym z najpoważniejszych oskarżeń w całej aferze i łączy bezpośrednio RARS z najwyższymi kręgami władzy w Polsce. Pani Wójcik przez dwa miesiące przebywała w areszcie. Opuściła go w kwietniu tego roku. Nie przyznaje się do winy.

eprasa.pl c0e04ea7c4

Ze śledczymi nie współpracuje też Dominik Zaganiacz (nazwisko zmienione – przyp. MC) – mniej znany beneficjent interesów robionych z Rządową Agencją Rezerw Strategicznych. Prokuratura postawiła mu pięć zarzutów. Do żadnego się nie przyznał. Grozi mu do 10 lat więzienia. Od czerwca br. Zaganiacz przebywa w areszcie. Należące do niego spółki Stopro, Direction oraz powiązana z nim spółka Joker otrzymały z agencji kontrakty o łącznej wartości ok. 147-150 mln zł, głównie na dostawy agregatów prądotwórczych oraz środków ochrony osobistej. Znamienne, że spółki Zaganiacza nie tylko dostawały wielomilionowe kontrakty z RARS, ale też obsługiwały kampanie wyborcze Mateusza Morawieckiego!

W 2019 r. na rachunek spółki Stopro przelano 600 tys. zł za realizację kampanii Morawieckiego. Spółka Joker zaś w roku 2023 r. wystawiła fakturę na ponad 500 tys. zł za produkcję materiałów reklamowych dla premiera.

Część mediów i niektórzy politycy wskazują, że bezpośredni związek między realizacją kampanii wyborczych a kontraktami z RARS jest dowodem na to, że wokół agencji działał swoisty obieg zamknięty. Zaganiacz i jego ludzie robili kampanie Morawieckiemu, za co brali niezłą kasę. Dodatkowym bonusem były lukratywne kontrakty z RARS, na czele której stał człowiek premiera – Michał Kuczmierowski. Następnie część publicznych pieniędzy miała przez pośredników trafiać do polityków PiS. Brzmi nieźle, tylko trzeba to jeszcze udowodnić przed sądem.

Męczeństwo pewnego druha

Pojawienie się Michała Kuczmierowskiego w Londynie w czerwcu 2024 r., tuż po ujawnieniu przez media skali afery RARS, ponoć nie było przypadkowym wyborem. Dziś bowiem niektóre publikacje dowodzą, że miał on powiązania z brytyjskimi służbami specjalnymi. Chodziło o pomoc w organizowaniu nieoficjalnych transportów broni i sprzętu wojskowego dla Ukrainy po inwazji rosyjskiej w lutym 2022 r.

W czerwcu ub.r. ten wątek nie był podnoszony. Gdy nasz bohater stawił się w Westminster Magistrates' Court na pierwszej rozprawie ekstradycyjnej, także nikt nie wspomniał o tych zasługach dla rządu Jego Królewskiej Mości. Dziś mówi się i pisze o tym, że w początkowej fazie wojny, gdy państwa europejskie oficjalnie nie podjęły decyzji o dostarczaniu Ukrainie broni, transporty sprzętu wojskowego szły tajnymi kanałami. Potrzebni byli zaufani pośrednicy. Kuczmierowski, z racji funkcji zajmowanej w agencji, jakoby współpracował bezpośrednio z przedstawicielami brytyjskich służb, koordynując niektóre transporty. Wielka Brytania nigdy nie potwierdziła tych informacji.

Są za to poszlaki, że były prezes RARS korzysta z pewnych form protekcji ze strony polityków PiS. Na jego rozprawach ekstradycyjnych w Londynie pojawiali się byli członkowie rządu Mateusza Morawieckiego, w tym Michał Dworczyk i Jadwiga Emilewicz. Wstawił się za nim również były minister obrony Ukrainy Ołeksij Reznikow. Argumentował, że Kuczmierowski odegrał kluczową rolę w organizacji dostaw sprzętu pomocowego i wojskowego do Ukrainy w pierwszych miesiącach rosyjskiej inwazji.

Interwencja Reznikowa była wykorzystywana w toku postępowania ekstradycyjnego jako dowód znaczenia naszego bohatera dla wsparcia broniącej się Ukrainy oraz próba przekonania sądu o jego zasługach na arenie międzynarodowej. I wszystko byłoby OK, gdyby nie drobiazg – Ołeksij Reznikow odszedł z funkcji ministerialnej w atmosferze skandalu korupcyjnego.

Pojawiają się kolejne pytania. Czy współpraca w zakresie pomocy dla Ukrainy usprawiedliwia korupcję? Nawet jeśli Kuczmierowski rzeczywiście odegrał pozytywną rolę w organizacji pomocy dla Ukrainy, nie zmienia to faktu, że według prokuratury uczestniczył w wyprowadzaniu setek milionów złotych z RARS. Czy brytyjskie służby wiedziały o korupcji? Jeśli tak, to dlaczego nie zareagowały? A może pomoc dla Ukrainy była tylko przykrywką? Czy nieoficjalne transporty broni były rzeczywistym powodem działania RARS, czy też wygodnym kamuflażem dla korupcyjnego systemu zbudowanego przez „harcerzy Morawieckiego"?

Fakty są takie, że we wrześniu 2024 r. Kuczmierowski decyzją brytyjskiego sądu trafił do aresztu, znacznie lepszego od Białołęki. Po pięciu miesiącach, w lutym br., wyszedł na wolność za kaucją w wysokości 600 tys. funtów (to ok. 2,8 mln zł).

Ta niezwykle wysoka kwota znów sprowokowała pytania. Kim byli hojni przyjaciele osadzonego? Według nieoficjalnych informacji pieniądze zostały zebrane przez polityków związanych z rządem PiS oraz osoby z otoczenia Mateusza Morawieckiego. I czy przypadkiem nie chodziło o to, aby prezes RARS zachował milczenie?

RARS dysponowała imponującym budżetem. Według prokuratury łączna wartość podejrzanych kontraktów realizowanych przez agencję mogła przekroczyć 1 mld zł.

Pojawiło się też ciekawe wytłumaczenie decyzji Kuczmierowskiego o wyjeździe do Londynu w roku 2024. Wiadomo, że procedury ekstradycyjne w Zjednoczonym Królestwie ciągną się niemiłosiernie długo, 12-18 miesięcy to standard. A przy dobrych adwokatach jeszcze dłużej – interesy Michała Kuczmierowskiego reprezentuje międzynarodowy, doborowy zespół adwokatów z brytyjskiej kancelarii Radcliffe Chambers i znany polski prawnik Mikołaj Pietrzak, były dziekan Okręgowej Rady Adwokackiej w Warszawie. Podważają oni stan praworządności nad Wisłą oraz możliwość przeprowadzenia uczciwego procesu, podnosząc argumenty polityczne i dotyczące proporcjonalności kary.

Zatem szanse na to, że Michała Kuczmierowskiego szybko zobaczymy w kraju, nie są wielkie. I o to chodzi!

Marek Czarkowski

eprasa.pl c0e04ea7c4

Szymon, coś ty narobił?

Hołownia ma dość polityki. Ale to dopiero początek kłopotów

Robert Walenciak

Informację o wycofaniu się z krajowej polityki Szymon Hołownia opatrzył słowami: „Po całym tym szambie, przez które przeszedłem, radość daje myśl, że mógłbym znów znaleźć się tam, gdzie można znów skupić się na języku, który znam z mojego »poprzedniego« życia, a który rozumie każdy człowiek, niezależnie od poglądów, wyznania, języka czy koloru skóry: języka chleba, opatrunku, przytulenia, nadziei".

Tak oto marszałek Sejmu i szef koalicyjnej partii Polska 2050, liczącej 30 posłów, ogłosił, że w styczniu 2026 r., podczas kongresu partii, nie będzie się ubiegał o stanowisko jej przewodniczącego. Zapowiedział, że zamierza kandydować na stanowisko wysokiego komisarza ONZ ds. uchodźców. A niezależnie od tego, czy wywalczy stanowisko w ONZ, czy nie (szanse ma nieduże), kończy przygodę z polityką. Bo to szambo.

I teraz pozostają pytania: czy kończy bezpowrotnie? Czy Polska 2050 po jego odejściu ma szansę na polityczne życie, czy jej rozpad jest nieunikniony? Co to oznacza dla obecnej koalicji i dla jej przyszłości? Czego możemy się spodziewać?

Okazało się, że Hołownia nie ma nic do powiedzenia, a egzaltowany język znudził słuchaczy.

Projekt dobrze skrojony

„Szymon chciał być prezydentem. I w zasadzie tylko to go interesowało" – to opinia osoby z jego bliskiego otoczenia. Gdy więc przegrał wybory w 2020 r., zamierzał zakończyć przygodę z polityką. Ale okazało się, że nie jest to łatwe. Zbyt wiele w jego start zostało zainwestowane – zbyt wielu ludzi zaangażowało się w projekt, który Hołownia firmował swoim nazwiskiem, by mógł się wycofać. Stowarzyszenie przekształcono zatem w partię.

Partia była nietypowa, bo jej formalny lider nie miał ani chęci, ani głowy do kierowania nią. Ugrupowaniem zarządzała więc trójka: Michał Kobosko, Katarzyna Pełczyńska-Nałęcz i Jacek Cichocki. Sporo ich łączy.

Jacek Cichocki, socjolog, to były dyrektor Ośrodka Studiów Wschodnich, potem m.in. sekretarz Kolegium ds. Służb Specjalnych oraz minister spraw wewnętrznych w rządzie Donalda Tuska i szef kancelarii premiera w rządzie Ewy Kopacz. Katarzyna Pełczyńska-Nałęcz też skończyła socjologię. Też pracowała w Ośrodku Studiów Wschodnich. Stamtąd przeszła do MSZ na stanowisko podsekretarza stanu, a w 2014 r. wyjechała do Moskwy, gdzie była ambasadorem. Kobosko najpierw pracował w mediach, był m.in. redaktorem naczelnym „Newsweeka" i „Wprost", a w latach 2013-2019 dyrektorem warszawskiego biura amerykańskiego think tanku Atlantic Council.

To byli administratorzy projektu, którego twarzą został Szymon Hołownia – mówca, showman, celebryta, manifestujący przywiązanie do wiary katolickiej, szef Religia.tv. Pomysł był udany – Hołownia szybko zdobył poparcie sporej części Polaków.

Już po wyborach z 2020 r., gdy zdecydowano się inicjatywę podtrzymywać, rozpatrywana była inna droga – połączenie sił Hołowni, Trzaskowskiego i Kosiniaka-Kamysza. Trzech młodych, energicznych, jak niegdyś Olechowski, Płażyński i Tusk. Nawiązań do Platformy Obywatelskiej, jej korzeni, jest zatem sporo. PO zbudowała się przecież na zwłokach słabnącej Unii Wolności. W roku 2020 słabła Platforma… Ale w 2022 r. do Polski wrócił Donald Tusk. I wszystko się zmieniło.

eprasa.pl c0e04ea7c4

•

Gdy powstaje nowy ruch, zbiegają się pod jego sztandary różni ludzie, reprezentujący różne środowiska. Mogą być atutem, ale mogą też być kłopotem. Gdy więc w Sejmie poprzedniej kadencji do Hołowni zaczęli się zgłaszać posłowie lewicy, Michał Kobosko uprzejmie im dziękował, tłumacząc, że nie chce, aby nowe ugrupowanie przechyliło się zbytnio w lewo, że zależy mu również na osobach z prawej strony sceny. I tak to zostało skonstruowane – w poprzednim Sejmie powstało koło ugrupowania Polska 2050, którego przewodniczącą została Hanna Gill-Piątek, polityczna globtroterka, wcześniej w klubie Lewicy. Obok niej w kole były Joanna Mucha z Platformy i Paulina Hennig-Kloska z Nowoczesnej.

Podobne proporcje starano się zachować, budując krajowe struktury. Pilnowano, by polityków uciekinierów nie było zbyt wielu, by raczej opierać się na przedstawicielach ruchów społecznych. To był rozsądny pomysł – polityka jest zabetonowana, otwierając się na różne środowiska, Polska 2050 wpuściła do niej trochę świeżego powietrza. Tak czy inaczej, Hołownia wprowadził do Sejmu sporą grupę ludzi, których niewiele łączyło.

Skazani na upadek

Gdyby dwa lata temu ktoś powiedział, że w październiku 2025 r. Szymon Hołownia będzie szukał pracy, a jego partia zdobędzie w sondażach 1-2% poparcia, uznano by go za osobę lekko szaloną. Hołownia dwa lata temu został wybrany na marszałka Sejmu – i Sejm odmienił. Po Elżbiecie Witek, wiernej, ale miernej wyznawczyni prezesa Kaczyńskiego, imponował błyskotliwymi ripostami i lekkością tonu. Sejmflix! – wołano. Jednak po paru miesiącach to się zawaliło.

Nic nadzwyczajnego. Podobnie zawalały się inicjatywy polityczne Janusza Palikota, Ryszarda Petru, Roberta Biedronia czy Pawła Kukiza. Pospolite ruszenie jest dobre na chwilę, ale nie na długi marsz.

Wiele różnych spraw złożyło się na porażkę Hołowni, na to, że wyborcy odwrócili się od niego. Ale jedna chyba jest najważniejsza – okazało się, że Hołownia nie ma nic do powiedzenia. Na doraźny projekt polityczny jeszcze się nadawał, lecz na ów długi marsz – już nie. Skończyły mu się dowcipy, opowiastki, egzaltowany język znudził słuchaczy, dopadła go proza codzienności, polityczna młócka. Chciał być kimś, kto przerzuca mosty między plemieniem PO a plemieniem PiS, ale wchodząc do koalicji, tej cnoty się wyrzekł, więc później, gdy ujawnione zostały jego nocne spotkania z Jarosławem Kaczyńskim, uznano je za zdradę i knucie z wrogiem. I to jego wyborcy tak uznali.

Również jego manifestowane przywiązanie do wiary katolickiej rozpłynęło się niczym jesienna mgła. Nie znalazł też sobie miejsca w koalicji. Jego ministrowie nie błyszczą, przeciwnie – i Paulina Hennig-Kloska, i Katarzyna Pełczyńska-Nałęcz są regularnie krytykowane.

Czego chce partia Hołowni? Zapytajmy o to – nikt na to pytanie nie odpowie. Polska 2050 nie mieści się dziś na żadnej osi, nie budzi żadnych emocji, nie wiadomo, o co zabiega. Owszem, ma jakieś cząstkowe postulaty, prowadzi różne boje, ale nie układają się one w żadną logiczną, zrozumiałą dla wyborcy całość. A jak nie wiadomo, o co partii chodzi, to po co na nią głosować?

Harakiri

Oto mamy więc spektakularny upadek. Jest on pewnie kłopotem dla Hołowni. Na pewno jest kłopotem dla jego posłów i działaczy w całej Polsce. No i w sposób oczywisty jest kłopotem dla koalicji, bo upada właśnie partia, bez której koalicja nie ma większości. Piszą się zatem różne polityczne scenariusze.

86. rocznica wybuchu II wojny światowej. Karol Nawrocki, Szymon Hołownia i Donald Tusk na Westerplatte, 1 września 2025 r.

Na przykład co do przyszłości Hołowni. Ogłaszając kandydowanie na stanowisko wysokiego komisarza ONZ ds. uchodźców, napomknął, że myśli o tym od paru miesięcy. I cieszył się, że ma poparcie zarówno prezydenta, jak i premiera. Cóż, w ten sposób testuje nie tylko swoją rozpoznawalność w świecie, ale i możliwości Karola Nawrockiego w administracji Trumpa, a Donalda Tuska – w europejskiej rodzinie. Jakkolwiek by patrzeć, to lekkomyślna gra. Zwłaszcza że dorobek Hołowni w sferze pomocy uchodźcom może imponować w Białymstoku, ale na pewno nie w Nowym Jorku czy w Genewie.

FOT. FILIP NAUMIENKO/REPORTER, WOJCIECH STRÓŻYK/REPORTER

eprasa.pl c0e04ea7c4

Hołownia gra niemądrze również z punktu widzenia krajowej polityki. Bo co komunikuje swojej partii i wyborcom? Że od kilku miesięcy zabiega o posadę i aby zwiększyć swoje szanse, przymila się do różnych ważnych ludzi, w tym z PiS. Okazuje się więc, że jego polityka jest podporządkowana znalezieniu posady, czyli korzyści osobistej. Czy wobec tego można mu ufać? A co mają myśleć ludzie z jego obozu, gdy widzą, że wódz ich opuszcza w poszukiwaniu lepszego losu?

Polityczny los Szymona Hołowni jest zatem przesądzony. Odchodzi. Ale jego partia zostaje. Polska 2050 liczy dziś 30 posłów. Bez niej rząd Donalda Tuska straciłby większość. Choćby z tego powodu to, co zostaje, jest ważniejsze od lidera, który odchodzi.

Hołownia chciał być prezydentem. I w zasadzie tylko to go interesowało. Gdy przegrał wybory w 2020 r., zamierzał zakończyć przygodę z polityką.

Są różne spekulacje dotyczące przyszłości partii, a raczej klubu poselskiego. Bo to jest najcenniejsza część. Ten, kto będzie kontrolował klub, będzie też kontrolował rząd i proces legislacyjny. Jak to może wyglądać w praktyce, widzieliśmy całkiem niedawno, gdy Polska 2050 zagłosowała za przesłaniem do prac w komisji prezydenckiego projektu ustawy o CPK oraz obywatelskiego projektu ustawy „Tak dla religii i etyki w szkole". Teoretycznie głosowania te o niczym nie przesądzały, bo to tylko przesłanie projektów do prac w komisjach – ale pokazały, że koalicję rządzącą mogą czekać różne niespodzianki.

Co zrobi klub?

Tych 30 posłów Polski 2050 doskonale wie, że od decyzji, które podejmą w najbliższym czasie, zależeć będzie ich przyszłość.

Dziś Polska 2050 ma w sondażach 1-2% poparcia, więc wiadomo, że startując samodzielnie, zakończy swój żywot. Jakie ma pole manewru? A może nie ma żadnego i wkrótce będziemy obserwować, jak z klubu wychodzą kolejni posłowie? Media już mówią, że sześciu posłów Polski 2050 rozmawiało z PSL, a inni patrzą na PO…

Czy to jest realne? Na razie – niezbyt. Po pierwsze, w umowie koalicyjnej widnieje zapis, że partie nie będą podkupywały sobie posłów. Ten punkt przypomniał już Hołownia. „Nas się rozbić nie da, jesteśmy zgraną paczką. Gdyby ktoś nam z tej strony zaczął podbierać posłów, to jest koniec koalicji – mówił na konferencji w Sejmie. – To jest przekroczenie czerwonej linii. Ktoś powie, że nie będziemy wtedy mieli posłów. No to nie będziemy mieli rządu".

Po drugie, nie powinniśmy też się spodziewać szczególnego parcia na takie działania ze strony innych partii. Nie tylko ze strachu o spójność koalicji. Jest inny, równie ważny powód – takim nowym posłom trzeba by zapłacić za przejście gwarancją miejsca na listach wyborczych, pewnie miejsca biorącego. A to towar z najwyższej półki. I nie ma sensu nim płacić, zwłaszcza że taki pozyskany poseł zajmie miejsce, lecz nowych wyborców nie przyprowadzi.

Po trzecie, w samej Polsce 2050 dominuje przekonanie, że przeskok do innej partii to droga ryzykowna. Wskazywany jest tu przypadek Hanny Gill-Piątek. Była ona przewodniczącą koła PL 2050 w poprzednim Sejmie i wiceprzewodniczącą partii. I niespodziewanie przeszła do Platformy Obywatelskiej. Tam wstawiono ją na listę, ale na dalekim miejscu, z którego się nie przebiła. Dziś jest radną wojewódzką w Łodzi. Trudno to uznać za wielką karierę – gdyby została u Hołowni, byłaby nie tylko posłanką, ale przynajmniej wiceministrem… Lepiej więc zostać w swojej partii i tu walczyć, niż zdać się na łaskę innego ugrupowania. Tym bardziej że wciąż jest czym rządzić – Polska 2050 ma swoich ministrów, wiceministrów, wojewodów oraz wicewojewodów, a także setki stanowisk w administracji. To nie jest byle co.

Na razie w klubie dominują nastroje, które możemy opisać jednym słowem: spróbujmy. Tylko pod czyim kierownictwem? Z tym może być kłopot, gdyż partia jest bardzo podzielona. Gdy w klubie poselskim głosowano, kogo partia ma zarekomendować na wicepremiera, Katarzyna Pełczyńska-Nałęcz otrzymała 16 głosów, a Paulina Hennig-Kloska – 14. Czyli łeb w łeb. A drogę wskazują różną.

Wariant na twardo

Pełczyńska-Nałęcz (popiera ją Hołownia) uważa, że partia, by mieć wyborców, musi zbudować swoją tożsamość, być wyrazista, przesunięta w kierunku socjalnym. „Nie będziemy niczyją przystawką", mówi. I jest w tym wiarygodna, bo wszyscy wiedzą, że Tusk jej nie znosi i ciężko im się pracuje. Budowa partyjnej tożsamości, określenie partii na nowo to dla Pełczyńskiej-Nałęcz kwestia tak ważna, że jest gotowa nawet wyjść z koalicji rządowej. Ten wariant zakłada, że Polska 2050 wychodzi z koalicji, rezygnuje z ministerstw i rządowych posad i prowadzi własną politykę. Popiera rząd w tych sprawach, które uważa za słuszne, a w innych jest przeciw. I tak się buduje.

Czy to wariant realny? Jeszcze parę miesięcy temu uznalibyśmy go za political fiction. Ale dzisiaj nastroje są inne, także w łonie Polski 2050. Mocne jest tam przekonanie, że Platforma gra wobec koalicjantów nie fair, egoistycznie. I że warto jej się postawić, budując w ten sposób własne poparcie. Widzimy zresztą, że sam Hołownia jest od jakiegoś czasu na tej ścieżce. Jego spotkania z Kaczyńskim, rozmowy z Karolem Nawrockim i gesty w stronę prezydenta na to wskazują. Roli Jarosława Gowina jeszcze nie wybrał, ale już z obrzydzeniem jej nie odrzuca.

Wiele do myślenia daje też zachowanie PiS – jego przedstawiciele nie krytykują Hołowni, ba, nawet go chwalą. Podobnie w sprawie zmarnowanych pieniędzy z KPO – PiS wytoczyło tu najpierw najcięższe działa, ale później, gdy okazało się, że sprawa najmocniej uderza w ministrę

eprasa.pl c0e04ea7c4

ds. funduszy Pełczyńską-Nałęcz, szybko się wyciszyło. I dziś tej sprawy praktycznie nie ma.

Czy zatem czeka nas wyjście Polski 2050 z koalicji? Kłopot z odpowiedzią na to pytanie polega na tym, że partia Hołowni jest teraz bardzo rozedrgana. A w takim stanie może podejmować działania mało racjonalne. Na przykład: wychodzimy z koalicji, ale ją popieramy, zarazem blisko jest nam do prezydenta, współpracujemy z nim. Hołownia już napisał, że łączą go z Nawrockim serdeczne kontakty. Albo może to być wyjście i niewyjście, co swego czasu praktykowało PSL, będąc w koalicji z SLD. Kto pamięta, że taka postawa jest zabójcza – i dla koalicjanta, i dla partii, która tak się zachowuje?

A może zostajemy?

Inny wariant działania proponują Paulina Hennig-Kloska i Ryszard Petru, który zdążył zgłosić swoją kandydaturę na następcę Hołowni. Oboje zresztą wywodzą się z Nowoczesnej – to wiele tłumaczy. Hennig-Kloska już powiedziała, że będzie wobec koalicji lojalnym partnerem: „Z badań wynika, że wyborcy szeroko rozumianej koalicji nie znoszą kłótni i sporów na zewnątrz. Każdy, kto doprowadzi do upadku tej koalicji, wychodząc z niej z powodów czysto politycznych i interesów partyjnych, dostanie łomot od swoich wyborców". Stawia więc na elektorat anty-PiS. Na wyborców związanych z biznesem, z przedsiębiorczością. Petru mówi, że ma pomysł na partię 10-procentową. I każdy wie, że Polska 2050 pod jego przywództwem skręciłaby w kierunku partii liberalnej, reprezentującej interesy przedsiębiorców, ludzi pracujących na swoim. A czy ma on szansę przejąć partię? Dziś – nie ma. Ale w styczniu?

Czy możliwe są jeszcze inne rozwiązania? Padają nazwiska innych potencjalnych przywódców – szefa klubu parlamentarnego Pawła Śliza i jednego z założycieli partii, Michała Koboski. Ale Śliz jest mało znany, byłby więc kandydatem wprawdzie kompromisowym, lecz nijakim. A Kobosko… Jeden z naszych rozmówców tak to opisuje: „Jeżeli Szymon chciał być prezydentem, to Michał – ministrem spraw zagranicznych. Ostatecznie został europosłem. I raczej trudno mu będzie z tego zrezygnować".

Bo gdyby przejął partię, musiałby złożyć mandat europosła i wrócić do kraju. Może wówczas Tusk znalazłby dla niego jakieś miejsce w rządzie? Tego nie wiemy. Wiemy za to, że jeśli Kobosko zostałby szefem Polski 2050, byłaby to dla niego najlepsza nowina.

Taki ruch miałby zresztą swoje konsekwencje – bo w dalszej perspektywie zapowiadałby zbliżenie Polski 2050 do partii Tuska, którą także czeka przebudowa. Czyli pęknięcie – bo nie wszyscy chcieliby iść do Platformy. To zresztą kolejny wariant przyszłości Polski 2050 – pęknięcie na dwie, trzy części. Podziały bowiem się pogłębiają. Czy wtedy koalicja zachowa większość?

Wszystkie możliwe warianty gwarantują nam wstrząsy polityczne. Projekt Polski 2050 zaczyna się przeobrażać, wykraczając poza wyobraźnię jego twórców.

Robert Walenciak
r.walenciak@tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl c0e04ea7c4

Powtórka z rozrywki

Byli działacze partyjni o wybujałym ego założyli partię, obiecując Polakom nowe otwarcie i jakość w polityce

Andrzej Sikorski

„My, stojący tutaj, wyobraźmy sobie nową, lepszą Polskę. Polskę, która się rozwija bez podziałów, bez dzielenia na lepsze i gorsze strony, skupiającą ludzi, którym chce się chcieć, którzy mają doświadczenie, mają wiedzę i chcą tę Polskę zmieniać na lepsze" – tak senator Wadim Tyszkiewicz zaprezentował Nową Polskę – nowy byt na polskiej scenie politycznej.

Nawijanie makaronu na uszy

Według zapowiedzi Nowa Polska ma być ugrupowaniem konserwatywno-liberalnym, zerwać z systemem wodzowskim i opierać się na „wybitnych" samorządowcach oraz przedsiębiorcach. Senator Tyszkiewicz mówił, że taka partia rozsądku jest potrzebna, gdyż formacje obecnie funkcjonujące nie są w stanie się porozumieć nawet w najważniejszych sprawach i dlatego w ostatnich latach instytucje państwa „zostały zniszczone albo osłabione". „W tej sytuacji potrzebna jest Nowa Polska, czyli partia ludzi odpowiedzialnych, odważnych, którzy odważą się podejmować reformy państwa", zapewniał.

Już gdzieś słyszałem tę śpiewkę. To samo mówili Paweł Kukiz, Ryszard Petru i Szymon Hołownia, gdy zakładali swoje partie, a jak to się skończyło – dobrze wiemy. Taką gadkę dr Mirosław Oczkoś, specjalista do spraw wizerunku i marketingu politycznego, nazywa nawijaniem makaronu na uszy. Poza tym szacowny senator opowiada bzdury. Niemożliwe jest funkcjonowanie partii bez lidera i centrum zarządczego. Taki byt rozpadnie się przy pierwszej okazji, np. podczas negocjowania warunków koalicji rządowej lub w czasie kryzysu.

Nieprawdą jest też, że instytucje państwowe w ostatnich latach zostały osłabione lub zniszczone, bo partie nie mogły się porozumieć. Stało się tak dlatego, że PiS miało taką wizję państwa i nawet protesty społeczne ani groźby instytucji międzynarodowych nie powstrzymały Jarosława Kaczyńskiego przed demolką wymiaru sprawiedliwości. Poza tym nawet ostry spór i różne wizje funkcjonowania państwa nie są niczym nagannym.

Starzy znajomi

Prezesem Nowej Polski został senator Zygmunt Frankiewicz, 70-latek, były wieloletni prezydent Gliwic. Frankiewicz w polityce funkcjonuje od 35 lat. Związany był z Kongresem Liberalno-Demokratycznym, potem z Unią Wolności, a w 2001 r. został jednym z założycieli Platformy Obywatelskiej na Śląsku. W 2007 r. odszedł z Platformy, bo chciał organizować na własną rękę konferencję programową, na której mieli być obecni politycy i działacze skonfliktowani z Donaldem Tuskiem. Uznano to za przejaw nielojalności i wstęp do rozłamu w partii.

Senator Wadim Tyszkiewicz, długoletni prezydent Nowej Soli, też sroce spod ogona nie wypadł. Nie tylko współtworzył Nowoczesną Ryszarda Petru, ale również był członkiem jej 10-osobowego zarządu. „Nie mogłem dalej stać z boku, sumienie nie pozwalało. Także ze strachu, boję się, że stracimy wszystko, co się udało w Polsce osiągnąć w ostatnich latach. Zaprzepaścimy rozwój. A osiągnęliśmy dużo, Polska dziś, a ta sprzed 10 lat, to dwa różne światy", mówił w 2016 r., choć przygodę z Nowoczesną szybko zakończył.

W 2019 r. prezydent Nowej Soli został po raz pierwszy senatorem (startował z własnego komitetu wyborczego). „Podjąłem decyzję, że czas powalczyć o lepszą Nową Sól, lepsze Lubuskie i lepszą Polskę na innej, ogólnopolskiej płaszczyźnie. Mam świadomość obecnej sytuacji politycznej i ryzyka, jakiego się podejmuję. Dla mnie parlament to żaden awans, to trudne wyzwanie, którego finał jest wielką niewiadomą. Dla mnie strefa komfortu jest dzisiaj tutaj, w Nowej Soli, na co pracowałem 17 lat", prawił samorządowiec.

Twarzą Nowej Polski ma być prezydent Szczecina Piotr Krzystek, dawny działacz Platformy Obywatelskiej. Z partii odszedł w 2010 r. w wyniku konfliktu. Lokalni działacze wytykali mu zawiązywanie nieformalnych sojuszy i to, że nie potrafił współpracować. „Przez moment uwierzyłem Piotrowi Krzystkowi, że chce grać z nami w jednej drużynie, ale się pomyliłem", mówił Stanisław Gawłowski, szef zachodniopomorskiej PO.

Prezesem Nowej Polski został senator Zygmunt Frankiewicz, 70-latek, były wieloletni prezydent Gliwic.

Pod rękę z PiS

Wyjątkowo barwną postacią wśród założycieli Nowej Polski jest prezydent Opola Arkadiusz Wiśniewski, były radny tego miasta z ramienia PO. Z partią pożegnał się, gdy współtowarzysze zarzucili mu próby rozbicia klubu w radzie miasta. W 2014 r. polityczny banita został nieoczekiwanie prezydentem Opola. Nieoczekiwanie, bo na

eprasa.pl c0e04ea7c4

Konferencja prasowa senatorów z koła Niezależni i Samorządni na temat powołania partii Nowa Polska. Słowom Wadima Tyszkiewicza przysłuchuje się prezes ugrupowania Zygmunt Frankiewicz. 16 września 2025 r.

tym stołku wszyscy widzieli Patryka Jakiego. Jednak ten ku zdumieniu mieszkańców poparł Wiśniewskiego, deklarując: „Nie ukrywam, że wiele lat przygotowywałem się do startu w tych wyborach, nawet zdobycie mandatu poselskiego było tylko środkiem do tego celu. (…) Całe moje środowisko i wszystkie zasoby, jakie mam, będę chciał włączyć w tę kampanię wyborczą. Sam też będę doradzał Arkadiuszowi, jak zaprezentować jego sukcesy i jak walczyć o prezydenturę. Zaangażuję w to całą swoją wiedzę i doświadczenie. A ponieważ w ostatnich latach dużo się nauczyłem, zapewniam, że kampania wyborcza będzie zaskakująca. Walczę o przyszłość mojego miasta, w którym mają mieszkać moje dzieci, dlatego będę działał w myśl zasady: wszystkie ręce na pokład. (…) Plan kampanii mamy rozpisany w dużych szczegółach i idziemy po historyczne zwycięstwo. Zapraszamy wszystkich opolan na nasz pokład”.

Panowie zawarli układ. W zamian za wsparcie w trakcie kampanii Wiśniewski obiecał swojemu protektorowi podział politycznych łupów i współudział w rządach. „To była gra polityczna, której nie powstydziłby się Frank Underwood”, mówił z zachwytem Jaki. Janusz Kowalski został wiceprezydentem Opola, a ojciec Jakiego otrzymał stołek wiceprezesa spółki Wodociągi i Kanalizacja, by po kilku miesiącach zostać jej prezesem.

Tandem Jaki-Wiśniewski zapisał się niechlubnie w historii polskiej demokracji i samorządności. Otóż panowie wpadli na przewrotny pomysł, jak bez zbędnego wysiłku uratować finanse zadłużonego Opola. Postanowili zaanektować tereny sąsiadujących z miastem gmin, gdzie siedziby miały firmy płacące duże podatki, w tym Elektrownia Opole. Liczyli na stały zastrzyk gotówki, nawet 200 mln zł. Całą operację pilotował Jaki, który jako wiceminister sprawiedliwości przekonał rząd, aby szybko wydał zgodę na powiększenie miasta. Nie pytając samorządowców z sąsiednich gmin ani mieszkańców o zdanie i wbrew ich woli. Ci wpadli we wściekłość. Nie po to przez lata zabiegali o rozwój swoich wsi, wykładali ciężkie pieniądze na budowę dróg i kanalizacji oraz przygotowywanie terenów inwestycyjnych, by teraz cwani politycy zbijali na tym kapitał.

Na nic jednak zdały się liczne protesty. Kilka tysięcy osób demonstrowało m.in. w czasie festiwalu piosenki w Opolu i w Warszawie przed Kancelarią Prezesa Rady Ministrów. Wobec protestujących zastosowano represje. Policjanci wzywali na przesłuchania mieszkańców podopolskich wsi, którzy rzekomo okupowali biuro poselskie Jakiego. A oni chcieli tylko porozmawiać z politykiem. Innym razem jeden z aktywistów przeprosił kierowców w mediach społecznościowych za utrudnienia podczas blokady drogi. Podał znalezione w sieci numery telefonów do Wiśniewskiego i Jakiego z apelem, by wszelkie zażalenia i pretensje kierować do polityków, którzy forsowali pomysł powiększenia miasta. Dygnitarze musieli bardzo się zdenerwować. Uruchomiono potężną machinę prokuratorsko-policyjną. Mężczyzna został zatrzymany rano w swoim domu, zakuty w kajdanki i przewieziony na komendę jak jakiś zbrodniarz. Pobrano od niego odciski palców. Przeszukano mu mieszkanie. Żona i dzieci przeżyły horror. Prokuratura oskarżyła aktywistę o publiczne nawoływanie do uporczywego nękania, choć sąd potem go uniewinnił.

Arkadiusz Wiśniewski stał się zaciekłym wrogiem Jakiego. Poszło oczywiście o władzę w Opolu – prezydent nie chciał się nią dzielić. Panowie toczyli publiczną wojnę, którą relacjonowały ogólnopolskie media. Wiśniewski nawrócił się na demokrację i zaczął zwalczać PiS. Wspierał Koalicję Obywatelską, a w wyborach prezydenckich poparł Rafała Trzaskowskiego.

•

Założyciele Nowej Polski mają jedną wspólną cechę, która niekoniecznie jest ich atutem. Otóż są senatorami, prezydentami, burmistrzami i wójtami, a więc zostali wybrani w wyborach większościowych, co daje im mocny mandat. Problem w tym, że taki wybór powoduje u wybrańców narodu wzrost poczucia własnej wartości i samouwielbienie, a w końcu oderwanie od rzeczywistości, szczególnie gdy jest się wybieranym na kolejne kadencje. polityka to gra zespołowa, kompromisy i negocjacje. Indywidualności rozsadzą Nową Polskę. ■

FOT. PAWEŁ WODZYŃSKI/EAST NEWS

eprasa.pl c0e04ea7c4

Biznes dla biur podróży, wydatek dla rodziców. Tylko nauczycielom nikt nie płaci za trzy dni poza domem

PARADOKS SZKOLNEJ WYCIECZKI

Kornel Wawrzyniak

Ministerstwo Edukacji Narodowej wydało oficjalne stanowisko dotyczące zasad wynagradzania nauczycieli za udział w wycieczkach szkolnych. Zgodnie z decyzją resortu nauczyciele nie otrzymają dodatkowego wynagrodzenia za wyjazdy z uczniami. Kwestia ta jest przedmiotem szerokiej dyskusji w środowisku oświatowym. Szczególnie że w lutym 2025 r. Sąd Najwyższy zasugerował w orzeczeniu dotyczącym wynagrodzeń za szkolne wycieczki, że każda nadgodzina powinna być opłacona zgodnie z Kodeksem pracy.

Wycieczka bez premii

Orzeczenie SN wielu nauczycielom dało nadzieję, że oto wreszcie doczekają się pieniędzy za czas przepracowany na szkolnych wycieczkach. Od lat nikt, jak się zdaje, nie dostrzega tej dodatkowej pracy wykonywanej podczas wyjazdów. Ministerstwo Edukacji Narodowej ucięło jednak wszelkie spekulacje. Rzeczniczka MEN Ewelina Gorczyca poinformowała w mediach, że od 1 września 2025 r. nauczyciel wyjeżdżający z klasą „zachowuje prawo do wynagrodzenia za przydzielone, a niezrealizowane godziny ponadwymiarowe". W praktyce te okrągłe słówka znaczą mniej więcej tyle, że pedagog otrzyma taką samą pensję jak wtedy, gdy prowadzi lekcje w szkole – bez żadnych dodatków za wyjazd.

To zła wiadomość nie tylko dla nauczycieli, ale również dla dzieci i rodziców. Skoro wyjazdy z uczniami są dodatkową pracą, i to za darmo (nadmieńmy, że dziś w dobrym tonie jest płacenie nawet za wolontariat), zależą w takim razie wyłącznie od dobrej woli i chęci nauczyciela. W końcu dzieci na wycieczki jeździć nie muszą, bo nie jest to obligatoryjne. Tym bardziej że organizacja całego przedsięwzięcia leży po stronie pedagogów.

Przedstawicielki MEN co do zasady nie widzą w niczym problemu. Wiceministra Katarzyna Lubnauer w rozmowie z Portalem Samorządowym zasłoniła się truizmem, stwierdzając, że nauczyciele mają tyle samo godzin pracy co inne zawody: „Warto zauważyć, że jeśli chodzi o wymiar czasu pracy nauczyciela, to on jest 40-godzinny, czyli taki, jaki obowiązuje wszystkich pracowników. W związku z tym ten czas, który jest pomiędzy 40-godzinnym czasem pracy a godzinami

FOT. SHUTTERSTOCK

eprasa.pl c0e04ea7c4

pensum, to czas, który może wykorzystać dyrektor szkoły do wskazywania innych zadań, do kwestii związanych z wyjściami z uczniami, do doskonalenia się, przygotowania do zajęć itd.”.

Słowem, wiceministra uważa, że wycieczki szkolne mieszczą się w zakresie obowiązków nauczyciela, więc nie wymagają premiowania. Ba! Wychodzi na to, że nauczyciele na pewno mają na nie czas, bo muszą wyrobić godziny.

Katarzyna Lubnauer zdaje się opierać na powszechnym, błędnym zresztą przekonaniu, że nauczyciele pracują 18 godzin tygodniowo w przypadku szkół podstawowych, średnich czy zawodowych, bo tyle wynosi pensum. Ten popularny mit jest wynikiem mylenia pensum z pełnym czasem pracy. Pensum obejmuje jedynie prowadzenie zajęć, a rzeczywisty czas pracy uwzględnia także przygotowania, ocenianie oraz inne obowiązki zawodowe. To niepokojące, jeśli wiceministra w resorcie edukacji opiera się na mylnych danych, a właściwie na miejskich legendach, że nauczyciele mało pracują.

Jeszcze bardziej niepokojące jest zaś, że przedstawicielka ministerstwa nie zna badań przeprowadzonych przez Instytut Badań Edukacyjnych w 2022 r., które wskazują, że średni tygodniowy czas pracy nauczyciela wynosi 47 godzin. Ma on obejmować aż 54 różne czynności zawodowe – od prowadzenia lekcji po wypełnianie dokumentacji administracyjnej.

Praca za darmo całą dobę

Załóżmy jednak, że wiceministra Lubnauer ma rację, badania są zmyślone, a autor tego tekstu jest naiwny i nauczyciele rzeczywiście pracują tylko 18 godzin tygodniowo. W jednym tygodniu zostają im więc 22 godziny do zagospodarowania. Całodniowa wycieczka z wieczornym powrotem jeszcze się zmieści w tych godzinach. Ale już wycieczka z noclegiem i powrotem następnego dnia przekracza 22 godziny, które teoretycznie mamy do wykorzystania. Podbijmy stawkę. Przyjmijmy, że w miesiącu mamy 88 godzin pracy do zagospodarowania. Dziś modne są, szczególnie wśród licealistów, wycieczki zagraniczne na cztery-pięć dni. Liczymy: 4 x 24 = 96; 5 x 24 = 120. Mogłoby się wydawać, że w takim układzie nadgodziny się należą. Niestety, sprawa jest niejasna, a wszystko przez Kartę nauczyciela.

To w niej uregulowany jest czas pracy edukatorów i zakres ich obowiązków. Według ministry Nowackiej Karta nauczyciela stanowi również podstawę do ominięcia wniosków wysnutych przez Sąd Najwyższy, który, jak mówiliśmy, stwierdził, że za każdą nadgodzinę trzeba płacić zgodnie z Kodeksem pracy. Resort edukacji uważa jednak, że skoro nauczyciele pracują na podstawie KN, a nie Kodeksu pracy, to nadgodziny się nie należą.

Sprawa komplikuje się jeszcze bardziej, kiedy zajrzymy do KN, bo jest tam spora przestrzeń na różne interpretacje. Weźmy art. 30 ust. 1 pkt 3, który mówi, że wynagrodzenie nauczycieli, z zastrzeżeniem art. 32, składa się, oprócz wynagrodzenia zasadniczego i dodatków: za wysługę lat, motywacyjnego, funkcyjnego oraz za warunki pracy, z „wynagrodzenia za godziny ponadwymiarowe i godziny doraźnych zastępstw”. W art. 34 ust. 1 czytamy zaś: „Nauczycielom pracującym w trudnych lub uciążliwych warunkach przysługuje z tego tytułu dodatek za warunki pracy”. Dodatkowo w art. 42b ust. 1: „Nauczyciel może być obowiązany do realizowania tygodniowego obowiązkowego wymiaru godzin zajęć wychowawczych także w porze nocnej”. I dalej w ust. 2: „Za każdą godzinę pracy w porze nocnej nauczycielowi przysługuje dodatkowe wynagrodzenie w wysokości 15% godzinowej stawki wynagrodzenia zasadniczego, jednakże nie niższej niż ustalona na podstawie art. 151^8 par. 1 Kodeksu pracy”.

Nie mamy jednak jasnego przepisu określającego, że za wycieczkę szkolną należy się np. konkretna kwota dziennie. Sam czas pracy na wycieczce też trudno określić. W niektórych wypadkach to może być nawet 16 godzin, jeśli wziąć pod uwagę, że nauczyciel nie musi kontrolować sytuacji tylko wtedy, kiedy dzieci śpią. W praktyce wycieczka oznacza, że nauczyciel jadący z uczniami często pracuje przez kilkanaście godzin na dobę. Sprawuje opiekę, dba o bezpieczeństwo, reaguje na nagłe sytuacje. Obecnie te godziny nie są traktowane ani jako nadgodziny, ani nawet jako praca w godzinach nocnych. Pensja pozostaje bez zmian, niezależnie od faktycznego czasu pracy podczas wyjazdu.

Wielu nauczycieli postrzega takie podejście jako przejaw braku szacunku dla ich pracy. Podkreślają, że szkolna wycieczka nie stanowi czasu wolnego, lecz wiąże się z ciągłą odpowiedzialnością za uczniów, niejednokrotnie bez możliwości odpoczynku, snu czy zachowania prywatności. W trakcie wyjazdów z młodszymi dziećmi nauczyciele pilnują nawet przyjmowania leków.

Wszystkim umyka fakt, że nauczyciel na kilka dni znika z domu i jest wtedy odcięty od spraw prywatnych.

– Wszystkim umyka fakt, że nauczyciel na kilka dni znika z domu i choćby się waliło i paliło, jest wtedy odcięty od spraw prywatnych, niezależnie od tego, czy rozchorowało mu się dziecko, czy wydarzyło inne nieszczęście, bo powrót planowany jest na piątek wieczór, wycieczka odbywa się kilkaset kilometrów od domu, a zorganizowanie zastępstwa jest wręcz niemożliwe. Przy dobrych wiatrach, jeśli wycieczka liczy kilka klas, trafi się na koleżankę. Przy złych jedzie się z kimś, kogo prawie się nie zna – mówi Maria, nauczycielka z warszawskiego Śródmieścia.

Rodziców napinka codzienna

Wycieczki nie organizują się oczywiście same. To kolejna odpowiedzialność, która spada wyłącznie na nauczyciela. O wycieczce trzeba

eprasa.pl c0e04ea7c4

zacząć rozmawiać z rodzicami jakieś pół roku wcześniej. Chodzi nawet nie o rezerwację najlepszej oferty, ale o dyskusję, która rozpoczyna się w klasach. Rodzice potrafią naprawdę dać się we znaki. Nie tylko wychowawcy, ale też innym rodzicom. Część osób chce się popisać przed innymi, dlatego brnie w najdroższe i najdziwniejsze pomysły na wyjazd, nie zważając na rozsądek. Spirala kosztów się nakręca, bo jakaś grupa rodziców wchodzi w to, często w obawie przed uznaniem ich za biednych. Tym sposobem ton klasowej wycieczce najczęściej nadają kompleksy rodziców.

Gdy ktoś nie zgadza się na koszty, natychmiast pada ofiarą szantażu. Pal licho, że kogoś nie stać, ale inni nie pojadą, bo albo jadą wszyscy, albo nikt. Tu zależnie od klasy dzieją się różne sytuacje.

– Nasze dzieci chodzą do jednej szkoły. Dzielą je dwa lata różnicy. W jednej klasie przy aprobacie wychowawczyni przechodzą pomysły mamusi, która najgłębiej weszła nauczycielce w zadek. Inni mają się dostosować i wyskakiwać z kasy. U naszego starszego dziecka sytuacja ma się zgoła inaczej. Kiedy któregoś rodzica nie stać na wycieczkę, nauczycielka poza forum pyta, na jaką kwotę jest gotowy. Różnicę dzieli się pomiędzy resztę klasy, tak żeby mogli jechać wszyscy – opowiada matka dwójki nastolatków.

Osobną kwestią są koszty wyposażenia dzieci na wycieczkę. Podstawowym problemem jest to, ile dziecku zostawić kieszonkowego. Tutaj znów trzeba szukać balansu między rozsądkiem a szpanem. Dzieci w ślad za rodzicami wytykają uczniów, którzy nie dostali dostatecznie dużo pieniędzy.

– Nasz syn jechał w tym roku pierwszy raz na całodniową wycieczkę. Panowała atmosfera wielkiego wydarzenia, bo pierwszy wyjazd z kolegami i bez rodziny. Przygotowania, plecaki, przekąski, no i kieszonkowe. Daliśmy dziecku 100 zł. Całkiem sporo jak dla ośmiolatka. Dziecko wróciło zrozpaczone. Koleżeństwo miało nawet po kilkaset złotych i wytykało paluchami „biedaków", co nie mieli na Labubu – wspomina mama pierwszoklasisty.

Pozostaje jeszcze wyposażenie dziecka na podróż. Sporo wycieczek jest tematycznych. Często pociechy trzeba dodatkowo ubrać, dokupić np. buty czy specjalną kurtkę. – Syn jechał dwa lata temu z klasą w góry. My na co dzień wolimy morze, więc zero sprzętu. Kupiłem mu buty w góry. Właściwie jednorazowa inwestycja, bo już nigdy więcej z nich nie skorzystał – wyrósł. Można powiedzieć, że wycieczka kosztowała mnie po prostu 300 zł więcej, niż było w cenniku – śmieje się Julian, ojciec 13-latka.

Dodatkowo należy zrobić zapasy jedzenia na jazdę autokarem przynajmniej w jedną stronę. Czasem jeszcze dołożyć przekąski do pokoju lub na kolejne dni wycieczki. Szybkie pytanie do dziecka, co mu zapakować. Czipsy, batony, kanapki, owoce, wodę, krakersy, paluszki. Tak, wszystko naraz. Lekką ręką wydamy na to ok. 150 zł.

Pięć-siedem dni we Włoszech może brzmieć przyjemnie. Ale to nadal wielka odpowiedzialność i praca za darmo.

Kiedy w dramatycznych okolicznościach ustali się szczegóły wycieczki, po wszystkich zmianach zdania i planów przez rodziców, gdy okaże się, że w danym terminie żaden uczeń nie idzie na wyrywanie czwórek pod narkozą, słowem jadą wszyscy i zrobiło się całą papierkową robotę wokół wycieczki – a to masa zaświadczeń, pozwoleń, umów itd. – wtedy, już na samym końcu, idzie się do dyrektora placówki, który zawsze może powiedzieć „nie".

– W zeszłym roku organizowałam wycieczkę z biurem podróży, które specjalizuje się w szkolnych wyjazdach. Jedną z atrakcji na trasie był park linowy. Dyrektorka zawróciła mnie do rodziców z całym pomysłem, bo się bała, że dzieci się połamią i jak to będzie wyglądało – mówi zaprawiona w bojach wychowawczyni piątej klasy. Podobne doświadczenia ma Marzena, wychowawczyni szóstej klasy w szkole podstawowej: – Mój dyrektor prawie dostał zawału, kiedy zobaczył, że jedną z atrakcji podczas trzydniowej wycieczki mają być warsztaty praktyczne obejmujące wbijanie gwoździ i korzystanie z narzędzi. Oczywiście pomysł upadł i nigdzie nie pojechaliśmy, bo to była jedyna oferta, na którą po długich bojach zgodzili się rodzice.

Biznes to biznes

Część biur podróży ma specjalną ofertę dla szkół. Inne specjalizują się właściwie wyłącznie w organizacji wyjazdów szkolnych. Oferta bogata, ale tanio nie jest. Propozycja pierwsza z brzegu – „Aktywne Mazury". Przejazd, wyżywienie, zakwaterowanie, opłaty, atrakcje. Zależnie od grupy od 1269 zł do 1549 zł. Trwająca trzy dni „Mazurska Przygoda" kosztuje między 779 a 999 zł. Wycieczka z województwa mazowieckiego do Malborka na dzień może kosztować 430 zł przy 24 osobach. Przy kilku klasach koszty spadają. Za 60 osób płacimy 240 zł od głowy. Jeśli chcemy wysłać dziecko za granicę, nic trudnego. Na przykład Włochy w pigułce za 3019 zł z Warszawy dla grupy 40-44 uczniów plus koszty biletów wstępu na wszystkie atrakcje.

– Pięć-siedem dni we Włoszech albo w Grecji może brzmieć całkiem przyjemnie. Ale to nadal wielka odpowiedzialność i praca za darmo. To tydzień poza domem, w którym może ktoś zostawił chorego męża czy żonę dochodzącą do siebie po operacji. To tydzień bez rodziny. Część rodziców napisze po wycieczce, że było świetnie. Niestety, częściej odzywają się ci, którzy mają pretensje, że było do kitu, a nauczyciel nie dopilnował, żeby Krzyś patrzył na Akropol zamiast w telefon. To taka smutna puenta, która ostatecznie odbiera kolejnym osobom chęć brania tych wszystkich wyjazdów na swoje barki – podsumowuje pani Amelia, nauczycielka z warszawskiego liceum.

Kornel Wawrzyniak
k.wawrzyniak@tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl c0e04ea7c4

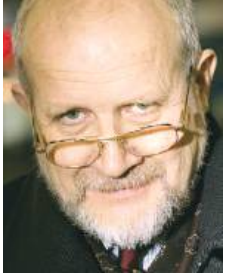

Z Galicji

Jan Widacki

Mamy z Litwinami ogromny skarb wspólnego dziedzictwa

W czasie ostatniej wizyty we Włoszech prezydent Litwy Gitanas Nausėda dotarł do Bari, gdzie w bazylice św. Mikołaja odwiedził grób królowej Bony. Prezydent zwrócił uwagę na fakt, że jej osoba łączy oba narody: Włochów i Litwinów. To Bona wprowadziła kulturę renesansową na północ od Alp, była też inicjatorką „reformy włócznej" – wielkiej reformy agrarnej, która umożliwiła lepszą kontrolę i ściąganie większych dochodów z dóbr królewskich w Wielkim Księstwie.

Zdaniem prezydenta warto zadbać o przywrócenie pamięci Bony w jej rodzinnych Włoszech. Na pewno warto, ale jest to zadanie zarówno dla Litwinów, jak i dla Polaków. Przy okazji przypomniano by Włochom, że Bona była nie tylko wielką księżną litewską, ale przede wszystkim królową polską, żoną króla Zygmunta Starego, matką króla Zygmunta Augusta, skądinąd twórcy unii lubelskiej. Można by jej przy okazji wybaczyć to, że nie uznawała swojej synowej, Litwinki Barbary Radziwiłłówny, a wedle silnie zakorzenionej w Polsce, choć mało prawdopodobnej legendy miała ją nawet otruć.

Na jej nagrobku, który tak zafascynował litewskiego prezydenta, obok litewskiej Pogoni jest też – czego nie odnotowały litewskie media opisujące to wydarzenie – polski orzeł, a z dwóch figur świętych jedna to figura św. Mikołaja, patrona kościoła, druga zaś to św. Stanisław, patron Polski. Taki drobny spór o rozłożenie akcentów.

A przecież mamy z Litwinami ogromny skarb wspólnego dziedzictwa, które razem powinniśmy pielęgnować. Bez dzielenia, co w nim jest tylko polskie, a co tylko litewskie – bo przy tej okazji trzeba by czasem się spierać – i co tylko białoruskie lub tylko ukraińskie. Naprawdę dziedzictwo Rzeczypospolitej Obojga Narodów jest wspólne!

Swego czasu zabawny był polsko-litewski spór o narodowość św. Kazimierza. Polak on czy Litwin? Syn Kazimierza Jagiellończyka i Elżbiety Rakuszanki… Przy czym Kazimierz Jagiellończyk był synem Litwina (Jagiełły) i Rusinki (Sonki). Elżbieta była Niemką. Nierozstrzygalne: Polak czy Litwin? Bo XIX-wieczne kategorie narodowości nie przystają do XV w.

Ale zamiast dokonywać wiwisekcji wspólnego dziedzictwa, lepiej zajmijmy się współczesnością. Zamiast do Bari, pojedźmy do Solecznik. To niewielkie miasteczko na południe od Wilna, stolica rejonu, jest największym skupiskiem Polaków na Litwie. W samym miasteczku Polacy stanowią ponad 70% mieszkańców. Litwini zaledwie 13%. W rejonie solecznickim odsetek Polaków jest jeszcze większy. Sięga 80%. To bardzo miłe, że wytrwali tam „przy wierze i polskości", jak chwalą ich wycieczki z Polski. Problem w tym, że w ostatnich wyborach prezydenckich w pierwszej turze, w której Gitanas Nausėda w całej Litwie otrzymał 44% głosów (a w drugiej zwyciężył bezkonkurencyjnie), w rejonie solecznickim wygrał niejaki Eduardas Vaitkus. Zebrał tam ponad 40% głosów, podczas gdy w całej Litwie był traktowany raczej jak przejaw politycznego folkloru.

Nie w Bari, ale w Solecznikach jest prawdziwe źródło tarć na linii Polska-Litwa.

Na kogóż zatem głosowali nasi rodacy z Solecznik? Na jegomościa, który w swoim programie wyborczym domagał się poprawy relacji z Rosją i Białorusią, usunięcia baz amerykańskich z Litwy, wypędzenia z Litwy Swiatłany Cichanouskiej, zniesienia „przywilejów" dla Ukraińców. W polityce wewnętrznej również był radykalny. Domagał się zakazu nauczania w szkołach treści LGBT, chciał ograniczenia autonomii uczelni, którą nazwał „samowolą", nacjonalizacji gazociągów, wodociągów, elektrowni i innych gałęzi przemysłu o znaczeniu strategicznym.

Pamiętając, że problem mniejszości polskiej na Litwie determinuje poziom stosunków polsko-litewskich, trzeba uznać, że to chyba w Solecznikach, a nie w Bari jest prawdziwe źródło tarć na linii Polska-Litwa. I ten problem oba państwa także powinny rozwiązać wspólnie. ■

Przegląd sklep.tygodnikprzeglad.pl ZAWSZE W ZASIĘGU RĘKI
KSIĄŻKI E-BOOKI PRENUMERATA ELEKTRONICZNA SUBSKRYPCJA ZDANIE

Poprzednie felietony na tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl c0e04ea7c4

TRZEBA SIĘ SKARŻYĆ NA ZŁE TRAKTOWANIE

Zadziwiająco często ludzie starsi są bezradni nawet w prostych sprawach

STANISŁAW BRZOZOWSKI
– dziennikarz, społeczny rzecznik praw osób starszych w Olsztynie od początku 2010 r. Jego powołanie było realizacją postulatu zapisanego w programie „Pogodna i bezpieczna jesień życia na Warmii i Mazurach" na lata 2007-2014, a społeczna funkcja znalazła potwierdzenie w kolejnych programach polityki senioralnej przyjmowanych przez zarząd województwa.

Rozmawia Marek Książek

Kogo w dzisiejszych czasach uważa się za osobę starszą, bo średnio żyjemy o wiele dłużej niż kiedyś, gdy 60-latka uważano za staruszka?

– Określają to przepisy i dokumenty polityki senioralnej, zgodnie z którymi za osobę starszą uważa się taką, która ukończyła 60 lat, choć potocznie są to osoby w wieku emerytalnym: kobieta – 60 lat i mężczyzna – 65. Co nie znaczy, że dzisiejszych emerytów można nazwać starcami. Istotnie granica wieku, także w Polsce, wyraźnie przesunęła się w górę.

Mam kilkoro znajomych, którzy przekroczyli dziewięćdziesiątkę, są sprawni fizycznie i umysłowo, oczywiście na miarę dostojnego wieku. Wychodzi, że jedną trzecią wieku przeżywają na emeryturze.

– To prawda, że coraz więcej ludzi dożywa tak pięknego wieku, ale średnio raczej nie jedną trzecią, lecz kilkanaście lat, najwyżej jedną czwartą życia spędzają na emeryturze.

Spędzają aktywnie? Eksperci już się zastanawiali, jak zagospodarować im wolny czas, żeby mogli poczuć radość jesieni życia. Chyba wielu działa na uniwersytetach trzeciego wieku?

– Może tak się wydawać, ale według statystyk zaledwie 10-15% osób w wieku emerytalnym jest zaangażowanych w różne formy aktywności. Są nawet trochę widoczne w przestrzeni medialnej, na forach internetowych, lecz jeśli spojrzymy na liczby, zobaczymy, że 85% emerytów tej aktywności w ogóle nie przejawia, często spędza cztery-pięć godzin dziennie przed telewizorem! W samym Olsztynie żyje ok. 40 tys. osób po sześćdziesiątce, a w czterech uczelniach typu UTW zaangażowanych jest zaledwie 1,5 tys.

Może starsi ludzie niekoniecznie chcą „się douczać", wolą spacer do lasu, zakupy albo wyjście na imprezę kulturalną? Czy istnieje w Polsce program aktywizacji zachęcający ich do nowych form spędzania wolnego czasu?

– To kwestia osobistego nastawienia. Na wiele rzeczy nie mamy wpływu. Jeśli odziedziczyłeś w genach chorobę nowotworową, jeśli nie

FOT. MAREK KSIĄŻEK

eprasa.pl c0e04ea7c4

potrafiłeś sobie w życiu radzić i cierpisz biedę albo jeśli dachówka spadnie ci na głowę, nie masz na to wpływu! Ale na jedną rzecz masz wpływ – jeśli dziś nie ruszysz czterech liter, jutro będziesz miał kłopoty, jeśli dziś wyłączysz głowę, jutro przestaniesz być wartościowym człowiekiem. Na to mamy wpływ i tyle możemy zrobić, od tego zależy, w jakim stanie obudzimy się następnego ranka. To uwaga geriatry, dr Małgorzaty Stompór, z którą współpracujemy.

Współpracujemy? Jako rzecznik praw osób starszych, podobno jedyny w kraju?

– Nie jedyny! Tylko w naszym województwie jest nas troje działających społecznie pod egidą Federacji Organizacji Socjalnych Województwa Warmińsko-Mazurskiego FOSa, dużej organizacji pozarządowej. Fakt, że zostałem powołany najwcześniej, bo już w 2010 r., ale są jeszcze Krzysztof Marusiński w Orzyszu i Urszula Wolna w Elblągu. Jesteśmy rzecznikami społecznymi, ale nasza funkcja została zapisana w wojewódzkim programie polityki senioralnej, co jest dla nas ważne, bo występując w sprawach osób starszych, możemy się powołać na to umocowanie.

W dokumentach wyczytałem, że zajmujecie się całą gamą tematyczną, od oszustw dotykających seniorów po konflikty rodzinne. Jak pomagacie w takich przypadkach i czy w ogóle możecie pomóc?

– Różnie bywa. Kiedy dochodzi do przemocy czy oszustwa wobec seniora, gdy osoby starsze stają się ofiarami kradzieży, odsyłamy na policję. Nie zajmujemy się ściganiem przestępstw. Możemy za to interweniować w imieniu osób starszych, pomóc seniorowi w załatwieniu trudnej sprawy, doradzić... Zadziwiająco często ludzie starsi są bezradni nawet w prostych sprawach. Zwłaszcza w kontaktach z urzędem, sądem i ZUS. Może to pozostałość z dawnych czasów, ale gdy usłyszą, że ich sprawa jest nie do załatwienia, odchodzą od okienka ze spuszczoną głową, pogodzeni z losem, nawet jeśli racja jest po ich stronie. W wielu przypadkach prosta czynność, czyli odwołanie od decyzji urzędnika, może całkowicie zmienić ich położenie. Tylko trzeba im uświadomić, że odwołanie to ich prawo, a nie urzędnicza łaska.

Kiedyś pracowaliśmy razem w prasie olsztyńskiej i w artykułach zajmowaliśmy się zwalczaniem biurokracji, więc i teraz z takimi przypadkami potrafisz sobie poradzić. Możesz podać przykłady interwencji rzecznika?

– Kilka miesięcy temu zgłosił się do mnie mężczyzna, który jako ofiara przestępstwa poruszał się na wózku, część ciała miał sparaliżowaną. Widać było, że potrzebuje wsparcia. W pierwszym podejściu jego potrzeby ocenione zostały na 64%, nie dawało mu to prawa do zasiłku wspierającego. Pomogłem mu napisać odwołanie i dostał ponad 80%, a więc zasiłek też otrzymał. Wystarczyło odwołanie, widzę jednak, ile osób nie potrafi się na to zdecydować.

Co robisz, gdy dostajesz taki telefon?

– Miałem przypadek z Działdowa, kiedy osoba starsza znalazła się w całodobowym domu opieki społecznej, ale jej się tam nie podobało i wróciła do swojego mieszkania. Wtedy kierownik gminnego ośrodka pomocy społecznej zaalarmował nas, że kobieta zrobi sobie w domu krzywdę. Okazało się, że jej córka przebywa w Danii. Rozmawiałem z nią, tłumaczyła, że sama ma problemy zdrowotne i nie przyjedzie do kraju nawet na święta. A to znaczy, że nawet najbliższa rodzina potrafi zostawić starą matkę na pastwę losu, licząc, że ktoś tam się nią zaopiekuje. Ba, na tym tle dochodzi do kłótni między rodzeństwem, które zarzuca sobie nawzajem znieczulicę, patrzenie tylko na pieniądze, niewdzięczność. A stary ojciec czy matka zostają sami. To trudne sprawy i nie ma prostej recepty. Ja w takich przypadkach staram się rozmawiać ze stronami, próbować je godzić, ale nie jestem terapeutą. Oczywiście, gdy dochodzi do przemocy w rodzinie, pozostaje tylko zgłoszenie sprawy na policję.

Zaledwie 10-15% osób w wieku emerytalnym jest zaangażowanych w różne formy aktywności.

Czy miałeś również przypadki, że wiekowa już kobieta żali się na synową, która źle ją traktuje, a syn nie broni matki?

– Oczywiście. Badania socjologiczne wskazują, że dla osoby starszej rodzina jest najważniejsza. Jeśli w domu wszystko układa się dobrze, reszta problemów schodzi na dalszy plan. Podkreślam, że aby wszystko było OK, muszą się w to zaangażować obie strony. Jest to zadanie dla młodych, ale i dla ich rodziców, którzy też powinni dbać o klimat w rodzinie. A znamy takie przypadki, że synowa krzywo spojrzy na teściową i po 20 latach tracą kontakt, a wówczas zaczynają się problemy. Bardzo często również jest tak, że ktoś, mając 80 lat, zostaje sam w domu, rodzina myśli o przejęciu jego emerytury, a jeszcze bardziej mieszkania, opiekę nad nim sprawuje zaś na odległość. Dzwonią potem do ośrodków opieki społecznej w mieście czy w gminie, do takich organizacji pozarządowych jak moja, żeby coś załatwić.

I policja sobie radzi?

– Pamiętam sytuację przemocy domowej ze wsi w powiecie mrągowskim. 50-letni syn, kawaler, nadużywający, jak to często bywa, alkoholu, wyzywał i krzywdził 80-letnią matkę. Policja założyła mu sprawę o znęcanie, doprowadziła nawet przed sąd. Oprawca skwapliwie się zgodził na propozycję sędzi, żeby przeprosił i pojednał się z matką. Ona mu przebaczyła. Niestety, po dwóch tygodniach domowy koszmar zaczął się od nowa.

W dawnych czasach dziadek brał emeryturę lub rentę i wszyscy na niego chuchali, bo był jedynym konkretnym żywicielem rodziny. Jak jest dzisiaj?

– Zupełnie odwrotnie! Od kilkunastu miesięcy przeciętna emerytura stała się niższa od połowy przeciętnej

eprasa.pl c0e04ea7c4

pensji, która teraz wynosi prawie 9 tys. zł brutto. Nasze emerytury tanieją, a koszt utrzymania pensjonariusza w domu pomocy społecznej wynosi ok. 7 tys. zł, więc na tych starszych, biednych osobach nie można zarobić. Mało kto ma zresztą tak wysoką emeryturę, żeby wystarczyła na pokrycie opłaty w DPS. Na utrzymanie takiego pensjonariusza dyrekcja DPS może zabrać do 70% jego świadczeń socjalnych, a to znaczy, że resztę muszą pokryć bliscy albo gmina. Ostatnio córka zostawiła starą matkę gdzieś w domu na kolonii, bo się jej „wyrzekła", ot tak sobie, na gębę. Tymczasem, kiedy gmina ostatecznie się zdecyduje – o co prosiłem – oddać tamtą kobietę do domu opieki, przypomni córce o jej obowiązkach alimentacyjnych, sprawdzi jej dochody.

To nie wszystkie obszary, którymi rzecznik praw osób starszych się zajmuje.

– Muszę wspomnieć jeszcze o zdrowiu. Dla osób starszych to druga po rodzinie najważniejsza sprawa. Łamanie przepisów dotyczących ochrony zdrowia odbija się na nas wszystkich. Na przykład nieprzestrzeganie ustawy o transporcie medycznym. Jeśli ktoś ma kłopoty z narządami ruchu, ma prawo do darmowego transportu. Ten zapis jest nagminnie łamany. Na przykład w stosunku do osób po operacji stawu biodrowego szpital najczęściej czeka, aż rodzina sama zabierze pacjenta. Zachowanie pracowników ochrony zdrowia bywa czasami skandaliczne. Starszy, mieszkający kilkanaście kilometrów od miasta pacjent z podejrzeniem wylewu trafił na oddział ratunkowy olsztyńskiego szpitala. Po doraźnym zaleczeniu wypisali go do domu… o wpół do pierwszej w nocy, licząc, że bliscy czekają na niego pod drzwiami. A gdyby nie czekali?

Łamanie przepisów dotyczących ochrony zdrowia odbija się na nas wszystkich.

Interweniowałem w przypadku samotnego mężczyzny po osiemdziesiątce, po ciężkiej operacji urologicznej, któremu groziło, że zostanie odstawiony na dworzec kolejowy w Olsztynie, skąd sam miał dojechać pociągiem 80 km do Działdowa. Zadzwoniłem do rzecznika praw pacjenta, bo w każdym szpitalu taki jest. Przez pierwsze 10 minut miła doktor tłumaczyła, jak duże koszty wiążą się z wysłaniem tak daleko karetki. Dopiero gdy zapytałem, czy jest rzecznikiem praw pacjenta, czy rzecznikiem szpitala, zmieniła ton i odwieźli człowieka karetką. Takie zachowania nie są marginalne. Trzeba uzmysławiać ludziom, że w każdym szpitalu jest rzecznik praw pacjenta, podobnie jak w NFZ. Trzeba się skarżyć na złe traktowanie, zgłaszać przypadki łamania przepisów, przełamywać mentalność, która każe nam raczej nie zadzierać z pracownikami ochrony zdrowia i nie tylko.

Marek Książek

LIST

Faszyści ante portas? Nie, są na szczycie

Odradzanie się nazizmu w Polsce zaczęło się na przełomie lat 1986-1987. Wtedy nastąpił znaczny wzrost popularności subkultury skinów. Część skinów chciała coś robić dla Polski, byli to często młodzi ludzie, którzy wynieśli z domu „jedyną słuszną i objawioną prawdziwą wiedzę" na temat 17 września, Katynia, roku 1920 czy bandytów przeklętych. Jednakże spora część to była zwykła bandyterka, szukająca usprawiedliwienia do bicia.

Bardzo szybko skini zostali zauważeni przez środowisko starych endeków, różnej maści antysemitów i antykomunistów. Zaczęli przystępować do organizacji, które ujawniły się na przełomie lat 80. i 90.: Narodowego Odrodzenia Polski (założonego w roku 1981), Polskiej Wspólnoty Narodowej (założonej w roku 1955!), Młodzieży Wszechpolskiej (reaktywowanej w roku 1989), Organizacji Narodowo-Radykalnej (ONR, założonej w roku 1993) i wielu innych. Skini byli też w Patriotycznym Ruchu Odrodzenia Narodowego (PRON, oficjalnej rządowej organizacji). Nie wiadomo dokładnie, jak władze PRL walczyły z tymi organizacjami, ale faktem jest, że zdarzały się m.in. przypadki ataków skinów na manifestacje Solidarności.

O ile w latach 80. skini ograniczali się raczej do zadym na koncertach lub sporadycznych ataków na zagranicznych studentów, o tyle po roku 1989 nastąpiła radykalizacja ruchu. Dostępne stały się materiały z Zachodu o skinach w Niemczech czy w Wielkiej Brytanii. Polscy skini zaczęli to kopiować. Antysemicką indoktrynację wyniesioną z wymienionych wcześniej organizacji zaczęli uzupełniać o fascynacje symboliką III Rzeszy, dokonaniami SS czy Ku Klux Klanu.

Faszyści ante portas? Nie, są na szczycie

Na efekty nie trzeba było długo czekać. Do dziś polscy neonaziści zamordowali ok. 30 osób (bezdomnych, członków innych subkultur, obcokrajowców). Liczba pobić jest nie do oszacowania. Pozytywnych dokonań brak.

Różnica między obecnymi nazistami a dawniejszymi jest taka, że teraz nie trzeba być Żydem czy komunistą, aby oberwać – większość z nich rozumuje w prosty sposób: nie jesteś z nami, to jesteś przeciwko nam.

Obecnie polscy neonaziści mają szerokie kontakty na całym świecie, mają też swoje zespoły muzyczne, wydają gazetki. Co do samej Młodzieży Wszechpolskiej, to może i jakieś jej hasła są ciekawe, ale poza przemocą i pustymi deklaracjami nic nie oferuje, za to wielu jej członków przejawia, także otwarcie, fascynacje nazizmem. Rozumiem, że można się zatracić i zostać w Polsce faszystą. Ale zupełnie nie rozumiem, jak w naszym pięknym kraju można się stać nazistą. Odwoływanie się w tej ideologii w polskim wydaniu do symboliki SS czy nazistowskiej to już zupełna paranoja. Na chłopski rozum przecież wydaje się jasne, że jak ktoś ma manię ponadwszystkopolskości, to symbolika germańsko-niemiecka w tym ekstremalnie antypolskim wydaniu nie jest rozsądnym wyborem.

Nie dziwiłyby mnie symbole polskie z czasów, gdy Polska historycznie była najsilniejsza i najpotężniejsza. Ale gdy widzę Polaka czy Słowianina, który nosi patkę SS albo trupią czachę i krzyczy „Sieg Heil!", to doprawdy zastanawiam się, czy ten człowiek jest zdrowy.

Michał Czarnowski

eprasa.pl c0e04ea7c4

Refleksje pesymisty

Andrzej Romanowski

Słabnięcie państwa

Czy Polska jest nadal państwem niepodległym? Po raz pierwszy zadałem sobie to pytanie podczas wizyty Karola Nawrockiego w Białym Domu. Polski prezydent podziękował wtedy prezydentowi amerykańskiemu za wsparcie w polskiej kampanii wyborczej. Czyli podziękował za ingerencję w polski proces wyborczy, za mieszanie się w wewnętrzne polskie sprawy. Czy istnieje coś bardziej odrażającego niż zaproszenie do polskiej polityki czynnika obcego?

Polską podległość wobec USA ukazywały następne tygodnie. Oto współpracownicy prezydenta informują, że Donald Tusk nie jest mile widziany w Białym Domu. Skąd mają tę wiedzę? Czyżby byli rzecznikami Nawrockiego i Trumpa równocześnie? Kiedy indziej znów mówią: Bogdan Klich nie może być polskim ambasadorem w USA. A dlaczego? Bo kiedyś źle o Trumpie się wyrażał. Czy Trump komunikuje się z Polską wyłącznie za pośrednictwem „swoich Polaków"?

Lizusowskie relacje z obcym mocarstwem budzą najgorsze skojarzenia. Ale też widać już, że Polska niepodległa przestaje być wartością, że ustępuje pola Polsce lennej, Polsce Trumpa. A przecież bezalternatywne oparcie na zamorskim mocarstwie zdążyło już ujawnić swą nicość. Gdy bowiem 10 września rosyjskie drony nadleciały na Polskę, pomoc logistyczną nieśli tylko Europejczycy: Niemcy, Holendrzy, Włosi. A potem cała Europa wyrażała z Polską solidarność. Natomiast Trump milczał. Przemówił po 12 godzinach, wydając dwuzdaniowy, enigmatyczny komunikat. Wreszcie oświadczył: „Może to była pomyłka". Jak widać, oparcie w Trumpie – to oparcie na ruchomych piaskach. Tej oczywistości zdziecinniała polska prawica nie jest w stanie uznać.

Tymczasem w gąszczu polityki międzynarodowej Nawrocki poruszał się z wdziękiem słonia w składzie porcelany. Samowolnie, lekceważąc rząd i konstytucję, poszerzał sobie prezydenckie kompetencje. „Co by tu jeszcze spieprzyć, panowie?", śpiewał niegdyś Wojciech Młynarski, a takie spieprzenie udało się Nawrockiemu na kilku odcinkach. Przede wszystkim zablokował nominacje nowych ambasadorów. Obniża to oczywiście prestiż polskich ambasad, lecz dla PiS to nigdy nie był problem: racja partii była zawsze ważniejsza od racji stanu.

Zaznaczył też Nawrocki swą aktywność na odcinku ukraińskim. Był konsekwentny: jeszcze przed objęciem prezydentury wygłosił na ten temat kilka tyrad. Teraz jednak, jako prezydent, miał okazję to zmienić: Ukraina ugięła się przecież przed polskimi żądaniami, zgodziła się na ekshumację w Puźnikach, obiecała ekshumacje dalsze. Nic to! Nawrocki ochoczo wkroczył w wyjeżdżone koleiny. Jego list, odczytany w Puźnikach przez Marcina Przydacza, zamiast próby pojednania, oferował konfrontację. W dodatku bezceremonialnie ingerował w wewnętrzne sprawy Ukrainy. I teraz nasi sąsiedzi już wiedzą: cokolwiek by zrobili, Polakom zawsze będzie mało.

Psucie wszystkiego było jednak najlepiej widoczne na odcinku niemieckim. Tu też Nawrocki był konsekwentny. Najpierw, w przemówieniu 1 września na Westerplatte, odgrzał problem reparacji. Potem sprawę tę podniósł w rozmowach w Berlinie na najwyższym szczeblu: z kanclerzem i prezydentem Niemiec. Nietrudno było przewidzieć, że nic nie wskóra, lecz jakże bardzo zaszkodził! Niemcy bowiem (na razie nieoficjalnie) powiązali już sprawę reparacji z polskimi ziemiami zachodnimi i północnymi. Zawsze się obawiałem takiego scenariusza, dziś obawiam się go jeszcze bardziej, bo zapewne zyska on w Niemczech podatny grunt. Rosnąca w siłę (i popierana przez Amerykanów!) Alternatywa dla Niemiec nazywa nasze ziemie zachodnie i północne „Niemcami wschodnimi". Czy czując na plecach gorący oddech tej partii, trzeba było nadwyrężać relacje z dzisiejszymi Niemcami? A w obliczu zagrożenia ze wschodu – trzeba otwierać nowe fronty? Nieprzypadkowo ani w Berlinie, ani w Paryżu nie urządzono Nawrockiemu wspólnej z gospodarzami konferencji prasowej. Bo jakież to jest jego największe osiągnięcie? Obudzenie w Niemczech demonów.

Jakież to jest największe osiągnięcie Nawrockiego? Obudzenie w Niemczech demonów.

Na spotkaniu z dziennikarzami w Paryżu korespondent Telewizji Republika zapytał Nawrockiego o przyszłość polskiego chargé d'affaires w Berlinie. Prezydent, odpowiadając, sprawiał wrażenie, jakby ten termin słyszał po raz pierwszy, a przynajmniej jakby nie był w stanie go powtórzyć. „Szarż", „pan szarż", „pana szarż", „panu szarż", mówił z właściwą sobie pewnością siebie i z odpowiednim namaszczeniem. Oto kompetencje człowieka, który stara się rozwalić polskie służby zagraniczne. I oto ręce, próbujące zawłaszczyć polskie słabnące państwo.

a.romanowski@tygodnikprzeglad.pl

Poprzednie felietony na tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl c0e04ea7c4

Październik 1956 z perspektywy klubów inteligencji

Ziarna zasiane wówczas dały owoce później

Roman Broszkiewicz

Stałe zainteresowanie „Przeglądu" fenomenem Polskiego Października przybliża do zrozumienia tego wydarzenia, wobec którego ciągle są pytania, ale odpowiedzi już tylko bywają. Nazywam Październik fenomenem z uwagi na jego unikatowość w historii świata. Jest niemal regułą, że odejście od władzy dyktatorskiej do jakiejkolwiek innej następuje w drodze działań gwałtownych, na ogół krwawych, często rewolucyjnych. Ale wtedy władza dyktatorska w pokojowy sposób przemieniła się w autorytarną, z pełną zgodą i poparciem ogromnej większości społeczeństwa, bez krwawych walk konkurujących grup. Niemal spontanicznie. I tu nasuwa się przypisywane Stevenowi Spielbergowi stwierdzenie, że „jeśli coś jest spontaniczne, to znaczy, że zostało dobrze wyreżyserowane". A nasuwa się nie bez przyczyny, jeśli się uwzględni moje osobiste doświadczenia i obserwacje.

Mogłem się o tym wszystkim przekonać jako członek (później kierownik) Sekretariatu Krajowego Ośrodka Współpracy Klubów Inteligencji (KOWKI) oraz członek Klubu Krzywego Koła (KKK), a także cywilny pracownik naukowy Wojskowej Akademii Technicznej (WAT). Z miejsc tych nie miałem żadnego wglądu w to, przez kogo, w jakim trybie i gdzie były podejmowane decyzje polityczne, okazały się natomiast doskonałym punktem obserwacyjnym rezultatów działań.

Na początku roku 1956, na przedwiośniu, tzw. odwilż 1955 r. zaczęła dawać konkretniejsze owoce. Atmosfera społeczno-polityczna wyraźnie się zmieniała, wszechobecny strach ustępował i zaczynały się rozmowy o czymś innym. Nie wiem, jak gdzie indziej, ale w Warszawie głównym nośnikiem tego nowego stał się studencki tygodnik „Po Prostu". Pismo dawniej straszliwie nudne i nie do czytania nagle całkowicie się zmieniło. Artykuły zrobiły się atrakcyjne tematycznie i napisane były normalną polszczyzną. Do niedawna cegła zalegająca w kioskach, teraz pismo stało się niemal niedostępne, rozchwytywane i kupowane spod lady, a numery przekazywano następnym w kolejce czytelnikom. „Po Prostu" propagowało ruch klubów młodej inteligencji i poświęcało mu sporo miejsca.

> W Warszawie głównym nośnikiem nowego stał się studencki tygodnik „Po Prostu".

Równolegle istniał już Klub Krzywego Koła i wszyscy chcący zorganizować własny klub lub choćby dowiedzieć się czegoś na ten temat, zwracali się albo do redakcji, albo do KKK. Żadna z tych placówek nie mogła sprostać licznym prośbom. Tak powstała idea utworzenia Krajowego Ośrodka Współpracy Klubów Inteligencji.

Latem 1956 r. w KOWKI zarejestrowanych było ok. 100 klubów na ok. 500 istniejących w kraju (według informacji władz). O ile członkostwo w KOWKI było nieco sformalizowane i wymagało zgłoszenia, o tyle Sekretariat KOWKI stanowił ciało niemal samozwańcze. Na początku członkami byli Juliusz Garztecki (założyciel KKK) i Stefan Król (przewodniczący KKK), który został sekretarzem organizacyjnym, czyli szefem. Wkrótce jednak na zasadzie kooptacji trafili tam inni – w tym ja, zwerbowany niemal z ulicy po wystąpieniu na spotkaniu redakcji „Po Prostu" z czytelnikami, stałem się najmłodszym członkiem zespołu.

KOWKI znalazł się pod opieką Frontu Narodowego (FN), który załatwił siedzibę, pokój w Hotelu Sejmowym, naprzeciw własnej. Front Narodowy pokrywał także nasze niewielkie wydatki, głównie powielaczowy druk „Nowego Nurtu" redagowanego przez Juliusza Garzteckiego i Jerzego Mikkego. FN właściwie nie istniał poza tym biurem, w którym siedzieli urzędujący przedstawiciel władz i sekretarka – oboje bez jakichkolwiek spraw do załatwiania i nieodwiedzani przez nikogo.

Było to nasze przeciwieństwo, bo do nas ciągle ktoś przychodził. Typowymi gośćmi byli członkowie klubów spoza Warszawy, jeśli akurat wpadali do stolicy. Rzadszymi, ale nie wyjątkowymi, byli politycy różnych kierunków, którzy chcieli przyciągnąć kluby do siebie. Z ugrupowań oficjalnych żywe zainteresowanie klubami wyrażało Stronnictwo Demokratyczne, z nieoficjalnych – dawni PPS-owcy w nadziei, że z pomocą klubów uda się reaktywacja tego stronnictwa.

W ogóle sprawa klubów to klasyczna karafka La Fontaine'a. Od którejkolwiek strony na nią popatrzeć,

eprasa.pl c0e04ea7c4

Członkowie redakcji i pracownicy tygodnika „Po Prostu" na pochodzie pierwszomajowym. Warszawa 1956 r.

widać inne kolory. Wszyscy znaczniejsi członkowie sekretariatu reprezentowali kogoś więcej niż klub, który ich tam delegował, i wcale tego nie ukrywali.

Król był pracownikiem Wydziału Historii Partii w KC PZPR. Garztecki miał bogatą przeszłość w wywiadzie. Roman Szczurkowski przedstawiał się jako pracownik XIV grupy uposażeń wówczas Ministerstwa Kultury, ale wywodził się z politycznego aparatu wojska, a potem był oficerem Urzędu Bezpieczeństwa. Janusz Zabłocki i jego siostra Danuta pochodzili ze świeckiego ruchu katolickiego. Bronisław Nietyksza miał związki z kręgiem laickich konsultantów prymasa. A cały ruch klubowy pozostawał pod czułą, ale czujną opieką władz centralnych i jego powstanie oraz możliwość rozwoju musiały być efektem decyzji na najwyższym poziomie. Świadczyło o tym, poza innymi rzeczami, to, że lokalne władze zaskoczone tą nowością starały się na wszelkie sposoby dowiedzieć, o co tu chodzi i co z tym zrobić, ale nie utrudniały klubom życia.

Przez cały czas istnienia żaden klub nigdy nie zwrócił się do KOWKI o jakąkolwiek interwencję na szczeblu centralnym, choć prośby o informacje napływały codziennie, a ogólnie rzecz ujmując, sytuacja klubów była tak dobra, że większości z nich jakiekolwiek zjednoczenie nie było do niczego potrzebne. Nikt nimi nie manipulował. Działacze frakcji partyjnych nie występowali na nich i nikt ich w niczym nie instruował, a organizacyjnie polegały wyłącznie na własnych umiejętnościach. KOWKI nie było ich władzą, lecz tylko źródłem informacji.

Ktokolwiek wymyślił ruch klubów inteligencji, był politycznym innowatorem pierwszej klasy.

Wszelkich możliwych informacji potrzebowały także władze, co zwyczajowo zaczynało się od wizyty naszego opiekuna, dyrektora Biura Frontu Narodowego Józefa Kalinowskiego, który co rano przychodził na herbatę z jednym zasadniczym pytaniem: „Co tam słychać na mieście, towarzyszu?". Było to nieco dziwne jak na członka KC, ale Kalinowski był człowiekiem sympatycznym, choć wyraźnie steranym, i gościliśmy go chętnie.

To, że decyzja o ruchu klubowym była z najwyższej półki, nie podlegało dyskusji. Wymieniano na zasadzie domniemania różne nazwiska, ale sądzę, że nie mogła być jednoosobowa, a jej źródło pozostało nieujawnione. Zdalne sterowanie sytuacją polityczną w okresie przed Październikiem obserwowałem jeszcze wcześniej w WAT, gdzie kilku młodych oficerów otwarcie agitowało za odnową w partii i kraju. A wojskowe służby, które dwa lata wcześniej stale inwigilowały moich starszych kolegów, stały się niewidoczne, chociaż ministrem obrony był ten sam Rokossowski co poprzednio. Warto także wspomnieć, że ci młodzi oficerowie byli do niedawna największymi apologetami stalinizmu. A oficerowie radzieccy, przynajmniej ci, z którymi się stykałem – a więc nie z dowództwa – byli zupełnie zagubieni.

Ktokolwiek wymyślił ruch klubów inteligencji, był politycznym innowatorem pierwszej klasy. Bo był to zupełnie nowy wynalazek, niepraktykowany uprzednio ani w Polsce, ani gdzie indziej. Jak rozumiem, miało to na celu kontrolowane obniżenie ciśnienia w tej warstwie społecznej, która mogła doprowadzić do

eprasa.pl c0e04ea7c4

niszczącego wybuchu. Wynalazek sprawdził swoją użyteczność ponad wszelkie oczekiwania. Ale też zastosowano go w unikatowej dla Polski sytuacji społecznej. Ciągle żywa była popowstaniowa trauma, a wiadomości z Węgier również doradzały rozwagę. Zarazem był to jedyny w moim życiu krótki okres, kiedy każdy chciał w dyskusji przekonać kogoś drugiego, kto był oponentem, a nie wrogiem. Nawet tych straszliwych stalinowców natolińczyków tak nie traktowano. I nikt temu z drugiej strony nie wyliczał, ile dolarów, funtów, marek czy rubli (niepotrzebne skreślić) wziął za swoją zdradziecką robotę. Tak więc ktokolwiek był reżyserem, powinien dostać politycznego Oscara.

Jeśli zatem uzna się, że był to szatański plan władzy w celu oszukania społeczeństwa i wzmocnienia swojej pozycji, to warto spojrzeć na tę karafkę La Fontaine'a od drugiej strony. Kluby stwarzały platformę swobodnej wypowiedzi na każdy temat. Jak zawsze część tych wypowiedzi była mądra, a część nie. Ale to nie miało znaczenia, ważna była ta swoboda, z którą moje pokolenie zetknęło się po raz pierwszy. Ważne było też zetknięcie z ludźmi, którzy te mądre lub głupie poglądy wygłaszali, i możliwość własnej oceny, co mądre, a co nie. Z jednej strony, wyprostowało to kręgosłupy polityczne, a z drugiej, odnowiło kontakty międzyludzkie, pokazując, kto jest kim i co ze sobą niesie. Ziarna wówczas zasiane później dały owoce.

Kluby były zróżnicowane. Jedne duże, kilkudziesięcioosobowe, drugie małe – liczące ledwie kilka osób. Zróżnicowana była także ich główna tematyka, co w znacznej mierze zależało od zainteresowania organizatorów. Wiele klubów miało związki z zakładami pracy (raczej produkcyjnymi niż urzędami) i korzystało z ich możliwości lokalowych, w pierwszym rzędzie odnosząc się do zagadnień ekonomicznych i socjalnych. Inne, o szerszym zasięgu terytorialnym, spotykały się w domach kultury, a ich problematyka sięgała od sztuki po socjologię. Najmniejsze lokowały się w mieszkaniach prywatnych. Wszystkie zaś charakteryzowało stronienie od bezpośredniej problematyki politycznej, z wyjątkiem powszechnego poparcia powrotu Władysława Gomułki do władzy. Kluby powstawały spontanicznie. By zrozumieć tę spontaniczność, trzeba przywołać zapomnianą wiedzę o ówczesnych metodach komunikacji międzyludzkiej.

Nie wymyślono jeszcze internetu ani telefonów komórkowych, a i te stacjonarne były niemal niedostępne. Ponieważ nie było również powszechnie telewizji, wiadomości o stanowiskach politycznych drukowały czasopisma (głównie „Po Prostu"), bo główny informator – radio – był niezwykle oględny. A jednak informacje rozchodziły się błyskawicznie i każda nowa w ciągu jednego dnia docierała do wszystkich. Na ogół w formie: „Mówili na mieście, że...". Nic o poważnej autoryzacji, nic, z czego trzeba by się specjalnie tłumaczyć, za to szybko, skutecznie i równocześnie w całym kraju – bo o tym wiedzieliśmy od klubów ze wschodu i zachodu.

Wszystkie te informacje bezpośrednio lub nieco enigmatycznie, lecz konsekwentnie propagowały stanowiska reformatorów, czyli tzw. puławian. Stanowiska konserwatystów, natolińczyków, bezpośrednio były dostępne jedynie w materiałach partyjnych PZPR lub pośrednio w polemice z nimi, jaką prowadzili puławianie.

Co do informacji rozchodzących się pocztą pantoflową, ich źródła nie były ujawniane. Fakt, że z nimi nikt nie walczył – ani poprzez ściganie informatorów, ani dementowanie treści – i ich powszechność sugerują, że stały za nimi organizacje mające na terenie całego kraju takie ekspozytury, które mogły rozprzestrzeniać wiadomości drogą nieoficjalną. Istniały wówczas dwie takie organizacje: Kościół katolicki i Służba Bezpieczeństwa. Nie wiem, która z nich to była, natomiast moje obserwacje sugerują drugą. Kościół, który był jedną z sił sprawczych w okresie Solidarności, wtedy w ogóle zachowywał dużą rezerwę w stosunku do wszystkich stanowisk i działań. Także do ruchu klubowego, nie wykluczając nielicznych Klubów Inteligencji Katolickiej.

W końcu nadszedł Październik. W dni grozy, kiedy nie było wiadomo, czy wejdą, czy nie wejdą, właściwie mieszkaliśmy w KOWKI. Wiadomości krzyżowały się co godzinę. Czołgi jadą na Warszawę. Robotnicy z FSO się zbroją. Czołgi się zatrzymały – nie, nieprawda, jadą dalej. A jednak nie jadą. I tak przez kilka dni. A potem głęboki oddech ulgi. Chruszczow odleciał. Gomułka u władzy. Najgorsze minęło. Na wiec na placu Defilad poszliśmy w trzech: Król, Szczurkowski i ja. Nie wmieszaliśmy się w największy tłum, jaki Warszawa widziała. Postaliśmy chwilę na obrzeżu. Był to moment satysfakcji, bo przyczyniliśmy się do tego. A także chwila nadziei. Ale zarazem koniec ruchu klubowego. Cel został osiągnięty, można zająć się czymś innym. Na razie jeszcze tego nie wiedzieliśmy, lecz wkrótce stało się to jasne i nasze drogi zaczęły się rozchodzić.

Działacze KOWKI wycofywali się jeden po drugim. Najpierw ci, którzy reprezentowali różne ruchy katolickie, potem Garztecki. W końcu przeziębiony Król zaprosił nas do swojego łoża boleści i oświadczył, że rezygnuje z funkcji, bo chce się zająć inną działalnością, i zaproponował, żebym ja został sekretarzem organizacyjnym. Przeszło to bez oporów i tak to mnie przypadła rola głównego likwidatora ruchu.

O nowym zainteresowaniu Króla, a także Szczurkowskiego, wiedziałem już wcześniej. Obaj chcieli wskrzesić Towarzystwo Uniwersytetów Robotniczych (TUR), co oznaczało właściwie wskrzeszanie PPS. Dyskutowaliśmy o tym wielokrotnie, bo mnie ta idea się nie podobała. A dokładnie nie podobało mi się przemienianie klubów w organizację polityczną, nawet tak sympatyczną jak PPS. Miałem jeszcze nadzieję, że

Latem 1956 r. w KOWKI zarejestrowanych było ok. 100 klubów na ok. 500 istniejących w kraju.

eprasa.pl c0e04ea7c4

Wiec na Politechnice Warszawskiej. Przemawia redaktor naczelny „Po Prostu" Eligiusz Lasota. 20 października 1956 r.

jeśli powoła się zwartą organizację klubów, będzie to rozwiązanie pożyteczniejsze, a zarazem mniej kontrowersyjne. Życzyłem im szczęścia na drogę i poszliśmy każdy w swoją stronę. Rozejście się było bardzo przyjazne i utrzymywaliśmy stałe kontakty.

Kiedy jednak przystąpiliśmy do formalizowania związków klubowych, zaczęły się schody. Na początek w marcu 1957 r. Komitet Centralny zwrócił się do nas o zaproszenie do nich na naradę kilkunastu przedstawicieli klubów z całej Polski. Nie chcąc sprawiać wrażenia, że zamierzamy tworzyć nową partię, umówiliśmy się, że na spotkaniu członkowie Sekretariatu w ogóle nie będą zabierali głosu, oddając całe pole ludziom z terenu. Ci, gdy zaczęli mówić, zrobili to z takim przekonaniem i energią, że wystraszyli naszych gospodarzy.

Zapewne zresztą całe spotkanie miało na celu nie tyle zapoznanie się z poglądami klubowiczów, ile dokonanie oceny, jakie zagrożenie reprezentują. Można to było wywnioskować ze skutków. Najpierw doszła do nas wiadomość, że sam Gomułka zapoznał się z projektem statutu związku klubów inteligencji i orzekł, że w Polsce jest dokładnie tyle partii, ile potrzeba, i nie będzie żadnej następnej. Pewnie miał rację, bo taki związek nieuchronnie by się upolitycznił. Wczesną jesienią zostaliśmy powtórnie wezwani do KC. Dość młody kierownik jednego z wydziałów oświadczył, że „robimy w tym kraju porządek", trzeba się brać do roboty, dość już było gadania, nie jesteśmy potrzebni i mamy się zlikwidować.

Kluby stwarzały platformę swobodnej wypowiedzi na każdy temat. Z tą swobodą moje pokolenie zetknęło się po raz pierwszy.

Niedługo potem wymówiono nam lokal w Hotelu Sejmowym. Zabrałem co ważniejsze papiery z szafy (są w Archiwum Akt Nowych) i oddałem klucz na portierni. Tak zakończyła się moja przygoda z klubami.

Ale można też dodać, że w nowych warunkach kluby traciły użyteczność także dla klubowiczów. Znaczna aktywizacja życia społecznego po 1956 r. spowodowała, że członkowie klubów znajdowali satysfakcję w domenach zgodnych z ich kwalifikacjami, do czego kluby nie były już potrzebne. No i w końcu stan świadomości politycznej był wtedy taki, że nikomu nie chodziło po głowie kontestowanie decyzji Gomułki. Dlatego i my bez dyskusji zastosowaliśmy się do decyzji władz.

Tak więc kluby zniknęły, ale pytania pozostały. Pierwsze, kto wtedy był kim. Wielokrotnie użyłem tu słów „władza" lub „władze". Kto to był naprawdę? Akcje „Odnowa" i „Gomułka" były przeprowadzone na imponującym poziomie organizacyjnym. Harmonijnie współpracowały organa partii, administracji, bezpieczeństwa oraz informacji i kultury. Nie utrudniały tego siły zbrojne. I było to możliwe przez wiele miesięcy, chociaż – o czym świadczą liczne dokumenty z tamtych dni – gdy nastąpiły wydarzenia poznańskie, bezradność tych samych organów była aż nadto widoczna.

Sprawna organizacja wymaga odpowiedniego kierownictwa. Czy to zastęp harcerzy, kółko hobbystyczne, czy władze państwa, konieczne jest istnienie kogoś, kto albo ma władzę formalną, albo odpowiedni autorytet, by mieć ostatnie słowo w przypadku różnicy zdań w zespole. W tym wypadku historia nie wskazuje takiego człowieka, choć wiele mówi o grupach politycznych i ich faktycznym lub domniemanym składzie.

Przy braku odpowiedzi na to pytanie warto się zatrzymać przy kilku nazwiskach. Józef Cyrankiewicz, premier, w słowach groził odrąbywaniem rąk, a w czynie nie przyciął nawet paznokcia. Konstanty Rokossowski, wyznaczony przez władze ZSRR na takie samo stanowisko, na jakie w tym samym celu władze Rosji wyznaczyły do Królestwa Kongresowego jego imiennika – wielkiego księcia, panował nad armią, nie napotkał jakiegokolwiek oporu, organizując interwencję wojskową w zbuntowanym Poznaniu. Chruszczow i delegacja radziecka byli z niego zadowoleni i bronili jego obecności w Polsce, choć zmianom nie przeszkadzał. Kim więc był ▸

FOT. PAP/WDOWIŃSKI, PAP/CAF- JAN TYMIŃSKI

eprasa.pl c0e04ea7c4

naprawdę? W końcu Edward Ochab, formalnie pierwsza osoba w państwie. Ale podobno tymczasowo. Najczęściej przedstawiany jako tępy aparatczyk o niezbyt zdeklarowanych poglądach. Kto zatem był numerem 1 tamtej odnowy i restytucji Gomułki?

I jeszcze o Ochabie. Ten tępy aparatczyk dokonuje w Chinach pokerowej zagrywki i, korzystając z opóźnienia w wylocie, odbywa tajne spotkanie z marszałkiem Zhu De (wtedy znanym jako Czu Te), w wyniku której Chiny popierają Polskę w sporze z ZSRR. Coś tu się nie zgadza i powstaje kwestia, kto, kiedy i ile wiedział o stanowisku Chin.

Przedziwne zrządzenie sił nadprzyrodzonych powoduje 27 września 1956 r., że Ochab nie może odlecieć po oficjalnej wizycie w Chinach do Warszawy ze względu na awarię jego samolotu. Reszta delegacji polskiej ma inny program i razem z polskim tłumaczem odlatuje sprawnym samolotem na dalszą część wizyty w Chinach. Czekanie się przedłuża i lotnisko opuszcza również ambasador radziecki. Pozostaje samotny Ochab oraz żegnający go marszałek Zhu De ze swoim tłumaczem. Wtedy Ochab zaczyna w cztery oczy najpoważniejszą rozmowę polityczną o polskich zamiarach, uzyskując zapewnienie o poparciu ich przez Chiny. Bardzo duża koincydencja zdarzeń nadzwyczajnych.

Potem Ochab wraca i 19 października 1956 r. odbywa się konfrontacja polskich władz z Chruszczowem i delegacją radziecką. O tym, że Chiny stanowczo sprzeciwiają się radzieckiej interwencji w Polsce, Chruszczow dowiaduje się dopiero po powrocie do Moskwy. Tak przynajmniej mówią źródła o przepływie informacji drogą dyplomatyczną. Potrafi ona być bardzo szybka (vide układ Ribbentrop-Mołotow), zazwyczaj jednak taka nie jest. Ale między rozmową Ochaba i Zhu De a warszawskim spotkaniem minęły trzy tygodnie. Jeśli nawet wywiad radziecki w Chinach miał ograniczone możliwości, to w Polsce nie miał żadnych ograniczeń i utrzymanie w tajemnicy w Warszawie informacji o rozmowie w Chinach jest mało prawdopodobne. Zapis Dzierżyńskiego z rozmów warszawskich pozwala domniemywać, że o stanowisku Chin wiedziały obie strony i wiedziały, że druga strona też o tym wie.

Chruszczow w Warszawie zachowuje się jak desperat. I ma ku temu powody. Walczy o interesy ZSRR, ale także o własną władzę i życie. Zna zasady gry i graczy. Do Warszawy zabiera ze sobą dokładnie tych kolegów, których nie chce mieć za plecami i którzy ledwie rok później będą próbowali go obalić. Zupełnie niedawno, wedle dobrych stalinowskich zasad, wspólnie odebrali Berii i władzę, i życie. Dopiero on sam będzie tym, który zmieni te zasady i nie zlikwiduje tych, których od władzy odsunie. Nie może stracić ani Polski, ani Chin. Dlatego zaczyna wizytę skrajnie konfrontacyjnie. Gomułka i Ochab przeciwstawiają mu się jak samobójcy, ale wiedzą o jego słabościach. Dopiero Gomułka otwiera mu furtkę do zadowalającego rozwiązania trudności. Niedługo potem wizyta Gomułki w Moskwie pokazuje, że obie strony osiągnęły coś, co warte było trudu. Że wspólnie zasiali zatrute ziarno, które podważyło system – tego nie mogli wiedzieć, podobnie jak tego, że w relatywnie krótkim czasie Chiny uzyskają przewagę nad Rosją.

Kościół, który był jedną z sił sprawczych w okresie Solidarności, wtedy zachowywał dużą rezerwę wobec wszystkich stanowisk i działań.

I w ten sposób w październiku w Warszawie zreformowano strukturę obozu krajów socjalistycznych tak, że zadowoliło to trzy strony. Polska uzyskała maksimum swobody możliwej w systemie jałtańsko-poczdamskim, a Gomułka władzę w kraju na poziomie nieosiągalnym dla nikogo po Piłsudskim. Chiny zrobiły długi krok ku mocarstwowości, a Mao zajął pozycję równą Chruszczowowi. ZSRR pozostał wiodącym państwem obozu, Chruszczow zaś zachował władzę i mógł się zająć pilnymi sprawami powstania na Węgrzech i kryzysu sueskiego. Reformę tę w specyficzny sposób kilka dni później ratyfikowano na Węgrzech.

Gomułka dodatkowo mógł mieć satysfakcję, że załatwił z Chruszczowem to, czego w podobnych okolicznościach nie mógł załatwić Stanisław August z Katarzyną, choć osobiste stosunki tej drugiej pary były znacznie serdeczniejsze niż pierwszej.

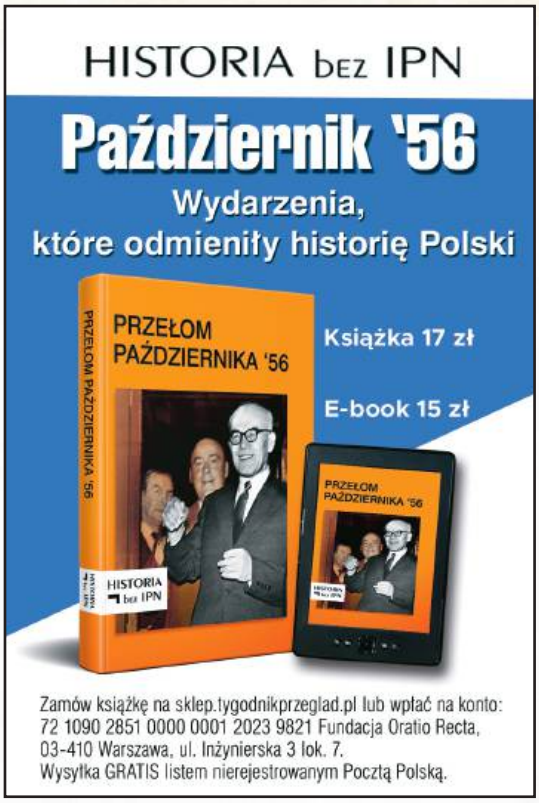

Prof. dr hab. Roman Broszkiewicz jest fizykochemikiem, pracował w Wojskowej Akademii Technicznej, Instytucie Badań Jądrowych, Institut für Strahlenchemie oraz w Instytucie Chemii i Techniki Jądrowej.

Rozszerzona wersja artykułu jest na naszej stronie internetowej.

eprasa.pl c0e04ea7c4

Nawiasem mówiąc

Stanisław Filipowicz

Kto kogo powinien się bać?

Kroczymy dumnie. Nasze sztandary powiewają na stosach makulatury – własną mądrość przeznaczyliśmy na przemiał. Rozum abdykował, króluje efekciarstwo. Przodownikami w krainie absurdu są oczywiście politycy. Naiwnie myślałem, że stylizacje oparte na asortymencie sieci handlowej Militaria.pl. należą do epoki słusznie minionej. Ale gdzie tam, pojawiły się repliki. I znowu oglądamy imitacje mundurków na tle machin bojowych.

Propaganda inscenizuje Orwella – organizuje treningi jednomyślności. Argumenty nie mają dziś większego znaczenia – język polityki stał się narzędziem gwałtu. Ma ogłuszać, wywoływać halucynacje, powodować napady gorączki. Animatorzy politycznych widowisk nie mają dziś żadnych poglądów, oni po prostu tworzą „narracje". Jako ich napęd wykorzystują emocje. W maglu politycznym cynizm miesza się ze skrajną naiwnością, afektacja z wiarą w cuda. Powstaje mieszanka, za pomocą której można wysadzić świat w powietrze.

Wysłuchujemy morałów na temat dezinformacji, podczas gdy kłamstwo stało się jednym z głównych narzędzi władzy. Liberalna polityka nacechowana jest dziś pogardą – jesteśmy traktowani jak widzowie w tanim kinie, którzy powinni uwierzyć w każde głupstwo. Najważniejsze, by nie myśleć inaczej – Wielki Brat grozi palcem. Wahania prezydenta USA, jak potraktować sprawę dronów, które naruszyły naszą przestrzeń powietrzną, jeden z portali internetowych określił następująco: „Nowe bzdury Trumpa o dronach". Zgłębiając tę puentę, zapytałbym jedynie: w którym to kraju bzdury odgrywały zawsze większą rolę i do czego to ostatecznie doprowadziło? Co o tym mówią kroniki?

Wstyd. Kiedyś ta bańka pęknie, już widać symptomy. Jeśli porównamy oficjalny przekaz polityczny – wzmacniany przez zaangażowane media mainstreamu – z klimatem opinii ukształtowanych w internecie, okaże się, że istnieją dwa odrębne porządki myślenia. Bardzo wyraźnie widać to w komentarzach i wyjaśnieniach dotyczących wtargnięcia dronów. Internet ujawnił potencjał krytycznego namysłu, mainstream propagandową histerię.

Wzruszył mnie głos usłużnego eksperta stającego na froncie walki z dezinformacją. Była to przemowa z wyżyn nieistniejącego autorytetu: jacy to jesteśmy niemądrzy i jak dalece powinniśmy zaufać tym, którzy dobrze wiedzą, i nigdy nie powtarzać tego, co mówią ci, co to wiadomo.

Wracając do emocji, machinę władzy w „wolnym świecie" napędza dziś strach. Politycy opanowali – tak przynajmniej myślą – pedagogię zastraszenia. Histeria wojenna stała się najambitniejszym projektem liberalnej (gasnącej?) Europy. Trwoga ma być naszym nowym światopoglądem.

Czego jeszcze trzeba się bać? No oczywiście – napływu imigrantów. Kto wśród nich jest najstraszniejszy? Rzecz jasna, islamiści. W tym miejscu krótka dygresja. W wydanej niedawno książce wspomnień Daniela Mendelsohna „Trzy pierścienie" śledzimy losy Ericha Auerbacha, autora pracy, która pozostawiła niezatarty ślad w naszej tradycji myślenia: to „Mimesis. Rzeczywistość przedstawiona w literaturze Zachodu". Snując swoją opowieść, Auerbach tłumaczy nam rzecz najważniejszą: żeby zrozumieć świat, musimy zrozumieć słowo i sposób, w jaki czynimy z niego użytek. Musimy wiedzieć, jak funkcjonuje zwierciadło naszego umysłu. Wtedy właśnie zaczynamy myśleć.

Autor „Mimesis" opuścił nazistowskie Niemcy i udał się na wygnanie. Jego dzieło powstawało w Stambule, pośród wyznawców islamu. To oni użyczyli mu schronienia. Pracował w pięknym gabinecie z widokiem na morze Marmara. Kontemplując obecną w historii furię niszczenia, Mendelsohn zachęca: „Warto też wspomnieć, że za kilkoma z najbardziej katastrofalnych aktów destrukcji w chrześcijańskim Bizancjum nie stali muzułmanie (jak się powszechnie sądzi), lecz armie zachodnioeuropejskich chrześcijan". Płonęły biblioteki, bezpowrotnie traciliśmy grecką tradycję, którą przechowywali mnisi. Ale oczywiście – to nie byli ci „właściwi" mnisi, więc wszystko działo się w imię „wartości".

Trwoga ma być naszym nowym światopoglądem.

Co ujrzymy dziś w zwierciadłach naszego umysłu? Hasełka, frazesy, pustosłowie. Histeryczne apele polityków, którzy przymierzają kapelusz Napoleona. Nasz minister spraw zagranicznych we wrześniowym wywiadzie dla „Frankfurter Allgemeine Zeitung" wygłasza swój „osobisty" pogląd. Tłumaczy: jeżeli Ukraina poprosi nas o zestrzeliwanie dronów i innych obiektów latających nad jej terytorium, będzie to dla nas „korzystne". A więc przystąpimy do wojny po stronie Ukrainy? To byłaby ta „korzyść"? Czy osoby pełniące funkcje publiczne nie powinny jednak zostawić własnych poglądów dla siebie? Kogo one w końcu interesują? Minister pełni obowiązki w domenie publicznej. Tu nie ma miejsca na „osobiste" poglądy i egzaltację. Nauczmy się odróżniać harcerstwo od polityki. Obyśmy nie musieli dojść do przekonania, że najbardziej trzeba się bać naszych własnych polityków. ■

Poprzednie felietony na tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl c0e04ea7c4

Europejski papierek lakmusowy

Wynik wyborów parlamentarnych w Czechach oznacza wielkie kłopoty dla UE

Mateusz Mazzini

Choć populiści na całym świecie operują tymi samymi sloganami, nie da się w tej grupie znaleźć dwóch identycznych polityków. Wynika to głównie z faktu, że populizm – już dzisiaj uznawany nie tylko za osobną ideologię, ale też za formę rządów otwarcie antydemokratycznych – jest bardzo wrażliwy na lokalny kontekst, kulturę polityczną i specyfikę ustrojową. Wprawdzie najważniejsi badacze populizmu, Cas Mudde z University of Florida czy Jan-Werner Müller z Princeton, zgadzają się co do ogólnych ram pojęciowych, wskazując takie cechy jak występowanie w imieniu ludu, nienawiść do elit (zwłaszcza umiędzynarodowionych) oraz niechęć do niezależnych instytucji, niemniej jednak populista populiście nierówny. W różnych systemach ich drogi do autorytarnych przekształceń są różne.

Na przykład w systemach prezydenckich, jak zwracają na to uwagę prof. Adam Przeworski z New York University czy francuski historyk Pierre Rosanvallon, łatwiej o zagrabienie władzy, bo prezydent jest często szefem rządu i człowiekiem utożsamianym przez elektorat z władzą, jak w USA czy w Brazylii. Znacznie trudniej o to mimo wszystko w Europie, gdzie dominują systemy parlamentarne, szefowie rządów muszą jakoś się dogadywać z prezydentami, a ci drudzy nie zawsze mają bezpośredni mandat demokratyczny.

W dodatku same rządy są często koalicyjne, co już na początku ich funkcjonowania narzuca jakąś formę politycznej transakcji. Partie umawiają się na podział ról, choć nawet to nie chroni ich przed ryzykiem politycznej zapaści jeszcze w trakcie kadencji. Dlatego Viktor Orbán, rządzący Węgrami nieprzerwanie od 15 lat, jest raczej wyjątkiem niż regułą, przynajmniej w kontekście europejskim. Co zresztą widać na konkretnych przykładach. Nigdzie indziej populistyczny, antydemokratyczny rząd nie dał rady tak bardzo zmienić zasad gry, żeby jego powtórny wybór był pewny. Nawet w Polsce – u nas przecież Zjednoczona Prawica rządziła ze stabilną większością osiem lat, mając zawsze po swojej stronie przychylnego prezydenta, mimo to nie zniszczyła resztek porządku konstytucyjnego, a przede wszystkim niezależności instytucji wyborczych.

Babiš nie stanie się Orbánem

Ten metodologiczny wstęp jest niezbędny, żeby dobrze zrozumieć, co tak naprawdę wydarzyło się w Czechach 4 i 5 października, kiedy wybierano 200 członków Izby Deputowanych. Zgodnie z przewidywaniami głosowanie wygrała populistyczna partia ANO, kierowana przez ekspremiera i skandalistę Andreja Babiša, zdobywając 34,5% głosów i 80 mandatów. Na drugim miejscu znalazła się wspólna lista partii tworzących ustępującą właśnie koalicję premiera Petra Fiali, a raczej trzy czwarte tej koalicji. Chadecy, liberałowie i demokraci, startujący wspólnie, uzyskali 23% poparcia, co przełożyło się na 52 mandaty, aż o 19 mniej niż w poprzedniej kadencji. Na trzecim miejscu uplasował się ostatni element dawnej koalicji – samorządowcy i niezależni politycy zrzeszeni w formacji STAN; dostali 11% głosów, czyli 22 mandaty.

Na razie postawmy w tym miejscu kropkę. O partiach, które zajęły pozostałe miejsca, jeszcze będzie mowa – szczególnie że są one kluczowe dla ewentualnej koalicji, którą musi sformować Babiš, żeby rządzić. Trzy pierwsze miejsca mówią jednak prawie wszystko nie tylko o stanie czeskiej demokracji, ale też o tym, jak dziś wygląda europejska polityka i co te wybory oznaczają dla UE.

Bogate obszary metropolitalne wierzą liberałom, reszta kraju podąża za głosem populistycznym.

Analizę czeskich wyborów trzeba zacząć od podkreślenia, że Babiš to nie Orbán i Orbánem się nie stanie. Nie ma większości, żeby rządzić samodzielnie, a w czeskim ustroju przeciwwagą dla niego będzie prezydent, były natowski generał, tradycyjny euroatlantycysta minionej epoki, Petr Pavel. Jego kompetencje konstytucyjne są wprawdzie znacznie mniejsze niż np. prezydenta Polski, ale wciąż to od niego zależą chociażby nominacje w sądach i trybunałach, możliwość rozwiązania

eprasa.pl c0e04ea7c4

Andrej Babiš (w środku) na konferencji prasowej po wyborach parlamentarnych w Czechach, 4-5 października 2025 r.

parlamentu, a zwłaszcza powołanie prezesa rady ministrów. Co więcej, Pavel i Babiš są politykami radykalnie odmiennymi – zarówno jeśli chodzi o styl rządzenia, jak i o orientację ideologiczną. To dobra wiadomość dla wszystkich zatroskanych o losy czeskiej demokracji. Tamtejszy ustrój przy takim podziale stanowisk nie ulegnie tak szybko zmianom, jak miało to miejsce w Turcji, na Węgrzech czy ostatnio w USA.

Babiš nie jest też kopią Orbána pod względem polityki zagranicznej czy społecznej, nawet jeśli w lipcu 2023 r. uczestniczył w Wiedniu w konferencji założycielskiej Patriotów dla Europy, skrajnie prawicowej frakcji w Parlamencie Europejskim, stworzonej przez węgierskiego premiera. Pozostaje sceptyczny wobec silnego zaangażowania Pragi w pomoc Ukrainie, czasami powtarza kremlowskie frazesy, że „to nie nasza wojna" oraz że „pokój jest najważniejszy", ale nie jest politykiem prorosyjskim – tak jak są nimi Węgier czy szef rządu Słowacji Robert Fico. Nie będzie jeździł do Moskwy z wizytą, także dlatego, że nie musi, bo jego kraj nie wisi na rosyjskich surowcach.

W europejskiej prasie głównego nurtu spekulowano przed wyborami, że rząd pod wodzą ANO zakończy zainicjowany przez Fialę na początku 2024 r. program skoordynowanych zakupów standaryzowanej w ramach NATO amunicji i przekazywania jej Ukraińcom – ale to też nie jest pewne. Trzeba bowiem pamiętać, że nawet sympatyzujący z Kremlem Fico nadal przekazuje amunicję Ukrainie, tyle że komercyjnie. Bardzo prawdopodobne jest, że Babiš zdecyduje się na podobny ruch.

Populista z teflonu

Jednak nie Kijów, lecz Unia Europejska będzie miała duży problem z premierostwem Babiša, bo taki szef rządu to kolejny ból głowy w procesie decyzyjnym na unijnych szczytach. O ile bowiem Babiš nie jest politykiem prorosyjskim, o tyle na pewno można go uznać za eurosceptyka, który nie zawaha się używać weta na spotkaniach Rady Europejskiej.

I tu zaczynają się poważne kłopoty, bo po „lecie upokorzeń", wywieszeniu białej flagi wobec Trumpa przy umowie celnej oraz kompletnym braku sprawczości w kryzysach na Bliskim Wschodzie Wspólnota nie może sobie pozwolić na następne wizerunkowe wpadki ani na wstrzymanie wewnętrznych reform. Od lat najważniejsze inicjatywy blokuje Orbán, którego raz za razem trzeba próbować przekupić, żeby łaskawie zgodził się na sankcje wobec rosyjskich oligarchów czy dostawę pomocy humanitarnej dla ukraińskiego społeczeństwa. Na niedawnym szczycie unijnym w Kopenhadze podjęto kolejną, nie wiadomo już którą próbę obejścia tego mechanizmu. Skończyło się to fiaskiem. Przy czym, jak słusznie zauważył na łamach europejskiej odsłony portalu Politico Nicholas Vinocur, główny komentator platformy od spraw zagranicznych, nie jest to tylko wina Węgrów.

Weto w Unii zatrzymać chce tak naprawdę każdy, nawet Friedrich Merz czy Emmanuel Macron, każdy ze swoich partykularnych powodów. Babiš, polityk głęboko sceptyczny wobec chociażby Zielonego Ładu, na pewno nie zawaha się użyć weta, kiedy będzie to dla niego korzystne.

Innym wątkiem, na który trzeba zwrócić uwagę, jest fakt, że Babiš okazał się kolejnym populistą z teflonu. Powszechna wiedza na temat

FOT. TKACIK/SOPA IMAGES/SHUTTERSTOCK/EAST NEWS

eprasa.pl c0e04ea7c4

skandali z jego udziałem, również finansowych, w najmniejszym stopniu nie zaszkodziła jego kampanii. Polityk, który już raz był premierem, a za którym, jak przypomniał w mediach społecznościowych profesor prawa w europejskiej szkole biznesowej HEC Paris Alberto Alemanno, zarzuty o malwersacje finansowe ciągną się już od 2008 r., w ogóle nie musiał się przejmować wizerunkiem publicznym.

Rację ma więc bułgarski politolog Iwan Krastew, który w eseju dla „Prospect Magazine" udowadniał, że zmiany reguł w dzisiejszej polityce są nie tyle całkowicie znormalizowane, ile wręcz pożądane. Polityka nie jest już sztuką tego, co realne, ale tego, co konieczne. Przekraczanie niepisanych granic normatywnych do tej kategorii należy. Dlatego Babiš mógł kompletnie zignorować zarzucanie mu przez Komisję Europejską konfliktu interesów w czasach, gdy był poprzednio premierem, a z tylnego siedzenia kierował funduszem powierniczym, który administrował jego holdingiem Agrofert, jednym z najważniejszych w tej części świata graczy na rynku nawozów rolniczych. Czeskie ministerstwo rolnictwa nakazało nawet Babišowi zwrot 200 mln euro unijnych dotacji, na co szef partii ANO odpowiedział po prostu, że tego nie zrobi.

Teoretycznie w związku z tym skandalem Petr Pavel mógłby odmówić zaprzysiężenia Babiša na stanowisko premiera. Problem w tym, że takie rozwiązanie byłoby katastrofą dla procesu demokratycznego i wiarygodności czeskich instytucji. Wyobraźmy sobie bowiem sytuację, w której partia wygrywa wybory, i to zdecydowanie, a jej legitymacja do rządzenia to ponad jedna trzecia głosów, a więc niemało (przy frekwencji wynoszącej prawie 70%). Szef tego ugrupowania ma pełne prawo starać się o fotel premiera. Jeśli prezydent go zablokuje, nie tylko doprowadzi do wzrostu frustracji i tak już rozgniewanych antysystemowych wyborców ANO, ale też napędzi spekulacje, że konstytucja i instytucje państwowe są wykorzystywane do prześladowania przeciwników politycznych.

Powszechna wiedza na temat skandali z udziałem Babiša, również finansowych, w ogóle nie zaszkodziła jego kampanii.

Zresztą nie jest to takie jednoznaczne – niektórzy konstytucjonaliści mówią, że Pavel mógłby Babiša zablokować, a inni, że absolutnie nie. Gdyby doszło do konfliktu na tle legalistycznym, J.D. Vance mógłby spokojnie przyjechać do Pragi i powtórzyć swoje lutowe wystąpienie z monachijskiej konferencji bezpieczeństwa o tym, jak bardzo niedemokratyczna jest Europa, bo nie słucha swoich wyborców. Mniejsza o to, czy ma rację, czy nie – a nie ma. Ważne, że to po stronie takich jak on i Babiš jest dzisiaj duch czasów.

Reformy potrzebne jak tlen

Znad Wełtawy płyną jednak również pozytywne wieści. Przede wszystkim ważne jest to, że progu wyborczego nie przekroczyła formacja Stačilo!, złożona z komunistów i socjalistów otwarcie popierających Rosję Putina. W dodatku SPD, partia skrajnie prawicowa, mocno antyunijna i antyimigrancka, też spisała się poniżej oczekiwań, uzyskując 7,78% poparcia, co przełożyło się na 15 mandatów. Mało, biorąc pod uwagę, że przedwyborcze sondaże dawały im nawet 12% wszystkich głosów.

To właśnie z SPD oraz partią AUTO działającą w obronie kierowców (6,8% głosów, 13 mandatów) Babiš będzie klecić mało stabilną, podatną na wewnętrzne wstrząsy koalicję. Nie będą to bardzo skuteczne rządy, ponieważ ekstremiści zyskają niewielki liczbowo, acz decydujący głos w sprawie wielu reform, np. poluzowania dyscypliny fiskalnej, szerszego pakietu świadczeń społecznych czy ograniczenia wsparcia dla uchodźców z Ukrainy, których per capita Czesi przyjęli nawet więcej niż Polacy.

Nic chyba nie mówi więcej o stanie czeskiej polityki niż mapa wyników w poszczególnych okręgach wyborczych. Jest ona właściwie cała niebieska, co symbolizuje triumf ANO. Na zielono, w barwach koalicji Fiali, świecą się tylko trzy praskie okręgi i dwa wokół Brna. Trudno o lepszą ilustrację obecnego podziału politycznego, nie tylko zresztą w Europie. Bogate, liberalne, gęsto zaludnione obszary metropolitalne wierzą liberałom i progresywistom, a cała reszta kraju podąża za głosem populistycznym. W rezultacie jest mniej więcej remis.

Tak też było w Czechach, gdzie dawna koalicja razem przegrała z Babišem raptem o sześć mandatów, 3% całości izby. W takich warunkach wybory coraz bardziej przypominają rzut monetą, trudno mówić o realnej reprezentacji i legitymizacji społecznej. Elektoraty są podzielone, scena fragmentaryczna, w takich warunkach niełatwo o poważne reformy, których europejskie demokracje potrzebują jak tlenu. Niestety, w tej chwili odważne zmiany projektują jedynie prawicowi ideolodzy. Niestety – bo nie są to zmiany prowadzące do ulepszenia demokracji, raczej do jej znaczącego ograniczenia, a w skrajnych przypadkach, jak w tej chwili w USA – do unicestwienia.

Mateusz Mazzini
m.mazzini@tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl c0e04ea7c4

Lewomyślniej

Roman Kurkiewicz

Jednostronnie, z premedytacją

W dniu, w którym piszę te słowa, po raz kolejny przyznawana jest Nagroda im. Beaty Pawlak, polskiej reporterki, która zginęła w zamachu bombowym na Bali w październiku 2002 r. To nagroda za najlepsze polskie teksty traktujące o „o innych religiach, kulturach i cywilizacjach". Wśród laureatek i laureatów przyznawanej od 2003 r. nagrody (wykonanie testamentu Beaty Pawlak) są m.in.: Piotr Kłodkowski, Artur Domosławski, Joanna Bator, Mariusz Szczygieł, Wojciech Górecki, Jarosław Mikołajewski, Ewa Wanat, Jagoda Grondecka, Konstanty Gebert i Anna Goc. Lista nominowanych do nagrody jest imponująca – podtrzymuje przekonanie, że w dobie hegemonii cyfrowego przekazu niezastępowalny jest ludzki, osobisty trud dociekania i opisywania tego, co odległe, nieznane, obce, stygmatyzowane i przemilczane.

W tym roku nominowane były następujące książki: Mateusza Mazziniego „Włochy prawdziwe. Podróż śladami mafii, migracji i kryzysów", Urszuli Glensk „Pinezka. Historie z granicy polsko-białoruskiej", Pawła Paradowskiego „Cierpliwy pies", Marty Abramowicz „Irlandia wstaje z kolan" oraz Tomasza Szerszenia „Być gościem w katastrofie". I to właśnie Szerszeń został tegorocznym laureatem.

To jedno z tych skromnych, ale jakże nobilitujących wyróżnień. Powiedzieć, że w dzisiejszym potwornym czasie brakuje głosu Beaty, to nic nie powiedzieć. Gdyby przeżyła własną śmierć, jej przekaz, jej wrażliwość i rzeczywista otwartość byłyby czymś wyrazistym, kompetentnym i empatycznym.

W pewnym skeczu grupy Monty Pythona przedstawiono telewizyjny program publicystyczny na temat „Czy jest życie po śmierci?", w którym na fotelach gości ułożono grupę martwych osób, co nie zrażało prowadzącego do zadawania pytań, bo kto lepiej wie coś o życiu pośmiertnym? Gdyby Beata Pawlak miała możliwość opisania zamachu, w którym zginęła, dociekałaby uczciwie, co stało za motywacjami sprawców ataku. Taka była.

Nagroda taka jak ta staje się bardzo dobrym pretekstem do zadawania pytań o rolę i znaczenie dziennikarskiej, reporterskiej roboty, o jej standardy, założenia, ograniczenia, o – mówiąc najkrócej – „wiarygodność" tych przekazów. Ku mojemu osobistemu zdumieniu wciąż bardzo żywotne jest oczekiwanie przymusowej „bezstronności", cokolwiek miałaby ona oznaczać. Jestem dogłębnie przekonany, że to oczekiwanie bezwyjątkowo nieadekwatne, niewykonalne i wręcz szkodliwe. Stanowi próbę zalegitymizowania uzurpacji poznawczej, w której nagle autorzy zostają pozbawieni swojego człowieczeństwa, rozumianego jako własny kapitał kulturowy, bagaż doświadczeń, osobiste poglądy, język i lektury, które ukształtowały ich jako piszących. Nagle mają się stać niezależnymi, zawieszonym gdzieś ponad realnym światem obserwatorami, którzy uzyskali dostęp do czystych faktów, do opisu nieosiągalnego dla żadnych innych interpretatorów ludzkich doświadczeń, tragedii, dramatów czy radości, zbrodni i kary. Mówiąc wprost, to uzurpacje do boskiej wszechmocy, wszechwiedzy, która także przecież nie istnieje, jak i sam bóg (to przekonanie moje rzecz jasna).

Czy zatem do utrzymania jest jakaś fundamentalna wartość takiego przekazu? Owszem, jest wiarygodność, oparta na przejrzystej deklaracji, z jakiego miejsca, z jakiej pozycji opisujemy świat. Umiejętność pochylenia się nad złożonością ludzkich pobudek, impulsów czy systemowych, strukturalnych osadzeń obserwatora może zbudować opis wykraczający poza karykaturalne dwie nóżki, przymus konfrontacji ludzkiej wiedzy z ignorancją, „bo ja mam prawo tak uważać, to jest moje zdanie". Pojawia się przy takim projekcie zarzut „jednostronności". W łagodnej wersji jest to udawanie prawdziwego dialogu pięści z nosem, w radykalnej: a teraz głos zabierze zwolennik ludobójstwa po odmiennym głosie mordowanych.

Jak by to wyglądało w praktyce? „W naszym studiu jest dzisiaj Janusz Korczak, wychowawca w domu sierot żydowskich, i Heinrich Himmler, szef SS, którzy porozmawiają o konflikcie żydowsko-hitlerowskim. Sceptykom przypominamy, że prowadzący nie ma zdania, po prostu udziela głosu antagonistom, z których każdy ma prawo bronić swoich racji (a Janusz Korczak nawet życia – swojego i swoich dzieci). Na chwilę przerywamy rozmowę, czas na reklamy garniturów Hugo Bossa oraz producenta preparatów do zwalczania insektów".

Ten schemat pozornej przestrzeni na dyskurs uniemożliwia i wyklucza zrozumienie oraz reakcję na mordy, zbrodnie, krzywdy, kiedy sprawcą jest jakiś potężny aktor – państwo. Jeszcze nie rozpoczął się proces, a ty już wydajesz wyrok. Jesteś taki jednostronny, nie chcesz nawet wysłuchać „drugiej strony".

Nie chcę, nie muszę, wystarczająco dużo widziałem i zrozumiałem. Nie ma potrzeby podsuwania mikrofonu pięści, która miażdży kolejny nos, mordercom skrytym za instytucją prezydenta czy premiera, rangą ministra, generała. Ich czyny mówią obiektywnie o ich zamiarach i motywacjach. Co nie zmienia faktu, że życzę im procesu sądowego. ■

Poprzednie felietony na tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl c0e04ea7c4

Flotylla i demokracja

Przeciw ludobójstwu w Strefie Gazy, zatrzymaniu Flotylli Global Sumud i bierności rządu Giorgii Meloni protestowało 2 mln Włochów

Agnieszka Zakrzewicz
Korespondencja z Włoch

Morze ludzi – to najlepiej obrazuje falę protestów, która w ostatnim tygodniu przetoczyła się przez Włochy. Na ulice wyszły setki tysięcy osób: studenci, robotnicy, inteligencja. Starzy i młodzi. „Stop ludobójstwu!", „Wolna Palestyna", „Blokujemy wszystko", „Jesteśmy flotyllą" – pod tymi hasłami Włosi protestowali przeciw izraelskiej masakrze w Strefie Gazy, zatrzymaniu łodzi Flotylli Global Sumud oraz bierności rządu Giorgii Meloni.

Zatrzymać masakrę w Gazie

3 i 4 października 2025 r. przejdą do historii jako dni jednej z największych mobilizacji społecznych we Włoszech. Takich protestów nie widziano tu od lat. W odpowiedzi na blokadę przez izraelską armię Flotylli Global Sumud na Morzu Śródziemnym i na aresztowanie 450 aktywistów z wielu krajów (w tym 44 Włochów) prawie 2 mln obywateli wyszło na ulice ponad 100 miast.

Pierwsze protesty miały miejsce już 22 września, po ostrzale przez izraelskie drony jednostek płynących z pomocą humanitarną. W ich wyniku prawicowy rząd Meloni wysłał na morze dwa statki wojskowe, które miały towarzyszyć flotylli (podobnie postąpiły rządy Hiszpanii i Turcji) oraz rozpoczął zabiegi dyplomatyczne dotyczące „bezpiecznego" zatrzymania włoskich aktywistów i ich ekstradycji.

Do przechwycenia flotylli doszło 1 października. Jeszcze tego samego dnia wieczorem w wielu miastach obywatele spontanicznie wyszli na ulice, solidaryzując się z aktywistami i narodem palestyńskim. W Rzymie marsz liczący ponad 10 tys. osób przeszedł od stacji Termini do centrum. Manifestanci chcieli dotrzeć pod Palazzo Chigi – siedzibę rządu, lecz zostali zatrzymani przez policję. Doszło do starć.

Po doniesieniach o izraelskich żołnierzach wchodzących na pokłady łodzi włoskie związki zawodowe CGIL, USB i COBAS w piątek 3 października ogłosiły strajk generalny obejmujący cały sektor publiczny i prywatny, pod hasłem: „Blokujemy wszystko". U jego podstaw leżał nie tylko protest pracowniczy, lecz także apel moralny i polityczny: zatrzymać masakrę w Gazie i poprzeć aktywistów flotylli Sumud zatrzymanych przez Izrael.

Jednak z powodu niepowiadomienia z dziesięciodniowym wyprzedzeniem o szykowanej manifestacji Komisja Gwarancji Strajkowych uznała strajk za nielegalny. Minister infrastruktury i transportu Matteo Salvini napisał na platformie X: „Nie pozwolimy, by CGIL i lewicowi ekstremiści siali chaos we Włoszech. Nie będziemy tolerować żadnego nagłego strajku generalnego". Dodał też: „Flotylla działa prowokacyjnie w kluczowym momencie dla międzynarodowej dyplomacji. Lewicowe związki zachowują się nieodpowiedzialnie, podburzając ludzi i szkodząc Włochom". Salvini zagroził, że każdy strajkujący zostanie pociągnięty do odpowiedzialności.

Przedstawiciele CGIL odpowiedzieli w komunikacie: „Atak na statki cywilne z obywatelami Włoch stanowi cios w porządek konstytucyjny, utrudnia działania humanitarne i solidarność z ludnością palestyńską, poddaną przez rząd Izraela rzeczywistemu ludobójstwu".

Im chodzi o długi weekend

„Wciąż uważam, że to wszystko nie przynosi żadnej korzyści narodowi palestyńskiemu, natomiast może przysporzyć trudności narodowi włoskiemu", oświadczyła Giorgia Meloni, krytykując strajk generalny i demonstracje. Flotyllę Sumud nazwała „inicjatywą, która ma niewiele wspólnego z Palestyną, a bardzo wiele z włoską polityką i chęcią uderzenia w rząd". Z przekąsem dorzuciła: „Spodziewałam się, że przynajmniej w tak ważnej sprawie związki zawodowe nie ogłoszą strajku w piątek – bo długi weekend i rewolucja to kiepskie połączenie".

Na słowa Meloni ostro zareagował Maurizio Landini, sekretarz generalny CGIL: „Premier powinna okazywać szacunek tym, którzy pracują i płacą podatki. Sugerowanie, że strajk jest pretekstem do przedłużenia weekendu, to obraza. Dziś kwestionowane są podstawowe wartości demokracji i prawo ludzi do życia w pokoju. Ludzie przyzwoici i organizacje oparte na wartościach nie mogą na to patrzeć obojętnie". Przypomniał ponadto, że „w 1943 r. robotnicy również wykorzystali strajk jako narzędzie sprzeciwu wobec wojny – w imię pokoju i demokracji" oraz że „nie ma pracy bez pokoju, a solidarność jest prawem wszystkich ludzi pracy".

> Kryminalizujecie sprzeciw, a nie zbrodnie popełniane w Gazie.

eprasa.pl c0e04ea7c4

Do Rzymu przybyli manifestanci z całych Włoch, według organizatorów 1 mln osób. 4 października 2025 r.

Były sekretarz Partii Demokratycznej Pier Luigi Bersani skomentował zaś ironicznie: „450 aktywistów z ponad 40 krajów wybrało się na rejs po Morzu Śródziemnym, by spiskować przeciw pani premier. To przejaw megalomanii w stylu Trumpa".

W Izbie Deputowanych głos zabrała też sekretarz Partii Demokratycznej Elly Schlein: „To niedopuszczalne, by rząd próbował zatuszować lub ignorować głos setek tysięcy protestujących, którzy wyszli na ulice w obronie Palestyńczyków. Kryminalizujecie sprzeciw, a nie zbrodnie popełniane w Gazie".

Partia Demokratyczna, Ruch Pięciu Gwiazd oraz Zielono-Lewicowa Koalicja (Alleanza Verdi e Sinistra, w skład której wchodzą Europa Verde i Sinistra Italiana) przyjęły wspólną rezolucję wzywającą rząd do uznania Palestyny za demokratyczne i suwerenne państwo w granicach z 1967 r., ze wspólną stolicą w Jerozolimie, współistniejące w pokoju i bezpieczeństwie z Izraelem. Dokument obejmował także apel o natychmiastowe zawieszenie broni, uwolnienie zakładników oraz ochronę ludności cywilnej i aktywistów flotylli.

Sondaże wskazują, że 87,8% Włochów popiera uznanie Palestyny przez rząd, tak jak to zrobiły Francja i Wielka Brytania.

Sparaliżowany kraj

Już w nocy z 2 na 3 października we Włoszech zatrzymały się pociągi. Od wczesnych godzin porannych stanęły fabryki, porty, środki transportu, w szkołach nie było lekcji. Także urzędy i sektor publiczny odnotowały dużą frekwencję strajkujących, a na uniwersytetach studenci i wykładowcy zawiesili zajęcia, by dołączyć do marszów protestacyjnych. Częściowo okupowano Uniwersytet Rzymski La Sapienza.

Według danych związkowych w strajku wzięło udział ponad 2 mln osób, choć Ministerstwo Spraw Wewnętrznych szacowało frekwencję na pół miliona – i tak wystarczająco, by sparaliżować kraj.

W Mediolanie zamarł sektor logistyczny, w Neapolu i Genui portowcy zablokowali terminale, a w Rzymie komunikacja miejska działała z przerwami. Demonstracje odbyły się w wielu miastach. Główne place – rzymski piazza dei Cinquecento, mediolański Duomo czy neapolitański Dante – wypełniły się flagami Palestyny, transparentami związków zawodowych i hasłami: „Stop ludobójstwu!", „Wolna Palestyna".

„Włosi dobrze wiedzą, po której stronie stanąć – mówił jeden z uczestników marszu w Rzymie. – Nie można dłużej tolerować tego ludobójstwa. Dlaczego rząd i Europa wciąż nic nie zrobiły? Dlaczego nie nałożyły sankcji na Izrael tak jak na Rosję?".

„To nie tylko walka o Palestynę – dodała uczestniczka protestu w Turynie – to walka o człowieczeństwo, naszą ludzką godność, i sprzeciw wobec obojętności na śmierć cywilów i dzieci".

Demonstracje dotarły do obwodnic i autostrad, ale także do stacji kolejowych. Na lotnisku w Pizie zablokowano pas startowy, wstrzymując ruch lotniczy. Do starć doszło m.in. w Mediolanie, Turynie i Bolonii, gdy od pochodów odłączyły się grupy prowokujące policję.

W sobotę, 4 października, wielka manifestacja propalestyńska przeszła przez Rzym. Ponad dwukilometrowy pochód ruszył z piazzale Ostiense, spod Piramidy Cestiusza, i przeszedł

FOT. ABACA/EAST NEWS

eprasa.pl c0e04ea7c4

obok Koloseum, aż do placu San Giovanni, gdzie stoi bazylika laterańska. Na czele pochodu niesiono ogromny transparent: „Jesteśmy lądową załogą flotylli". Wielu uczestników miało papierowe łódeczki i białe płótna – symboliczne morze, które płynęło ulicami stolicy. Bito w bębny, skandowano hasła na rzecz Palestyny, czytano palestyńskie wiersze.

Do Rzymu przybyli manifestanci z całych Włoch. Według organizatorów w demonstracji brało udział 1 mln osób. Mniejsze manifestacje odbyły się również w innych włoskich miastach. W pochodach maszerowali związkowcy, pracownicy, intelektualiści, artyści, organizacje pacyfistyczne i pozarządowe, sieci studenckie, osoby w różnym wieku i różnej narodowości. Wielu podkreślało, że solidarność z Palestyną nie jest gestem politycznym, lecz ludzkim obowiązkiem.

W Rzymie demonstracja przebiegała pokojowo i zakończyła się wspólną świecką modlitwą za ofiary wojny i odczytaniem nazwisk ponad 2 tys. cywilów palestyńskich, którzy zginęli w ostatnich tygodniach. Protestowano przeciwko zatrzymaniu aktywistów flotylli Sumud, przeciwko wojnie i eksterminacji narodu palestyńskiego, potępiając brak działań włoskiego rządu wobec Izraela, domagając się zerwania umów dyplomatycznych i handlowych oraz przerwania trwającego dwa lata milczenia w sprawie tej wojny.

Niestety, po demonstracji doszło do aktów wandalizmu i przemocy oraz do starć z policją. 262 osoby aresztowano za udział w zamieszkach, 41 funkcjonariuszy zostało rannych, a dwóch protestujących trafiło do szpitala. Na piazza dei Cinquecento, który został przemianowany na piazza Gaza i gdzie znajduje się stałe prezydium aktywistów propalestyńskich, zdewastowany został pomnik Jana Pawła II, na którym pojawił się napis „faszysta". Tej samej nocy grupa neofaszystów zaatakowała lewicowych studentów siedzących w jednym z barów.

Wiele polemik wzbudził też transparent niesiony na końcu pochodu: „7 października to akt palestyńskiego oporu". Został on potępiony przez wszystkie partie polityczne. Szkoda jednak, że nikt z organizatorów i uczestników marszów od razu go nie zauważył.

Globalne protesty

Fala manifestacji solidarności z Palestyńczykami i załogą Flotylli Global Sumud ogarnęła dziesiątki krajów. Tysiące osób wyszły na ulice, by potępić izraelski atak na statki z pomocą humanitarną zmierzające do Gazy.

W Europie protestowano m.in. w Hiszpanii, Francji, Holandii, Belgii, Niemczech i w Polsce. Wielkie demonstracje odbyły się w Meksyku i Argentynie oraz w Turcji, Pakistanie i Malezji, a w Stanach Zjednoczonych, Japonii i Australii domagano się uwolnienia aktywistów. W tym samym czasie z tureckiego portu wypłynęła nowa flotylla, w której skład wchodzą cztery jednostki włoskie.

Na ulicach Rzymu obok flag palestyńskich i związkowych widać było czerwone sztandary z sierpem i młotem oraz nowy symbol pokolenia Z – czaszkę w słomkowym kapeluszu z japońskiej serii komiksów „One Piece". Dla młodych stała się metaforą buntu i wolności, symbolem sprzeciwu wobec niesprawiedliwości i przemocy.

Dlaczego tak wielu ludzi wyszło na ulice w obronie Gazy? Według socjologa Giuseppe De Rity „Włosi od miesięcy słyszą o masakrze dzieci, o słowie »ludobójstwo«, więc ich reakcja jest w dużej mierze emocjonalna. To gniew i wstrząs wywołane śmiercią tysięcy cywilów – emocje, które przekroczyły granice polityki".

Dla młodych protesty propalestyńskie stały się symbolem globalnego sprzeciwu wobec systemu łączącego kapitał, przemoc i hipokryzję polityczną. W konflikcie widzą oni nie odległą wojnę, lecz odbicie własnej codzienności: nierówności, inwigilacji, kryzysu klimatycznego, utraty praw, braku perspektyw. W planie odbudowy Gazy jako luksusowej riwiery turystycznej powstałej na gruzach i trupach dostrzegają obraz przyszłości świata w epoce brutalnego kapitalizmu, gdzie zysk góruje nad człowiekiem.

Jeśli te emocje i protesty nie zostaną zrozumiane przez europejskich liderów, a społeczeństwa nie usłyszą jednoznacznej, moralnej odpowiedzi dającej nadzieję na sprawiedliwość i równość, mogą łatwo zostać zmanipulowane – i obrócić się przeciwko demokracji.

Agnieszka Zakrzewicz

W Strefie Gazy brakuje wszystkiego: jedzenia, leków, wody. Władze izraelskie prowadzą politykę masowego głodzenia ludzi. W naszych przychodniach widzimy dramatyczny wzrost niedożywienia. To szczególnie groźne dla kobiet w ciąży i karmiących piersią oraz dzieci od 6. do 23. miesiąca życia. Dowiedz się więcej i wspieraj nasze działania.

PRZEKAŻ DAROWIZNĘ

eprasa.pl c0e04ea7c4

Francuski dług wobec Trypolisu

Jak libijskie miliony zasiliły kampanię Sarkozy'ego

Nicolas Sarkozy z żoną Carlą Bruni opuszcza sąd w Paryżu po ogłoszeniu wyroku w sprawie afery korupcyjnej. 25 września 2025 r.

Sarah Bomba
Korespondencja z Francji

Były prezydent Nicolas Sarkozy, jedna z ciekawszych postaci V Republiki, został niedawno skazany na pięć lat więzienia w procesie dotyczącym afery korupcyjnej powiązanej z byłym przywódcą libijskim Muammarem Kaddafim i nielegalnego finansowania kampanii wyborczej w 2007 r.

Po raz pierwszy w sprawie libijskiego finansowania Nicolas Sarkozy został zatrzymany 20 marca 2018 r. Wyrok zapadł jednak dopiero w tym roku i został opatrzony klauzulą natychmiastowej wykonalności, co oznacza, że będzie obowiązywał, nawet jeśli były prezydent odwoła się od decyzji sądu. W toku śledztwa i procesu Sarkozy'emu zarzucono m.in. nielegalne finansowanie kampanii wyborczej, bierną korupcję i tuszowanie przywłaszczenia środków publicznych. Aby jednak zrozumieć złożoność malwersacji finansowych, które zaważyły na przyszłości byłego prezydenta, należy w pierwszej kolejności odnieść się do zawiłych powiązań w jego najbliższym otoczeniu.

Kamuflowanie pieniędzy po francusku

W paryskim światku elit pierwszej dekady XXI w. roiło się od nazwisk, które później miały się pojawiać na salach sądowych. Jedną z takich postaci był Ahmed Djouhri, biznesmen i znajomy wielu francuskich polityków. W 2006 r. poznał on Nicolasa Sarkozy'ego, wówczas ambitnego polityka, który już rok później miał objąć urząd prezydenta Francji.

Francuski wymiar sprawiedliwości interesował się Djouhrim od dawna. W 2018 r. Djouhri został zatrzymany w Londynie w związku z podejrzeniem udziału w tajemniczych transakcjach finansowych. Jedna z nich dotyczyła przelewu na kwotę 500 tys. euro dla Claude'a Guéanta, który współpracował z Sarkozym jako szef gabinetu od 2002 r., gdy późniejszy prezydent był jeszcze ministrem spraw wewnętrznych w rządzie Jeana-Pierre'a Raffarina. Według śledczych po wyborach prezydenckich Guéant

eprasa.pl c0e04ea7c4

miał otrzymać przelew z zagranicznego konta. Wkrótce potem, w 2008 r., nabył luksusowe mieszkanie w prestiżowej XVI dzielnicy Paryża, o wartości 717 500 euro. Oficjalnie środki miały pochodzić ze sprzedaży dwóch obrazów flamandzkiego malarza Andriesa van Eertvelta malezyjskiemu prawnikowi Sivie Rajendramowi. Remont mieszkania miał być w całości opłacony w gotówce, co sugeruje, że część łapówki została przekazana poza wspomnianym przelewem.

W opinii niezależnych ekspertów wspomniane dzieła sztuki, choć opatrzone certyfikatem wyceniającym je na 500 tys. euro, w rzeczywistości były warte najwyżej kilkadziesiąt tysięcy (na dokumencie widnieje podpis Georges'a de Jonckheere'a, lecz marszand specjalizujący się w malarstwie flamandzkim zaprzeczył, jakoby kiedykolwiek potwierdzał tak wysoką wycenę dzieł). Zespół dziennikarski programu „Cash Investigation" podczas konsultacji ze znawcą sztuki i rynku antyków Peterem de Boerem ustalił, że w latach 90. prace van Eertvelta sprzedawano za dzisiejszą równowartość ok. 22 tys. euro, obecnie zaś ich wartość rynkowa nie przekraczałaby 40 tys. euro.

Na tym jednak historia się nie kończy. Trop prowadzi dalej, do dwóch biznesmenów: Wahiba Nacera i Khaleda Bugshana, którzy mieli przelać 500 tys. euro na konto malezyjskiego prawnika. A ten miał przekazać środki Guéantowi. Cały łańcuch operacji finansowych to klasyczny przykład tego, co francuscy śledczy nazywają *déguisement d'argent*, czyli kamuflowaniem pieniędzy, by nadać legalną formę środkom wątpliwego pochodzenia.

Wokół Djouhriego również narastały kontrowersje. W 2009 r. sprzedał swoją willę na Lazurowym Wybrzeżu, wartą według szacunków ok. 1,8 mln euro, za niemal pięciokrotnie wyższą kwotę (9,5 mln euro). Nabywcą był pośrednik, który odsprzedał nieruchomość funduszowi inwestycyjnemu LAP, powiązanemu z libijskim kapitałem. Za kulisami tych operacji, jak podają liczne źródła, miał stać Wahib Nacer – człowiek, który pojawia się w tle niemal każdej podejrzanej transakcji. Sieć powiązań między francuskimi elitami politycznymi, biznesmenami z Bliskiego Wschodu i zagranicznymi pośrednikami pokazuje, jak skomplikowane potrafią być mechanizmy prania pieniędzy w najwyższych kręgach władzy. I jak precyzyjnie działa system mający na celu ukrycie źródeł nielegalnych środków.

Wyrok pięciu lat więzienia dla Nicolasa Sarkozy'ego został opatrzony klauzulą natychmiastowej wykonalności.

Pensje z szafy

Pierwsza podróż Nicolasa Sarkozy'ego do Trypolisu nie była przypadkowa. Każdy szczegół tej wizyty został starannie zaplanowany przez jego najbliższego współpracownika, Claude'a Guéanta, oraz wpływowego pośrednika Ziada Takieddine'a, francusko-libańskiego przedsiębiorcę. Właśnie ta podróż miała otworzyć nowy rozdział w relacjach Paryża z reżimem Muammara Kaddafiego, co przerodziło się w jedną z największych we współczesnej Francji afer korupcyjnych, której dowodów nie da się podważyć.

Aby zrozumieć całą historię, warto przytoczyć świadectwo Moftaha Missouriego, bliskiego współpracownika Kaddafiego, który po latach zgodził się udzielić wywiadu francuskim dziennikarzom. W jego relacji pojawia się scena, która wygląda jak fragment politycznego kabaretu. Missouri twierdzi, że po poufnym spotkaniu Kaddafiego z Sarkozym w 2005 r. (czyli, gdy ten był jeszcze ministrem spraw wewnętrznych) otrzymał od libijskiego przywódcy nagranie ich rozmowy. Słychać rozmowę prowadzoną po angielsku, podczas której Sarkozy wyjawia Kaddafiemu swoje plany startu w wyborach prezydenckich. Odpowiedź libijskiego przywódcy była krótka i znacząca: „Pomożemy panu".

Zbliżające się wybory w 2007 r. przyśpieszyły działania pośredników. Francuscy emisariusze zaczęli regularnie odwiedzać Trypolis, aby uzgodnić warunki polityczno-kapitałowej „wymiany". Według różnych źródeł łączna kwota libijskiego finansowania mogła wynosić nawet 57 mln euro. Sam Moftah Missouri wspominał o 20 mln dol. – gigantycznej sumie, jeśli wziąć pod uwagę realia kampanii wyborczych tamtego okresu.

Niepokojące są także relacje osób z bliskiego kręgu Sarkozy'ego, np. opowieść byłego asystenta kampanijnego, Kamela El Houariego, który wspominał po latach, że wynagrodzenia wypłacano wyłącznie gotówką, z „szafy pełnej pieniędzy". Nie był to jednostkowy incydent, raczej system, w którym gotówka płynęła swobodnie, bez pytań o źródło. Wszyscy współpracownicy wiedzieli, że wypłacanie „pensji z szafy" nie należy do standardów zawodowych, lecz nikt nie miał ochoty się w to zagłębiać.

Zadziwiające były też metody przewożenia tych pieniędzy. Ziad Takieddine przyznał, że transport gotówki odbywał się w sposób niemalże banalny. Walizki pełne euro przewożono... zwyczajnymi afrykańskimi liniami lotniczymi. Po przylocie do Francji Takieddine kontaktował się z Guéantem, udawał do jego biura w zabytkowej kamienicy należącej do administracji państwowej i osobiście przekazywał mu torby pieniędzy. Według jego wspomnień, dostarczone zostały trzy walizki z łączną kwotą 5 mln euro. Źródła tych środków nie pozostawiały złudzeń. Gotówka pochodziła bezpośrednio z libijskiego

Łączna kwota libijskiego finansowania mogła wynosić nawet 57 mln euro. Moftah Missouri wspominał o 20 mln dol.

eprasa.pl c0e04ea7c4

Banku Centralnego, co potwierdziły późniejsze ustalenia śledczych. Pieniądze przekazywano głównie w banknotach o nominale 500 euro, najwyższym dostępnym, co dodatkowo utrudniało ich śledzenie. Seria tych banknotów była jednak zarejestrowana, a eksperci wskazali, że mogły one pochodzić wyłącznie z bankowych rezerw Libii, która musiała złożyć na nie zamówienie w bankach europejskich (te niestety odmówiły udzielenia jakichkolwiek informacji na ten temat).

Wszystko to rzuca światło na zaskakująco serdeczną wizytę Kaddafiego we Francji w grudniu 2007 r. Świeżo wybrany prezydent Sarkozy przyjął wówczas libijskiego przywódcę z taką pompą, z jaką nie ugoszczono w Paryżu żadnego afrykańskiego lidera. Kaddafi rozbił swój słynny beduiński namiot w ogrodach Pałacu Elizejskiego, a dziennikarze i obywatele zastanawiali się, skąd ta nagła kordialność wobec człowieka, który był przez Zachód izolowany. Zahra Mansour, była współpracowniczka Kaddafiego, po latach wspominała słowa swojego szefa: „Jeśli Sarkozy przyjął nas w taki sposób, to dlatego, że spłaca wobec nas dług".

Dziś, z perspektywy kolejnych lat śledztw i rewelacji medialnych, słowa te nabierają złowrogiego sensu, gdyż sprawa libijskiego finansowania kampanii Sarkozy'ego to nie tylko opowieść o walizkach z gotówką i partyjnej szafie pełnej pieniędzy. To przede wszystkim świadectwo tego, jak niewiele dzieli dyplomację od korupcji i jak łatwo można tę granicę przekroczyć. Obecnie, w obliczu bezprecedensowej w XXI w. polaryzacji społecznej, afera ta jest wykorzystywana w walce politycznej.

Proces

Skala malwersacji za kadencji Sarkozy'ego przekracza najśmielsze wyobrażenia i godzi w powagę państwa. Wyrok pięciu lat więzienia dla centralnej figury afery korupcyjnej, w której przetransferowano grube miliony na zasadach obowiązujących w państwach określanych dawniej mianem Trzeciego Świata, wcale nie wydaje się przerażający. Mimo to Nicolas Sarkozy nie potrafił przyjąć go z godnością. Znany jest z narcystycznych skłonności, a proces tylko je unaocznił. Były prezydent konsekwentnie powtarza, że stał się ofiarą lewicowego spisku, że oskarżenia wobec niego są „niegodne" i „niewdzięczne", Republikanie zaś oraz partia Marine Le Pen bezrefleksyjnie stają w jego obronie. Taka postawa byłego prezydenta nie wpływa na zamknięcie sprawy, lecz staje się czynnikiem polaryzującym społeczeństwo, i tak już głęboko skonfliktowane.

> Wynagrodzenia wypłacano wyłącznie gotówką, z „szafy pełnej pieniędzy".

Warto też zwrócić uwagę na to, z jaką determinacją Sarkozy'ego broni żona. Carla Bruni od początku staje murem za mężem. Dziennikarz Laurent Joffrin dostał od niej wiadomość następującej treści: „Zamilcz, donosicielu. Wszystko, co mówisz, jest kłamstwem, wszystko, czego bronisz, jest haniebne – to ty jesteś nieuczciwy". Była to reakcja na komentarze przypominające, że Sarkozy był już trzykrotnie skazany.

Innym przykładem jest zachowanie Carli po wyjściu męża z sali sądowej – kiedy razem przechodzili obok grupy dziennikarzy, Bruni podeszła do przedstawicieli serwisu informacyjnego Mediapart, który odegrał kluczową rolę w nagłośnieniu sprawy, i z wściekłością ściągnęła z ich mikrofonu osłonę przeciwwietrzną. To właśnie Mediapart opublikował w 2012 r. pierwsze dokumenty i noty sugerujące, że reżim Kaddafiego mógł finansować kampanię prezydencką Sarkozy'ego w 2007 r.

Warto przypomnieć, że Carla Bruni, zanim poznała Nicolasa Sarkozy'ego, była zdeklarowaną wyborczynią lewicy, a dziś oskarża ją o spisek przeciwko jej niewinnemu mężowi. W tym samym roku, kiedy Sarkozy został wybrany na prezydenta, Carla udzieliła wywiadu szkockiej gazecie, podkreślając w nim, że za nic w świecie nie zagłosowałaby na prawicę, bo rodzinną tradycją jest u niej głosowanie na lewicę. Według informacji medialnych w 2007 r. miała wręcz odmówić uściśnięcia dłoni Sarkozy'emu, w którym niedługo potem się zakochała.

Sarah Bomba

KSIĄŻKI

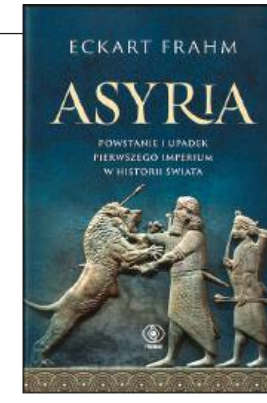

Eckart Frahm
Asyria
Powstanie i upadek pierwszego imperium w historii świata
tłum. Radosław Kot
Rebis, Poznań 2025

Imperium Asyrii u szczytu swojej potęgi rozciągało się od Morza Śródziemnego do Zatoki Perskiej. Asyryjskie podboje są dobrze znane m.in. z Biblii i dzieł greckich historyków, lecz prawie 200 lat badań archeologicznych pozwala spojrzeć na Asyrię szerzej. Frahm kreśli żywe postacie władców, następców tronu, egzorcystów, buntowników i wasali wraz z ich pełnymi przepychu pałacami, obleganymi miastami i rozległymi peryferiami imperium. Dowiadujemy się wiele o niezwykle sprawnym systemie łączności i ogromnej sieci handlowej, ważnej roli kobiet z rodów królewskich, a także o wpływie epidemii i zmian klimatycznych na kondycję państwa.

Imperium asyryjskie upadło pod koniec VII w. p.n.e., lecz jego spuścizna i tradycja zapoczątkowały tworzenie wielkich, wieloetnicznych struktur państwowych, co wykorzystali później Babilończycy, Persowie i Rzymianie.

(es)

FOT. AP/CHRISTOPHE ENA/EAST NEWS

eprasa.pl c0e04ea7c4

Chopina portret psychologiczny

Niczego nie stawiał wyżej od komponowania

Rozmawia Wojciech Tutaj

Jak zmieniło się pana spojrzenie na Fryderyka Chopina w czasie tworzenia jego filmowej biografii?

– Z początku wydawało mi się, że bardzo dużo wiem o Chopinie. Zastanawiałem się, czy jest w ogóle sens robić film o naszym wybitnym kompozytorze, bo błędnie zakładałem, że jego życie było dość monotonne; że bez przerwy grał na fortepianie, wyjechał do Nohant, wrócił do Paryża, umarł... Niestety, do tego sprowadza się powszechna wiedza o Chopinie i tylko te wątki podejmowano w filmach biograficznych o nim. A ja brałem je za całą prawdę o losach artysty. Kiedy zagłębiłem się w temat, a szczególnie w czterotomową biografię pióra Ferdynanda Hoesicka, stwierdziłem, że nie znałem wielu niesamowitych faktów i że warto stworzyć kolejną o Chopinie opowieść. Mój film nie ma typowej dramaturgii, bo nie znalazłem postaci wroga, na której mógłbym oprzeć główny konflikt.

MICHAŁ KWIECIŃSKI
– producent, reżyser filmowy, teatralny i telewizyjny, w kinach możemy oglądać film „Chopin, Chopin!" w jego reżyserii.

Mamy więc konflikt między życiem i śmiercią?

– Raczej między śmiercią i muzyką. Chopin był muzyką, a jego życie osobiste nie układało się dobrze, bo niczego nie stawiał wyżej od komponowania. Bardzo silne piętno odcisnęła na nim oczywiście choroba – u artysty w wieku 25 lat zdiagnozowano gruźlicę. Gdy choroba zaczyna coraz wyraźniej się ujawniać, Chopin żyje z nią niemal jak z żoną, a muzyka odgrywa rolę kochanki. Sam rozwój choroby działa trochę jak samospełniająca się przepowiednia i ten mechanizm służy filmowej dramaturgii. Pozwala też utożsamić się z emocjami bohatera. Proszę sobie wyobrazić sytuację, w której ktoś słyszy diagnozę onkologiczną i musi z nią żyć latami. Lekarz mówi, jakie będą objawy raka: może pan się czuć źle, potem trochę lepiej, w końcu będą występować krwotoki, zrobimy naświetlania. Jeśli naświetlanie nic nie da, przejdziemy do następnego etapu leczenia. I tak po kolei. Wiadomo jednak, że koniec będzie się zbliżał coraz szybciej. Myśli i emocje człowieka w podobnej sytuacji są uniwersalne.

Michał Kwieciński – (ur. w 1951 r.) w 1981 r. obronił doktorat z chemii organicznej. Potem ukończył Wydział Reżyserii warszawskiej PWST. Współpracował z Teatrem Telewizji, Teatrem Współczesnym w Warszawie i Warszawską Operą Kameralną. Jest założycielem firm producenckich Akson Studio, Tilsa i Arka Film. Produkował filmy Andrzeja Wajdy, Jana Jakuba Kolskiego czy Jana Komasy. „Białą sukienką" zadebiutował jako reżyser w filmie fabularnym. Jest członkiem Polskiej Akademii Filmowej i Europejskiej Akademii Filmowej. Odznaczony Złotym Krzyżem Zasługi, Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski oraz Srebrnym Medalem „Zasłużony Kulturze Gloria Artis".

eprasa.pl c0e04ea7c4

W filmie widzimy, że Chopin nie tylko kochał muzykę, ale wręcz był od niej uzależniony. Dostrzegł pan coś destrukcyjnego w jego największym życiowym powołaniu?

– Coś jest na rzeczy, bo gdy ktoś zajmuje się od rana do nocy muzyką, to pozostałe sprawy tracą dla niego znaczenie. I to samo w sobie ma destrukcyjny wymiar. Obsesyjny stosunek do muzyki sprawiał, że Chopin tak długo dochodził do finalnych wersji swoich utworów. Nawet bardzo proste kompozycje pisał latami i dopiero potem przekazywał wydawcom. Po Chopinie zostało 28 godzin muzyki, a jego nieskończone utwory obejmowały prawdopodobnie 100 godzin, bo był totalnym perfekcjonistą. Tworzył z pasją, lecz zamęczał się w niej. W pierwszym momencie łapał ideę utworu i odczuwał przyjemność, a potem przeżywał absolutną mękę. Proszę spojrzeć na jego zapisy nutowe, wyglądają jak jedno wielkie skreślenie.

Chopin jest uwielbiany i otaczany przez tłumy, ale wydaje się osamotniony, co sugeruje nawet jego matka. To los prawie wszystkich wielkich artystów? A może ich wybór?

– Wydaje mi się, że każdy wielki artysta musi być egocentrykiem, musi się skupiać na sobie i swojej twórczości. W tym sensie samotność jest udziałem wszystkich wybitnych twórców. Kiedy oglądam filmy dokumentalne o gwiazdach muzyki popularnej, bardzo często wracają w nich motywy twórczej męki i poczucia nieszczęśliwości losu. Ci artyści nie mogą mieć stałych partnerów, ciągle ich zmieniają, ale na końcu to wcale nie jest istotne, bo liczy się muzyka i tworzenie. Niektórzy są bardziej zrównoważeni, ale wydaje mi się, że więcej jest osobowości rozchwianych, które po prostu męczą się ze swoją ogromną kreatywnością. Nie mogą jednak żyć inaczej. Jeżeli kogoś całkowicie pochłonie pasja – nieważne, czy chodzi o muzykę, robienie filmów bądź aktorstwo – to ten artysta zawsze wybierze akt twórczy zamiast życia osobistego. Zawsze wybierze wolność, a nie spokój i stabilizację.

Chopin pasował do roli gwiazdy? Film daje nam sprzeczne sygnały co do tego.

– Wydaje mi się, że bycie gwiazdą sprawiało mu pewną przyjemność. Oczywiście Chopin cały czas krył się za maską i coś odgrywał. Z jednej strony, denerwowały go tłumy. Uważał, że są głośne, że to motłoch, który nie słucha, tylko ogląda. Z drugiej, każdy twórca chce mieć publiczność i zdobyć popularność. Nawet jeśli się w tym męczy i twierdzi, że go to nie obchodzi, uwielbienie tłumów jest mu potrzebne. Nie wierzę artystom, którzy mówią, że mają w nosie sławę i kontakt z widzem. Są tak naprawdę tego spragnieni, tworzą i występują, żeby osiągnąć sukces przed ludźmi, a nie przed sobą.

Widzi pan w Chopinie bohatera tragicznego?

– Chopin zdecydowanie jest postacią tragiczną. Grał na fortepianie od szóstego roku życia, mimo że nikt nie odbierał mu wolności w dzieciństwie. Jego rodzice byli bardzo postępowi, pozwalali mu biegać, grać w piłkę, bawić się, mieć kolegów itd. To nie był mały geniusz zamknięty w pokoju z instrumentem, tylko naprawdę niesforny, fantastyczny, otwarty chłopiec. W którymś momencie wewnętrzny przymus codziennego grania i ćwiczenia okazuje się jednak tak wielki, że zapomina się o towarzystwie znajomych i o innych aktywnościach. To wchodzi w nawyk, a potem staje się mantrą dnia codziennego. Relacje międzyludzkie schodzą wtedy na dalszy plan, nie są pogłębiane, wydają się zbędne. Od pewnego etapu Chopin nieustannie grał. Wielka osobowość i charyzma sprawiały, że gromadziła się wokół niego ogromna liczba ludzi, którzy go doceniali, kochali, zachwycali się nim. Służyli mu, nie oczekując nic w zamian. Jedynym, co dostawali, były jego muzyka, jego geniusz, jego utwory, które przetrwały już prawie 200 lat. Ludzie z otoczenia artysty mieli rację, bezinteresownie się nim zajmując.

Znalazł pan w historii Chopina aktualne, współczesne wątki?

– Chciałem, żeby Eryk Kulm zagrał Chopina w sposób współczesny, żeby pokazał go jako bardzo żywotnego dzisiejszego człowieka. Nie uważam bowiem, że duchowość twórców z tamtej epoki różni się od naszej duchowości. Zresztą artyści zawsze chcą przede wszystkim tworzyć. Analogie do współczesności można też dostrzec w rysunku świata przedstawionego. Ówczesne imprezy w arystokratycznych domach to odpowiednik dzisiejszych melanży, a puste ulice XIX-wiecznego Paryża, który nawiedziła epidemia cholery, przypominają pandemiczną rzeczywistość z 2020 r. Mamy również wątek leczenia się u znachorów, a przecież dzisiaj szukamy pomocy u takich ludzi, tylko oni inaczej się nazywają i mają ekskluzywne prywatne kliniki.

Ciekawe, że nazywa pan swój film dramatem psychologicznym, a nie opowieścią biograficzną.

– W filmie „Chopin, Chopin!" nie pokazuję kolejno faktów z życia artysty, tylko skupiam się całkowicie na analizie jego psychologii. Dlatego struktura fabularna jest rwana, składa się ze strzępków, urywków jego życia. Klasyczny film biograficzny opowiada coś od początku do końca, np. jak Chopin poznał George Sand. Wszystkie fakty powinny być w nim zgodne z prawdą, czyli w trakcie pobytu bohaterów na Majorce musiałyby im towarzyszyć dzieci pisarki. Tymczasem ja usuwam wiele osób z otoczenia Chopina, bo zajmuję się głównie psychiką artysty. Staram się zobrazować uczucia wielkiego człowieka w kontekście jego żarliwej pasji do muzyki, zbliżającej się śmierci oraz kompletnego braku zdolności do okazywania innym prawdziwych emocji. Chopin mówi, że nie umie się zakochać, bo to w muzyce wyraża całą miłość i wszystkie stany wewnętrzne. Nie w relacjach ze znajomymi i przyjaciółmi.

> Chopin żyje z gruźlicą niemal jak z żoną, a muzyka odgrywa rolę kochanki.

Pana film może na nowo zbudować mit Chopina?

– Przez lata przywykliśmy do pewnych stereotypów na jego temat. Nie starałem się na siłę z nimi walczyć ani zrzucać Chopina z pomnika.

eprasa.pl c0e04ea7c4

Eryk Kulm w tytułowej roli w filmie „Chopin, Chopin!".

Po prostu miałem poczucie, że ta ikoniczna postać zasługuje na bardziej wnikliwą analizę jej charakteru i skomplikowanego losu. Nie chciałem budować nowego mitu artysty, moim celem było pogłębić informacje, które już znamy, i oczyścić wizerunek Chopina z elementów, które wydają mi się szkodliwe.

Co ma pan konkretnie na myśli?

– Przyjęło się, że Chopin rozmyślał o mazowieckim krajobrazie, tęsknił do wierzby, pastuszka, fujarki, gąsek i lasku. To nieprawda. Artysta miał genialną pamięć muzyczną i korzystał z elementów muzyki ludowej. Interesowały go składnie muzyczne, a nie żadne drzewa. On zaciągał z Polski dźwięki, nie obrazy.

Wątek tęsknoty Chopina za ojczyzną jest w filmie w ogóle mało istotny. Dlaczego?

– To była świadoma decyzja, ponieważ moja koncepcja patriotyzmu Chopina jest obrazoburcza. Nie chciałem jej przedstawić w tak wysokobudżetowym filmie, żeby kogoś nie urazić, w końcu korzystałem z pieniędzy publicznych. Gdyby nie to, mocno skrytykowałbym wyidealizowany obraz stosunku Chopina do Polski. Według mnie on kochał muzykę i rodzinę, z którą się nie widywał, a wobec ojczyzny był bardzo lojalny. Tak naprawdę car nie pozwolił mu dłużej funkcjonować w Polsce, bo Chopin oddał carski order i nie chciał być naczelnym kompozytorem obcego władcy. Jego zachowanie wynikało z poczucia obowiązku patriotycznego, ale dusza artysty nie wyła codziennie z tęsknoty do Polski. Chopin zachowywał się pragmatycznie pod tym względem – przekazywał sporo pieniędzy na pomoc polskiej emigracji, grał koncerty charytatywne. I tyle. Na przykład o Mickiewiczu mówił, że poeta namawia go na wspólne stworzenie opery narodowej, ale jest fatalnie ubrany. Nosi brzydkie buty i katanę, denerwuje go swoim wyglądem, przez co Chopin nie może z nim rozmawiać. Był więc Chopin patriotą w takim sensie, że skutecznie działał na rzecz kraju, ale nie siedział całymi dniami przy fortepianie, myśląc o Polsce. Pławił się w paryskim życiu, kochał je, bo był na szczycie świata kultury.

Opowiada pan o tym wszystkim z pasją, ale wiem, że pierwszy impuls do stworzenia filmu wyszedł od Eryka Kulma.

– Tak, to był przypadek. Zadzwoniłem do niego w zupełnie innej sprawie i spytałem, co teraz robi. Szukałem tematu na film, miałem ochotę na dużą produkcję, ale trochę się miotałem. Eryk odpowiedział, że bardzo chciałby zagrać Chopina i że gra na fortepianie. Nic mi nie sugerował, po prostu podzielił się swoim aktorskim marzeniem. Wyciągnąłem z tamtej rozmowy tylko słowo Chopin. Nie byłoby naszego filmu bez tej iskry. Zacząłem wtedy czytać o artyście i szybko zorientowałem się, że nic nie wiem. Burzyłem się wręcz, że skoro ja mam ledwie podstawową wiedzę o naszym największym kompozytorze, to pewnie 90% ludzi w Polsce też. A że interesuje mnie tylko kręcenie filmów psychologicznych, postanowiłem zrobić opowieść psychologiczną właśnie o Chopinie.

Co zadecydowało o tym, że Eryk Kulm idealnie pasował do roli Chopina?

– Dla mnie Eryk jest najwybitniejszym aktorem młodego pokolenia, ponieważ jest inny niż wszyscy. Jego osobowość, charakter, uroda są bardzo trudne do zaakceptowania w naszym kraju. Nie we wszystkim może więc grać, nie dostaje za wielu propozycji. A jest w idealnym momencie – nie założył jeszcze rodziny, jest wolnym człowiekiem i wybitnie utalentowanym aktorem, który oddaje się roli w 200%. Ma w sobie taką pasję jak Chopin. Na dodatek dokonuje rzeczy niemożliwych – nauczył się grać na fortepianie ponad 20 utworów w ciągu trzech i pół miesiąca! Tylko ja wierzyłem, że mu się uda, bo widziałem, jak niesamowicie jest zmotywowany do osiągnięcia celu. Poprosiłem potem mojego przyjaciela, wybitnego pianistę Janusza Olejniczaka, żeby odwiedził i posłuchał Eryka. Sam nie byłem w stanie ocenić, czy on dobrze wykonuje utwory Chopina. Olejniczak wrócił do mnie po trzech godzinach, cały spocony. Stwierdził, że efekt jest niesamowity, że Eryk jest genialny.

Obsesyjny stosunek do muzyki sprawiał, że Chopin tak długo dochodził do finalnych wersji utworów.

Wojciech Tutaj

FOT. WOJCIECH OLSZANKA/EAST NEWS, JAROSŁAW SOSIŃSKI

eprasa.pl c0e04ea7c4

Oko w oko

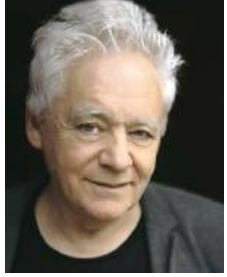

Tomasz Jastrun

Koń i kartofel

Prezesowi pogarsza się stan psychiczny, kulturalny inteligent z Żoliborza zmienia się w chama i robi wrażenie obłąkanego. To samo dzieje się z całą jego formacją. Obok Tuska i Żurka głównym wrogiem PiS zaczyna być Giertych. A ja świetnie pamiętam, jak Macierewicz wprowadzał go do polityki, chwaląc też za wygląd i wzrost. Teraz prezes kpi: „Nie mówcie mi o koniu, bo mi się pomyli. On się nazywa Giertych, a Giertych to nie znaczy koń. Koń to jest jego wygląd". I to mówi polityk, sam podobny do kartofla. Czy konie jedzą kartofle? Trump z kolei przedrzeźnia Bidena, jak staruszek drepce po schodkach z samolotu. Co za upadek obyczajów politycznych!

•

„Demokracja jest tak mocna, jak mocne jest centrum. Centrum to jest miejsce, gdzie następuje ostateczny kompromis. Demokracja to jest kultura kompromisu. Każdy ma swój interes, każdy ma swój pogląd, ale w pewnym momencie, na pewnym poziomie wszyscy się spotykają wokół czegoś, co się nazywa obywatelstwem. Na tym poziomie są pewne prawdy niezaprzeczalne (...). Wracając do naszej rzeczywistości: Europa pada, w tym sensie, że demokracja się zawala, bo następuje totalny zanik środka", powiedział celnie Lejb Fogelman.

Centrum także w Polsce zniknęło, jak to bywa na wojnie. Demokracja kiedyś zdawała się nam dana raz na zawsze, okazuje się, że nie jest. Zaniedbaliśmy ją i jest chora. Dlatego tak mnie niepokoi, gdy widzę, że wielu moich znajomych obraża się na rzeczywistość i deklaruje, że wycofuje się z aktywności politycznej. Nie chcą już walczyć, też dlatego, że boją się przegranej. Będą uprawiać swój ogródek. Ale jeśli przegramy, barbarzyńcy podepcą ich ogródki.

•

Co robią populiści, by zdobyć władzę lub ją utrzymać? Wszędzie ten sam scenariusz. Budzą w ludziach strach, który ma się zmienić w nienawiść. Ci, którzy się boją, łatwo zrzekają się myślenia, cedując je na przywódcę lub przewodnika duchowego. Hitler wzbudził najpierw strach przed obcymi, których uosabiali głównie Żydzi, a potem nienawiść do nich. Dzisiaj populiści w cywilizowanej części świata nie posuwają się aż do mordu. Zatrzymują się krok przed nim. Kaczyński roznieca strach, podobnie Trump. Szuka się wrogów. To obcy, czyli uchodźcy, i elity. Szuka się też konkretnych osób. W naszych mediach prawicowych pojawia się kompulsywnie Tusk jako demon zła. Są także postacie mityczne knujące światowy spisek – to Soros, który pieniędzmi karmi lewicę.

Częścią populizmu jest upraszczanie. Rzeczywistość jest skomplikowana, ale dla populistów wszystko jest jednoznaczne i proste. Podkopuje się niezależność sądów. I oczywiście mediów. PiS więc nie jest tu oryginalne. Twórcą pierwszego scenariusza był Mussolini, Trump nawet naśladuje jego mimikę. Czyli teraz ta cała epidemia populizmu to już tylko plagiaty.

•

Trumpowi w jego szaleństwie nie udało się doprowadzić do wygaszenia wojny na wschodzie, tylko się ośmieszył, ale być może uda mu się zakończyć niszczenie Gazy i doprowadzić do uwolnienia zakładników, na ogół już zagłodzonych niemal na śmierć. Hamas wstępnie godzi się na zaprzestanie walk i wydanie zakładników. Miasto w ruinie, dziesiątki tysięcy zabitych, najbardziej żal dzieci. Opinia o Izraelu w świecie zrujnowana, antysemityzm kwitnie. Zaczęto powszechnie używać słowa syjoniści, a przecież pamiętamy, że to synonim paskudnego Żyda, termin okrzepł podczas naszego marca '68, gdy zapachniało nazizmem. Terrorystom z Hamasu skretyniała lewica odpuściła wszelkie grzechy, konfederaci i brauniści uważali, że dobrze żydkom zrobili, a masowy mord, gwałty i tortury przekształciły się w heroiczną walkę o wolną Gazę. I nadal nie ma odpowiedzi na pytanie, co Izrael mógł zrobić po masowym mordzie dokonanym przez Hamas i wzięciu zakładników. Nie słyszałem żadnej sensownej odpowiedzi.

Rzeczywistość jest skomplikowana, ale dla populistów wszystko jest jednoznaczne i proste.

Netanjahu i jego banda w rządzie to faszyści, ale każdy, nawet liberalny przywódca Izraela podjąłby decyzję o ataku na Gazę. Co wy byście zrobili na miejscu Izraela po ataku Hamasu? Kobiety gwałcono i mordowano, dzieci też gwałcono i obcinano im głowy. Inny przywódca Izraela o wiele wcześniej zakończyłby operację. Hamas wtedy by przetrwał i triumfował, byłoby to jednak mniejsze zło. Sądy w Izraelu są niezależne i czekają na chwilę, gdy Netanjahu straci władzę, by go wsadzić. Izrael to nadal demokratyczny kraj. Czy Palestyńczykom uda się zbudować demokrację? Mała szansa. Mam wrażenie, że przez ten bliskowschodni dramat wszyscy jesteśmy jakoś gorsi, a też głupsi. Rządzą emocje, a nie rozum. A gdy rozum śpi, rodzą się upiory. ■

FOT. BARTOSZ MACIEJEWSKI

Poprzednie felietony na tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl c0e04ea7c4

NAWET GDY ZNIKNIEMY, CHOPIN ZOSTANIE

W tegorocznym Konkursie Chopinowskim startuje 29 Chińczyków, 13 Japończyków, są też Koreańczycy. Europa jest w ewidentnym odwrocie

Rozmawia Bronisław Tumiłowicz

Prof. dr hab. MARCIN GMYS
– wykładowca Instytutu Muzykologii UAM, były dyrektor Radia Chopin, komentator Konkursu Chopinowskiego na antenie TVP Kultura i na łamach „Ruchu Muzycznego".

Pamięta pan Konkurs Chopinowski w 1980 r., zwycięstwo Dang Thai Sona i porażkę Ivo Pogorelicia? Jak z tamtej perspektywy ocenia pan obecny konkurs?

– Impreza ogromnie się rozrasta. Coraz więcej pianistów pragnie tutaj się pokazać. Do wstępnych kwalifikacji zgłosiło się ponad 640 młodych artystów, wytypowano 160, a po eliminacjach wyłoniono 84 kandydatów. Powiększenie liczby uczestników konkursu byłoby już absurdalne, bo rozciągnęłoby przebieg imprezy. Poszerza się też społeczny odbiór konkursu, gdyż od 2010 r. jego przebieg można śledzić online – co było w tamtym czasie decyzją pionierską. Ten sposób przyjął się w świecie, a obecnie muzyki z Warszawy słucha ponad 80 mln ludzi.

Muzyka Chopina zdobyła przebojem Daleki Wschód. Dowiadujemy się np. że 22 mln Chińczyków ma wyższe wykształcenie muzyczne w dziedzinie pianistyki – więcej niż połowa mieszkańców Polski. Zwycięstwo w naszym konkursie Koreańczyka Seong-Jin Cho w 2015 r. spowodowało lawinowy wzrost zainteresowania muzyką Chopina na Dalekim Wschodzie. Deutsche Grammophon wydaje jego trzy-cztery płyty rocznie w setkach tysięcy egzemplarzy, z czego w Europie sprzedaje się najwyżej po kilkadziesiąt tysięcy. To kropla w morzu w porównaniu z zapotrzebowaniem krajów azjatyckich. W tegorocznym konkursie startuje 29 Chińczyków, 13 Japończyków, a są jeszcze bardzo mocni Koreańczycy. Europa ze swoimi 24 pianistami jest w ewidentnym odwrocie. Mówiąc nie do końca serio, jako komentatorzy z utęsknieniem czekamy zawsze na przedstawicieli naszego kontynentu, bo łatwiej nam zapamiętać i poprawnie wymówić ich imiona i nazwiska.

Azjaci nas zalewają?

– Niewątpliwie. Ale to wspaniale, że artyści z Dalekiego Wschodu polubili muzykę Chopina. Ich poziom techniki pianistycznej przewyższał naszych kandydatów, choć od strony artystycznej i emocjonalnej było to podobne do produkcji komputera dźwiękowego.

Pamiętam, jak nasz znakomity krytyk muzyczny Jan Weber mówił o tych pianistach, że to automaty z ludzką twarzą.

– Dziś już by tak nie powiedział. Trzy-cztery dekady temu oni rzeczywiście grali trochę mechanicznie, natomiast obecnie zdarzają się u nich drobne pomyłki, błędy tekstowe, co wskazuje, że zaczynają stawiać na zaniedbywaną wcześniej sferę emocjonalną muzyki, której nie da się w pełni kontrolować. Ale nadal są

FOT. KRZYSZTOF ŻUCZKOWSKI

eprasa.pl c0e04ea7c4

doskonali, często nieskazitelni, jeśli chodzi o odtworzenie Chopinowskiego tekstu. Kariera Lang Langa, który utrzymuje pozycję na rynku zachodnim już ponad 20 lat, to potwierdza. Niektórzy żartują, że za 10 lat do etapu finałowego dostaną się sami Chińczycy i nikt z Polaków (zresztą jest to możliwe nawet w tym roku). Przed taką perspektywą „chroni" nas na razie skład jurorów.

Pierwszy raz jury przewodniczy obcokrajowiec, Garrick Ohlsson z USA.

– Ten wybór to dobra decyzja, bo chroni nas przed zbyt częstym powielaniem ocen i przed posądzeniami o stronniczość.

Czy przy poprzednich konkursach miał pan pretensje do jurorów, że np. nie dali pierwszej nagrody Aleksiejowi Sułtanowowi, tylko wytypowali dwie drugie nagrody ex aequo?

– Tego typu pretensje czasem się pojawiają i niekiedy wydają się uzasadnione, ale ryzykowne byłoby doszukiwanie się jakichś środowiskowych matactw. Regulamin konkursu próbuje im zapobiegać. Wiadomo, że profesor nie głosuje na swoich wychowanków. Co więcej, jurorzy w trakcie całego konkursu nie znają sumarycznej punktacji odnoszącej się do poszczególnych pianistów. Żaden nie wie, kto w danej chwili realnie prowadzi. Pełną punktację zna tylko jedna osoba prowadząca dokumentację, a ta jest ujawniana dopiero jakiś czas po zakończeniu wydarzenia.

Rozmawiamy, gdy trwa pierwszy etap konkursu, ale czy już teraz można coś powiedzieć o poziomie kandydatów?

– Nie potrafię porównać większości obecnych kandydatów do tych występujących w poprzedniej edycji konkursu, ale jestem przekonany, że mamy do czynienia z bardzo dobrym poziomem artystycznym. Wysłuchaliśmy już ok. 60 kandydatów, a czeka jeszcze ponad 20, ale poza dwoma lub trzema przypadkami nie było na razie słabych występów. Jest sporo przeciętnych, lecz ogólna średnia jest bardzo wysoka. Zwłaszcza kandydaci z Chin i Korei prezentują bardzo wysoki poziom.

Jury będzie miało problem z wyłonieniem najlepszych. Myślę, że zwycięży matematyka. Gdy się podsumuje punkty, będzie wiadomo, kto należy do czołówki. Nawet po dzisiejszych przesłuchaniach, czwartego dnia, kiedy wysłuchaliśmy ośmiorga pianistów z Azji, w gronie komentatorów nie byliśmy w stanie stwierdzić, kto był najlepszy. Czworo znakomitych i czworo bardzo dobrych. Wydawało się, że taki kandydat jak Bruce Liu, zwycięzca sprzed czterech lat, stanowi nieosiągalny szczyt możliwości – tym razem takich osobowości może być więcej. Na przykład Kevin Chen z Kanady, który ma już wygrane dwa prestiżowe konkursy, Eric Guo, też z Kanady, czy mająca za sobą wiele sukcesów Japonka Shiori Kuwahara, dla której ten konkurs to ostatnia szansa (urodziła się w 1995 r.).

22 mln Chińczyków ma wyższe wykształcenie muzyczne w dziedzinie pianistyki.

Pojawiły się doniesienia, że „bezpaństwowiec" – pod neutralną flagą, jak zaznaczono w programie – czyli obywatel Federacji Rosyjskiej, Andrey Zenin, może stanąć wysoko.

– To na pewno talent, dobra technika i trochę „ciężkie" rosyjskie granie, które mnie osobiście się podoba, ale wydaje się, że okoliczności i gusta jurorów nie pozwolą na bardzo dobry wynik.

Czy Polacy w tej stawce się liczą?

– Tak. Wśród nich jest Mateusz Dubiel, zwycięzca Ogólnopolskiego Konkursu Pianistycznego im. Fryderyka Chopina, który niestety w pierwszym etapie występował bardzo chory (nie przeszedł do drugiego etapu – przyp. red.). Bardzo dobrze wypadł też młodszy z braci Wiercińskich, Krzysztof (bracia również nie zakwalifikowali się do drugiego etapu – przyp. red.). I jeszcze pianista z Bydgoszczy Adam Kałduński. Warto zwrócić uwagę, że niektórzy pianiści mają także za sobą studia kompozytorskie, a to może stworzyć im dodatkową szansę, bo komponowanie pomaga w myśleniu o muzyce, wprowadza jeszcze dodatkowy kontekst, który pozwala im wyróżnić się na tle pozostałych.

Czy obecnie, w trakcie konkursu, nie odczuwa pan pewnego przesytu muzyką Chopina? Niektórzy skarżą się, że np. radiowa Dwójka zarzuciła inne programy i zapełniła antenę sprawozdaniami z Filharmonii Narodowej. Że to „zachopinienie".

– Chyba jednak nie ma „zachopinienia", bo przecież konkurs to w skali roku chwila. Ta muzyka to nasze największe dobro. Nawet gdybyśmy zniknęli jako populacja, Chopin zostanie. Więc raz na pięć lat – wszystkie ręce na pokład. Dla mnie nie jest to najukochańszy kompozytor, zwykle przedkładam bardziej wszechstronnych: Bacha, Mozarta, Beethovena czy nawet Schumanna (by nie zapuszczać się już bliżej naszych czasów).

Niektórych może drażnić w konkursie bardzo przyziemna, sportowa rywalizacja.

– Emocje sportowe wśród publiczności sprowadzają niekiedy artystów do numeru na liście. To oczywiście jest podawane tylko dla porządku, w celu łatwiejszego odszukania w folderze konkursowym. Udział w konkursie nie powinien zaprzeczać prymatowi muzyki nad kolejnością na estradzie. Inna rzecz, że jeśli wierzyć niepotwierdzonym doniesieniom, wysiłek psychiczny i fizyczny kandydatów nie dla każdego jest do pokonania i chociaż nie robi się tu przed występami badań antydopingowych, to kilkoro młodych uczestników w poprzedniej edycji musiało już korzystać z detoksu.

Prof. Marcin Gmys – muzykolog, doktor habilitowany nauk humanistycznych, profesor uczelniany Instytutu Muzykologii Wydziału Nauk o Sztuce Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu. Piastuje stanowisko redaktora naczelnego czasopisma „Res Facta Nova", autor książki „Harmonie i dysonanse. Muzyka Młodej Polski wobec innych sztuk".

eprasa.pl c0e04ea7c4

Jeśli jednak konkurencja i rywalizacja nie przeszkadza muzyce, warto się oddać całkowicie muzyce Chopina z uwagi na ogromne zainteresowanie, jakie budzi ta impreza. Stanowi ona niewielki płomyczek, który przeciwstawia się coraz większemu zainteresowaniu twórczością popularną. Nawet współcześni kompozytorzy nurtu klasycznego, by utrzymać się na rynku, sięgają po gatunki komercyjne, elektroniczne, a rezygnują z twórczości symfonicznej. Konkurs Chopinowski jest więc zjawiskiem jak najbardziej pozytywnym.

Mówiąc językiem klasyków, barbarzyńcy są już u bram, ratujmy ginące Cesarstwo Rzymskie.

Patrząc na nieznikające kolejki przed wejściem do filharmonii, wypada zapytać o poziom publiczności konkursowej.

– Tutaj panuje fenomenalna dyscyplina. Nie ma dzwonków telefonów komórkowych, jest cisza, nikt również nie klaszcze pomiędzy utworami danego kandydata. Wydaje się, że nawet jeśli to w połowie publiczność całkiem nowa, która pojawiła się z czystej ciekawości, jest bardzo świadoma, że wstąpiła do świątyni sztuki. Nie było na razie żadnych skarg na złe zachowanie, praktycznie nikt też nie opuszcza sali przed końcem przesłuchań.

Może na koniec, jak przystało na muzykologa, powie pan, jak należy słuchać muzyki?

– Przede wszystkim nie należy się jej bać. Trzeba starać się wejść w jej objęcia – i tu mamy rozmaite sposoby. Można podążać szlakiem charyzmatycznych wykonawców albo wyszukiwać ciekawe konteksty. Można poszukać na początek popularnych utworów, owianych rozmaitymi legendami hitów klasyki, jak „V symfonia" Beethovena albo „Requiem" Mozarta. Można poszukać sobie muzycznego idola, kolekcjonować wielkie wykonania, np. pianisty Glenna Goulda, który zrewolucjonizował wykonawstwo dzieł Bacha. Albo zainteresować się, co stworzył prawie całkiem głuchy Beethoven lub dyktujący nuty synowi ślepnący Jan Sebastian Bach.

Tropem dla wchodzącego do świata muzyki klasycznej może być biografia artysty. Dziś bardzo popularna okazuje się także sztuka feministyczna, bo kobietom w XIX w., choćby były bardzo zdolne, nie dawano wielkich szans. Wtedy można dokonywać niewielkich odkryć, że np. Chopin, pisząc swoją „Balladę nr 3", skorzystał z fortepianowego „Romansu As-dur" żony swojego przyjaciela, Clary Schumann, a w „Balladzie nr 2" zacytował melodię z pieśni „Świtezianka" teściowej Adama Mickiewicza, Marii Szymanowskiej – także wybitnej kompozytorki. Mamy stuprocentową pewność, że Chopin słyszał „Romans" Clary Schumann. Znał też pewnie twórczość Szymanowskiej.

Bronisław Tumiłowicz

KSIĄŻKI

Alfabet bez jednej litery

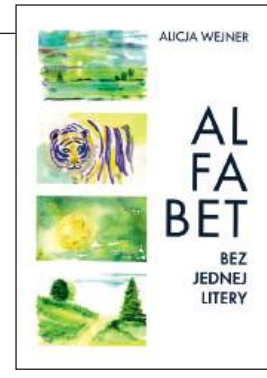

Tytuł tego zbioru wierszy przeplatanych akwarelami jest pułapką. Nie brakuje w nim żadnej litery. Przeciwnie, w tomiku ułożonym w porządku alfabetycznym według tytułów zamieszczonych liryków niektóre litery się powtarzają. Najczęściej S, pod której sztandarem znalazły się aż cztery wiersze. Ale to żaden klucz do tajemnicy tego zbioru. Jego przesłanie ujawnia autorka na samym początku: „To książka o miłości". Wyjaśnienie wydaje się zbyt lakoniczne, bo prawdę mówiąc, wszystkie zbiory wierszy to książki o miłości. Toteż Alicja Wejner dodaje: „O miłości kobiety do drugiego człowieka, do samej siebie i zielonego świata wokół".

Lektura budzi rozmaite nastroje, ale wspólnym mianownikiem wierszy jest ugoda ze światem, nawet zachwyt fenomenem życia. Bo nie są one buntownicze ani przesycone goryczą, choć nie brakuje w nich refleksji nad przemijaniem i jego nieuchronnością. Takie są wiersze spod litery S – pisałem, że ich wysoka frekwencja pod tą literą nic nie znaczy, a jednak właśnie tu znajdziemy głęboki namysł nad umykającym życiem; choć nie odsłania on jakichś prawd nigdy niepostrzeganych, to ujmuje prostotą i urodą.

Oto „Stół", czyli opowieść o strumieniu życia, który zrazu przybiera na sile, zapoczątkowany spotkaniami pary zakochanych, potem obrasta rodziną, krzeseł przybywa, aż do chwili, kiedy zaczyna ich ubywać i znowu są tylko dwa krzesła: „Na koniec zostały dwa wątłe / coraz bardziej kulawe krzesła". Zwykły bieg rzeczy. Albo „Szafa", która kiedyś była zgrabna i smukła", a potem już nie mogła pomieścić tylu niepotrzebnych rzeczy i trzeba było z niej wyrzucić „wspomnienia / wszystkich nietrafionych decyzji". Przydarza się to wszystkim. Stąd bliskość zapisanych refleksji przeżyciom każdego czytelnika, zapewne za sprawą zmysłu obserwacji autorki. Alicja Wejner z czułością i wnikliwością przygląda się światu, potrafi dostrzec jego drobne, charakterystyczne napięcia, z których składa się codzienność, staje się kronikarką zwykłych dni, które tak naprawdę zwykłe nigdy nie są. Mają swój zapach, kolor, oryginalność. Takie same, a jednak odmienne.

Przed osunięciem się w strefę banału chroni te poetyckie zapiski wrażliwość na urodę słowa, zaskakujące połączenia słów, które dziwią się sobie nawzajem i budzą nieoczekiwane skojarzenia. Jak choćby takie spostrzeżenie, że las „wydrzewił się", albo że drzewa witają „piskleniem", albo dzika przestrzeń „woła kolorem".

Tak jak zaskakująca może się wydawać wiadomość, że to poetycki debiut autorki, która wcześniej wydała prozą dziewięć książek. Skomponowała ten tom wierszy z obrazkami albo raczej obrazków z poetyckimi komentarzami właściwie przypadkiem. Bo zaczęło się od obrazków, delikatnych akwarel, które czekały na dopełnienie słowem. I stało się. Mamy poetkę. Zachwyconą, że świat istnieje.

Tomasz Miłkowski

Alicja Wejner, *Alfabet bez jednej litery*, Wydawnictwo Jagoda, Warszawa 2025.

eprasa.pl c0e04ea7c4

Rafał Pikuła

Sztuka słuchania

Nagroda Nike dla literatury, która pozwala dostrzec Innego

Są takie chwile, gdy literatura wychodzi poza swoją orbitę. Gdy książka staje się nie tylko opowieścią, ale i sposobem patrzenia na świat. W tym roku tak właśnie było. Eliza Kącka otrzymała Nagrodę Literacką Nike za esej „Wczoraj byłaś zła na zielono". I choć można by powiedzieć: kolejny sukces badaczki, krytyczki, felietonistki, w rzeczywistości to wydarzenie ma wymiar znacznie głębszy. Bo oto do centrum literackiego świata wkracza książka o relacji matki i córki, o próbie zrozumienia inności oraz o tym, jak trudne, a zarazem konieczne jest naprawdę widzieć drugiego człowieka.

Eliza Kącka: Stoję jako matka, jedna z wielu. Ta, która słyszała niemy krzyk swojego dziecka i swój własny.

Kącka otrzymała także nagrodę czytelników, co jedynie potwierdza, że jej proza trafiła w gusta nie tylko krytyków, ale i szerszej publiczności. Zresztą to właśnie Kącka otrzymała najgłośniejszą owację podczas prezentacji finalistów w czasie gali w Bibliotece Uniwersytetu Warszawskiego.

Eliza Kącka z córką na gali Nike 2025.

Akt odwagi

Eliza Kącka, znana dotąd z erudycyjnych, a nierzadko zadziornych esejów o literaturze, tym razem napisała książkę bardzo osobistą. Mówi o niej jako o autobiograficznym eseju o życiu z neuroatypową córką, Rudą. Ale już pierwsze strony pokazują, że to nie jest książka o diagnozach, medycynie czy psychologii. „Nie będę cytować rozpoznań, bo ta książka sprzeciwia się władzy. Również władzy diagnoz", pisze Kącka. To gest odwagi: odejście od języka, który porządkuje, klasyfikuje i rozdziela. W zamian – język relacji, spotkania, współobecności.

Odbierając nagrodę, autorka mówiła: „Wyszłam tu jako rzeczniczka formy literackiej, ale stoję jako matka, jedna z wielu. Ta, która słyszała niemy krzyk swojego dziecka i swój własny. Myślę o matkach, które to doświadczenie podzielają – i w ich imieniu odbieram tę nagrodę". Obok niej stała Ruda. Obraz prosty, a jednak przejmujący. Bo w tym akcie zawiera się sens całej opowieści: to, co osobiste, staje się wspólne.

Przewodnicząca jury Justyna Jaworska mówiła w laudacji, że kapituła postanowiła nagrodzić „książkę przygodową". Nie w znaczeniu gatunku, ale doświadczenia. „Taką, która nie odgradza się od czytelnika, przeciwnie – podaje mu rękę, porywa, a potem zostawia z przesłaniem trafiającym do serc". To dobrze powiedziane. Bo „Wczoraj byłaś zła na zielono" jest właśnie taką przygodą: podróżą przez języki, emocje, codzienność. Nie heroiczną, lecz zwyczajną – taką, jakie naprawdę jest życie.

FOT. ADAM BURAKOWSKI/EAST NEWS

eprasa.pl c0e04ea7c4

W świecie, w którym próbuje się wszystko opisać, zdiagnozować i nadać temu nazwę – Kącka wybiera niepewność. Pisze o tym, co wymyka się słowom. Zderza trzy porządki mowy: swój własny – intelektualny, a zarazem czuły, język córki – dosłowny, przez to zaskakująco poetycki oraz język społeczeństwa, które „jak zawsze wie swoje". Między tymi głosami powstaje napięcie – i z tego napięcia rodzi się prawda. Bo jak przypominają najlepsze książki, nie zrozumiemy świata, dopóki nie zrozumiemy języków, którymi świat do nas mówi.

Fundamentalne pragnienie kontaktu

„Wczoraj byłaś zła na zielono" jest więc opowieścią nie tylko o neuroróżnorodności, ale też o fundamentalnym pragnieniu kontaktu. O tym, że prawdziwe spotkanie z drugim człowiekiem wymaga uznania jego autonomii. Że nie można nikogo „naprawić" ani „przystosować" do siebie – można tylko być obok. W tym sensie książka Kąckiej staje się metaforą każdej relacji: między matką a dzieckiem, między partnerami, między nami a światem. Bo każdy z nas – choćby raz w życiu – był „zły na zielono": niezrozumiany, nieprzetłumaczalny, obcy nawet dla najbliższych.

Każdy z nas, choć raz w życiu, był „zły na zielono": niezrozumiany, nieprzetłumaczalny, obcy nawet dla najbliższych.

Nie bez powodu kapituła podkreślała, że Kącka unika „raf sentymentalizmu, infantylizacji czy nadużycia". Nie ma tu patosu, nie ma moralizowania. Jest uważność, ironia, a nade wszystko – czułość (ale nie czułostkowość!). To książka, która nie prosi o współczucie, lecz proponuje wspólnotę doświadczenia. Wspólnotę tych, którzy próbują trwać mimo oporu świata.

Kącka świetnie bawi się językiem. Nawiązuje do Leśmiana, Schulza, Gombrowicza. Choć pisze szalenie osobiście, nie przestaje być krytyczką literacką. Forma tutaj ma ogromne znaczenie: rwane, chaotyczne z pozoru zdania są zwierciadłem świata Innego, a dokładniej Innej.

Nike dla Elizy Kąckiej to nie tylko nagroda dla pisarki. To znak, że literatura wciąż potrafi rozświetlać te rejony ludzkiego doświadczenia, których nie sposób opisać językiem poradników czy diagnoz. Z pewnością książkę laureatki Nike można ustawić na półce obok takich pozycji jak „Łebki od Szpilki" Agnieszki Szpili i „Synu, jesteś kotem" Katarzyny Michalczak.

„Wczoraj byłaś zła na zielono" przypomina, że prawdziwa rozmowa zaczyna się dopiero wtedy, gdy potrafimy usłyszeć Innego. A literatura, ta najlepsza, właśnie temu służy: byśmy uczyli się słuchać. W epoce monologów i kakofonii „ja" – to bezcenna lekcja.

Rafał Pikuła

eprasa.pl c0e04ea7c4

PROROK KOŃCA ŚWIATA

Noblista László Krasznahorkai, czyli Węgry rozpaczy i szaleństwa

Rafał Pikuła

W świecie, który coraz częściej przypomina jego własne pisarskie wizje, László Krasznahorkai został laureatem Literackiej Nagrody Nobla. Akademia Szwedzka doceniła jego „porywającą i wizjonerską twórczość, która pośród apokaliptycznego przerażenia potwierdza moc sztuki".

Dla czytelników i krytyków nie był to werdykt zaskakujący. Węgier od dawna znajdował się na szczycie bukmacherskich list. 10 lat temu otrzymał Man Booker International Prize, co już wówczas potwierdziło jego pozycję jako jednego z najoryginalniejszych i najtrudniejszych autorów współczesnej Europy.

To dopiero drugi w historii węgierski laureat literackiego Nobla – po Imre Kertészu, nagrodzonym w 2002 r. Pisarz na co dzień mieszka w Berlinie z żoną Dorką, sinolożką i typografką, oraz trzema córkami.

Urodzony w 1954 r. Krasznahorkai zadebiutował w 1985 r. powieścią „Szatańskie tango", która niemal natychmiast przyniosła mu rozgłos i została zekranizowana przez reżysera Bélę Tarra, przyjaciela i „artystycznego współtwórcę jego świata". „Szatańskie tango" to przejmująca książka o rozpadającym się świecie, ludziach na krawędzi i o końcu, który już nadszedł, tylko jeszcze nie wszyscy go zauważyli.

„Melancholia sprzeciwu" z kolei w 1993 r. została uznana za najlepszą książkę roku w Niemczech, a sam pisarz zyskał międzynarodową sławę. Od tamtej pory jego twórczość przekładana jest na wiele języków. W Polsce do tej pory ukazały się trzy tytuły, nakładem W.A.B.: „Szatańskie tango" (2004), „Melancholia sprzeciwu" (2007) oraz „Wojna i wojna" (2011). Wszystkie przełożyła Elżbieta

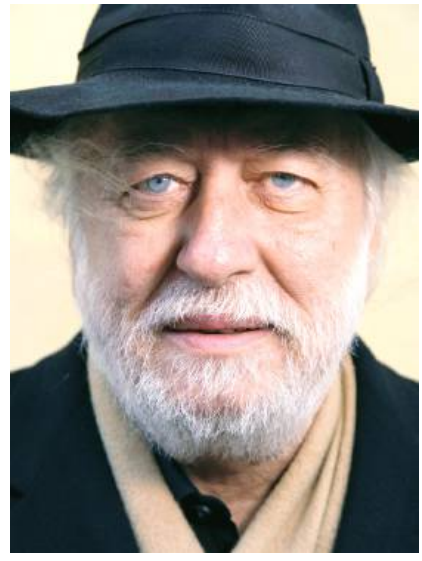

Sobolewska, wybitna tłumaczka z języka węgierskiego. W grudniu br. w wydawnictwie Czarne planowana jest premiera książki „A świat trwa". W zapowiedziach znalazły się także kolejne publikacje autora po polsku, w tym wznowienie „Szatańskiego tanga".

Świat Krasznahorkaia zaludniają postacie z marginesu – ubodzy, odrzuceni, uwięzieni w systemach i iluzjach, w których próżno szukać nadziei. Ich egzystencja, pełna lęku i osamotnienia, jest odbiciem współczesnego świata, zniszczonego przez ideologie, konsumpcję i bezradność wobec zła.

W tej mrocznej rzeczywistości pisarz poszukuje czegoś, co na przekór wszystkiemu ocala – śladu metafizycznego sensu. Jego bohaterem jest „człowiek oddalony od cywilizacji, pozbawiony dóbr materialnych, człowiek nagi", pisała w 2010 r. na łamach „Tygodnika Powszechnego" Elżbieta Sobolewska. Proza węgierskiego autora skupia się bowiem na tym, co najbardziej kruche i pierwotne w ludzkiej naturze.

Krasznahorkai bliski jest w tym duchowo innym pisarzom z regionu Europy Środkowo-Wschodniej, takim jak Ádám Bodor, którego bohaterowie również błądzą w labiryntach nieludzkiej egzystencji.

Proza tegorocznego noblisty wymyka się prostym kategoriom. To literatura apokaliptyczna, ale i głęboko metafizyczna; hermetyczna, a zarazem przejmująco uniwersalna. Jej język – długie, meandrujące zdania niemal pozbawione oddechu – buduje rytm przypominający modlitwę albo lament.

Jak zauważył już w 2007 r. na łamach „Gazety Wyborczej" Krzysztof Varga, „świat Krasznahorkaia to nie są Węgry gulaszu, czardasza, papryki, widokówek z Budapesztu, tych wszystkich przyjemnych makatek dla zorganizowanych wycieczek. To są Węgry zapadłej prowincji, schyłkowego komunizmu, który wyprał mózgi swoim obywatelom, a reszty dokonała tania palinka. Węgry rozpaczy i szaleństwa".

Pisarz analizuje funkcjonowanie władzy nieformalnej – tej, która nie wynika z oficjalnych struktur, lecz rodzi się z ambicji ludzi małych duchem, ale pragnących dominacji. To władza lokalna, prowincjonalna, często groteskowa, a mimo to groźna, ponieważ sprawują ją osoby pozbawione zarówno wykształcenia, jak i zasad moralnych.

W świecie, który się rozpada, Krasznahorkai szuka nie końca, lecz początku. Pisze o ruinach, by odnaleźć w nich ślady człowieka i sztuki. I może w tym tkwi sekret jego Nobla – w przekonaniu, że nawet w epoce chaosu literatura potrafi ocalić sens. Dla świeżo upieczonego noblisty literatura to nie manifestacja jego własnych myśli, ale próba osiągnięcia – na ile to możliwe – pełni. Literacko Krasznahorkai jest tego coraz bliżej. ■

FOT. TT NEWSAGENCY/ FORUM

eprasa.pl c0e04ea7c4

NA POWAŻNIE

Premiery i nowości

Koncert inauguracyjny jako zapowiedź sezonu artystycznego to zawsze dobry pomysł. Pozwala się zorientować, co będzie – w tym wypadku w Operze Krakowskiej – wystawiane. A zatem obok operowych hitów: „Toski", „Aidy", „Nabucco" czy „Wesela Figara", będących na stałe w repertuarze tej sceny, widownię czekają trzy premiery. Już niebawem – „Ariadna na Naxos" Richarda Straussa, potem „Amahl i nocni goście" Gian Carla Menottiego, a w maju „Wiedeńska krew" Johanna Straussa.

Opera Krakowska, Koncert inauguracyjny, 5 października 2025

Koncert inauguracyjny, w którym wystąpili czołowi soliści Opery Krakowskiej, chór, balet oraz orkiestra pod batutą m.in. Sergeya Smbatyana, reżyserował Michał Znaniecki, co zaowocowało przejrzystym połączeniem klasycznej opery z teatrem buffo. Krakowscy wykonawcy głównych partii zapowiadanych spektakli udowodnili, że warto się wybrać do tamtejszej opery, która nie zapomina także o przedstawieniach baletowych, choćby takich jak cieszący się niesłabnącym zainteresowaniem „Kopciuszek" czy „Dziadek do orzechów".

Paweł Dybicz

Giacomo Puccini, „Tosca", reżyseria i światła Giorgio Madia, kierownictwo muzyczne Rafał Janiak, scenografia i kostiumy Domenico Franchi, Teatr Wielki w Łodzi, premiera 4 października 2025

Dramat Toski w kolorze zielonym

O „Tosce" na łódzkiej scenie będzie się mówić, że dominowała w niej zieleń w wielu odcieniach. Stonowana, niekrzykliwa kolorystyka spektaklu wprowadzała nostalgiczno-tragiczny nastrój, odpowiadający fabule przedstawienia. Terror i okrucieństwo rzymskiej policji z czasów wojen napoleońskich wcale nie wymagają strumieni krwi. Wspaniała muzyka i natchniona reżyseria w wykonaniu włoskiego artysty dopełniają dzieła.

Bronisław Tumiłowicz

NA EKRANACH

Exit 8,

reż. Genki Kawamura, prod. Japonia, już w kinach

Najnowszy film Kawamury to ekranizacja popularnej gry komputerowej o tym samym tytule. W „Exit 8" śledzimy losy bezimiennego zagubionego (japońska gwiazda Kazunari Ninomiya), który zostaje uwięziony w niekończącym się korytarzu metra. Aby wydostać się z niego, trzeba odnaleźć tytułowe wyjście numer 8. A to nie takie proste – chodząc w kółko, bohater musi szukać anomalii,

czyli czegoś, co będzie odbiegać od normy i tym samym zbliży go do ucieczki z tego piekła. „Exit 8" sprawdza się na czysto rozrywkowej płaszczyźnie, szkoda jedynie, że za fajnokonceptem kryje się raczej powtarzalna i kliszowa zabawa. Takich „Exit 8" w kinie mieliśmy już kilkanaście. Nie zmienia to faktu, że film powinien zadowolić nie tylko niedzielnych wyjadaczy popcornu, ale i widzów łakomych nieco bardziej wymagającego kina.

Jan Tracz

MIĘDZY OKŁADKAMI

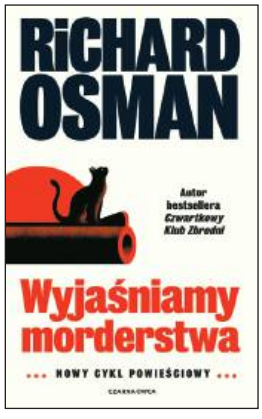

Richard Osman

Wyjaśniamy morderstwa

tłum. Tomasz Wyżyński

Czarna Owca, Warszawa 2025

Osman zyskał licznych sympatyków serią „Czwartkowy Klub Zbrodni" o emerytach analizujących w ramach hobby stare sprawy kryminalne, lecz skonfrontowanych z przestępstwami świeżutkimi (mniej zachwytów wzbudziła ekranizacja Netfliksa, z gwiazdorską obsadą, ale z postacią Bogdana potraktowaną tak, że w Polsce rozległ się jęk zawodu). Nowy cykl zapowiada się równie bestsellerowo, z tajemniczym czarnym charakterem wykorzystującym do kamuflażu... ChatGPT. Jak to u Osmana, żartobliwa narracja z ciętymi dialogami akcentuje jednak wzruszające cechy bohaterów, poza tym satysfakcjonująco odwraca sytuację na ich korzyść. Ochroniarce Amy i jej podopiecznej – słynnej autorce kryminałów, której zasoby finansowe i popularność okazują się nader przydatne, oraz teściowi, byłemu policjantowi, wyrwanemu wbrew woli z małomiasteczkowej rutyny, niebezpieczeństwa grożą co krok, ale szybko zaczynamy pokładać w tej trójce zaufanie – poradzą sobie, także na rynku wydawniczym.

Aleksandra Pańko

Kolumnę przygotowała Agata Gogołkiewicz

FOT. UMWM, MATERIAŁY PRASOWE (3)

eprasa.pl c0e04ea7c4

Wieczne odpoczywanie

Wojciech Kuczok

Mizantrop nobliwy

Deszcz, wilgoć, zachmurzenie nieumiarkowane, ubłocone gumiaki schną w przedpokoju – w taką pogodę literackiego Nobla mógł dostać tylko László Krasznahorkai. Czyli jednak „Szatańskie tango" zamiast „Szatańskich wersetów"; wybór bezpieczniejszy politycznie, ale zdecydowanie do literackiego wybronienia. Aż dziw bierze, że to dopiero drugi Węgier po Kertészu, co jednak nie jest miarą małości tej literatury, lecz marginalności języka. Przecież Nádas, Esterházy, Kosztolányi, a nade wszystko Sándor Márai spokojnie zasłużyli na najwyższy laur literacki. W Orbanlandzie pewnie znowu będą nieszczęśliwi, jak za pierwszym razem, kiedy nagrodę dostał Kertész, „jakiś nieznany Żyd". Teraz nagrodzono autora cokolwiek pesymistycznych wizji, piszącego raczej ku zgnębieniu niż pokrzepieniu serc.

„Sátántangó" oglądałem 21 lat temu, kiedy jeszcze Nowe Horyzonty gnieździły się w Cieszynie. Ośmiogodzinna adaptacja powieści Krasznahorkaia przekracza efektywny czas lektury oryginału, a zaczyna się dziesięciominutowym ujęciem wschodu słońca. Organizatorzy łaskawie zapewnili cztery przerwy w projekcji, znajomi przychodzili do mnie i wychodzili w trakcie seansu, piłem z nimi wódkę, tak jak bohaterowie Tarra i Krasznahorkaia stopniowo pogrążałem się, grzęzłem w beznadziei mieszkańców wsi zapomnianej przez boga. Z tęsknoty za zbawicielem powierzają swój dobytek nawiedzonemu hochsztaplerowi z więzienną przeszłością. Robią to tylko dlatego, że przychodzi z zewnątrz, wyrywa ich z piekielnego letargu, przerywa deliryczne podrygi w zaśmierdłej gospodzie i daje nadzieję. Nawet fałszywa ma dla nich większą wartość niż jej brak. To był najbardziej haptyczny seans w moim życiu, wyszedłem z kina pijany, przygnębiony, przesiąknięty na wskroś błotem Wielkiej Niziny Węgierskiej.

Krasznahorkai w duecie z Bélą Tarrem odpowiada za najbardziej depresyjne filmy w historii kina: oprócz „Szatańskiego tanga" to „Potępienie", „Harmonie Werckmeistera" oparte na powieści o wspaniałym tytule „Melancholia sprzeciwu", „Człowiek z Londynu" i ostatni, a nawet ostateczny „Koń turyński".

W dziedzinie slow cinema nie można się posunąć dalej, niźli to uczynił Béla Tarr w swoim par excellence ostatnim utworze – w finale sięgnął końca świata, krańca kina i cierpliwości widzów: studnia bez wody nie ma sensu, podobnie jak kino bez światła. Tarr zwalniał, cichł, aż wreszcie znieruchomiał i zgasł. Zakończył karierę ciemnością i ciszą – dalej już pójść nie sposób, chyba że w stronę seansów hipnotyczno-onirycznych, na których ludzie spotykać się będą w ciemnej sali kinowej, wpatrywać w czarny ekran i wsłuchiwać w cichy terkot projektora, jedyny dowód na to, że odbywa się w ogóle jakiś seans.

21 lat temu mieliśmy z Krasznahorkaiem wspólne spotkanie autorskie na Zamku Ujazdowskim, prowadził je Janusz Wróblewski. Jako świeżo upieczonego laureata Nike za książkę o domowej przemocy doklejono mnie do Krasznahorkaia na jakimś literackim festiwalu – chodziło o to, żeby polski mizantrop z węgierskim mizantropem posmęcili wspólnie o tym, jaki świat jest okropny. Tyle że on mówił tak hipnotycznie, tak ważko, jakby pisał ustami. Nie chciałem tego przerywać, zastygłem w zasłuchaniu, nieomal słowem się nie odezwałem, dopiero pod koniec coś tam wymamrotałem o deszczu w „Szatańskim tangu", żeby nie było, żem dostał honorarium za nic.

Krasznahorkai w duecie z Bélą Tarrem odpowiada za najbardziej depresyjne filmy w historii kina.

Zapytany, kiedy ostatecznie stracił wiarę w ludzkość, Krasznahorkai odpowiedział wtedy: „Nie straciłem. Ja jej nigdy nie miałem". Przy czym zapamiętałem go jako człowieka ciepłego, kiedy się martwiłem przed samotnym wyjazdem na roczne stypendium do Berlina, mówił mi o przyjazności DAAD-owskich mieszkań i uspokajał, że samotności nie ma się co bać, jeszcze się w niej rozsmakuję i ona mi wiele wynagrodzi.

To nagroda, która mnie cieszy, tak jak nie smuci fakt, że to znowu nie Rushdie, znowu nie Pynchon, znowu nikt ze strefy anglojęzycznej. Skądinąd Pynchon i tak teraz święci triumfy, ponownie zaadaptowany na ekran, choć tym razem na szczęście niewiernie, przez Paula Thomasa Andersona. „Jedna bitwa po drugiej", nader luźno oparta na powieści „Vineland", to najbardziej mainstreamowe dzieło PTA, co w żadnej mierze nie umniejsza jego mistrzostwa. Z dystansu czterech miesięcy wyczuwam lawinę oscarowych nominacji i przynajmniej jedną nagrodę za genialną rolę Seana Penna, który daje tutaj swój tour de force w roli naczelnego sukinsyna. ■

eprasa.pl c0e04ea7c4

Wojciech Kuczok

Piotr Zieliński i Karol Świderski, który na Stadionie Śląskim 9 października zagrał z opaską kapitańską.

Dobrze się strzela po setce

Nieszczęście naszej piłki to wczesne odejścia młodych talentów do mocniejszych klubów

Piotr Zieliński to dopiero trzeci polski piłkarz, który zdobył gola, mając już za sobą 100 meczów w reprezentacji Polski. Oczywiście Robert Lewandowski jest w tym niedościgniony, to fenomen, rekordzista, który za mojego życia, a pewnie i wszystkich czytelników „Przeglądu", nie zostanie zdetronizowany; śmiem twierdzić, że obecnie bardziej prawdopodobny jest koniec świata niż koniec panowania Lewego w tabeli rozegranych meczów i goli strzelonych w biało-czerwonych barwach.

Tej sztuki dokonał jeszcze tylko Jakub Błaszczykowski, po raz ostatni trafiając, skądinąd też na Stadionie Śląskim, również bardzo pięknym strzałem przed siedmioma laty w meczu z Portugalią, który był jego 103. występem w kadrze.

Piotr Zieliński ma przed sobą lata gry i możemy być spokojni o jego statystyki, jeśli jakiś kaprawy los nie zakończy jego kariery kontuzją. Nawet jeżeli teraz w Interze męczy się na ławce, wciąż jest piłkarzem dla naszej kadry niezastąpionym – to klasyczny rozgrywający, który ma „oczy dookoła głowy", nienaganną technikę i cechuje go elegancja w grze. W czwartek strzelił Nowozelandczykom gola przecudnej urody, zaczynając i zamykając akcję bramkową: przełożył sobie piłkę na lewą nogę, zwiódł w ten sposób obrońców i kropnął w spód poprzeczki – piłka nie wylądowała w siatce, lecz dwukrotnie odbiła się za linią bramkową. Był to wbrew pozorom gol bardzo istotny – dał nam zwycięstwo, a tylko ono gwarantowało, że nie osuniemy się w rankingu FIFA tak, że w barażach bylibyśmy losowani dopiero z trzeciego koszyka. Porażki z ekipami sklasyfikowanymi dużo niżej wiele kosztują.

Piszę przed meczem z Litwą, ale zakładam, że w Kownie zwycięstwo jest formalnością, jeżeli mamy traktować kadrę Jana Urbana poważnie, w przeciwnym razie w ogóle nie warto strzępić pióra. A zatem to gol Zielińskiego sprawił, że w drodze na mundial mamy szanse zagrać baraż u siebie i kto wie, czy to nie okaże się języczkiem u wagi, jeśli oczywiście limitu szczęścia nie wyczerpaliśmy w play-offach do ostatnich dwóch imprez mistrzowskich.

Mecz z Nową Zelandią był kiepski i pokazał, jak niewiele potrafią nasi zmiennicy – na szczęście Chris Wood, największa gwiazda z Antypodów i snajper Nottingham Forest, wszedł dopiero w ostatnich minutach, bo z dużą dozą prawdopodobieństwa dołożyłby nogę w którejś groźnej akcji swojej ekipy i mielibyśmy klops. Na boisku oprócz naszego kapitana (tylko w pierwszej połowie się nie popisał w jednej akcji, kiedy próbował trafić z ostrego kąta, zamiast dograć piłkę napastnikom) błysnął nade wszystko młody debiutant Jan Ziółkowski. Zaliczył kapitalny odbiór w końcówce, uchronił nas wślizgiem przed strzałem z pola karnego – na pełnym ryzyku, ale i z mistrzowską dokładnością. Z tego stopera będziemy mieli pociechę przez kilkanaście lat.

Żal tylko, że nie udało się go zatrzymać w Legii. On w Romie straci rytm meczowy, grając ogony, to może spowolnić rozwój jego talentu, bo trenowanie z najlepszymi to nie to samo co gra o punkty, nawet wśród przeciętniaków. U obrońcy najważniejsza jest pewność w podejmowaniu decyzji, Ziółkowski jeszcze jedzie na tej pewności, którą dała mu regularna gra w Legii. To jest wielkie nieszczęście naszej piłki – te wczesne

eprasa.pl c0e04ea7c4

odejścia młodych talentów do mocniejszych klubów, od których często się odbijają.

Najdobitniejszym przykładem w czwartek był Kacper Kozłowski, niegdysiejsze odkrycie Paula Sousy. W wieku niespełna 18 lat zagrał na pandemicznym Euro 2021 jako najmłodszy piłkarz w historii mistrzostw Europy. Wydawało się wtedy, że ma coś nie tak z metryką – wyglądał na twardziela o kilka lat starszego, bez kompleksów radził sobie na boisku, myśleliśmy, że mamy gotowego reprezentacyjnego pomocnika na dwie dekady. Pogoń zrobiła na nim świetny interes, sprzedając go do Brighton, lecz od tej pory zaczął się zjazd po równi pochyłej – wypożyczenia z Anglii do Holandii, do Belgii, gdzie Kozłowski grał mało albo wcale, aż w końcu Brighton definitywnie sprzedało go do Turcji. Tam wreszcie się odnalazł w przeciętniutkim Gaziantep FK – sezon zaczął świetnie, jest najbardziej wartościowym zawodnikiem w kadrze.

W czwartek przeciw egzotycznemu rywalowi nie błysnął – był aktywny i waleczny, ale popełniał też koszmarne błędy techniczne, jak w akcji w końcówce, kiedy próbował uruchomić prawego skrzydłowego podaniem w sytuacji bliźniaczej do tej bramkowej, którą rozpoczął cudowny cross Piotra Zielińskiego. Być może Kozłowski był młodzieńcem przecenionym i do poziomu reprezentacji jednak nie dorósł, a może po prostu musi pograć regularnie cały sezon, aby nie popaść w przeciętność.

Wygranym meczu z Nową Zelandią – i mniemam, że także całego zgrupowania (piszę przed meczem z Litwą, zaledwie antycypując fakty) – okazał się Michał Skóraś. Powołanie do kadry było wypadkową fenomenalnego początku sezonu w silnym belgijskim Gent. W Club Brugge gasł, został wytransferowany i z miejsca stał się największą gwiazdą i liderem w nowym klubie. Teraz, pod nieobecność kontuzjowanego Nicoli Zalewskiego, Skóraś pokazał, że potrafi nie tylko zrobić sporo szumu na skrzydle, ale i dograć, i strzelić, i skutecznie podryblować.

Mecz z Nową Zelandią był kiepski i pokazał, jak niewiele potrafią nasi zmiennicy.

Mecz Polska-Nowa Zelandia, Jan Ziółkowski kontra Callum McCowatt, 9 października 2025 r.

Bardzo dobrą zmianę dał w czwartek także Paweł Wszołek. Zaliczył asystę przy jedynym golu i już po kilku minutach miał więcej udanych zagrań niż jego poprzednik na pozycji, Przemysław Frankowski – najgorszy na boisku obok Krzysztofa Piątka. Piątek przyjechał ewidentnie zaKatarzony, w lidze arabskiej dramatycznie stracił na jakości, z Nową Zelandią zarobił głupią kartkę i niewiele mu brakowało do drugiej, za to z przodu udało mu się tylko dobić przy golu Zielińskiego piłkę, która i tak była za linią. Piątek to już raczej temat reprezentacyjnie zamknięty.

O tym, że sparing z 83. drużyną świata może być kiepskim widowiskiem, wiadomo było od dawna. Stadion Śląski dostał ochłap od PZPN, ale górnośląska publiczność jest wymagająca, na co dzień ma spory wybór dobrej piłki, w dodatku nie identyfikuje się jakoś szczególnie namiętnie z kadrą Polski narodowo: mecz reprezentacji traktuje nie jak patriotyczny obowiązek, tylko szansę na zobaczenie gwiazd. Nie rzuciła się zatem za parę stówek na towarzyski mecz z ekipą z końca świata w deszczowy wieczór. Janusze nie dojechali, bo Chorzów nie leży w centrum kraju, to i zrobiła się okazja, żeby znowu z perspektywy stołecznej zacząć pluć na Kocioł Czarownic, że nie zasługuje na mecze kadry Polski. Zawsze kiedy słyszę te gorolskie brednie, burzy się we mnie śląska krew i od razu sobie marzę o piłkarskiej autonomii.

Tym razem powołania do kadry dostało siedmiu Ślązaków: Grabara (Ruda Śląska), Skóraś (Jastrzębie), Wiśniewski (Zabrze), Kiwior (Tychy), Skorupski (Zabrze), Kamiński (Ruda Śląska) i Slisz (Rybnik). Na Stadionie Śląskim zagrało pierwszych czterech, a trener Urban, choć Ślązakiem z urodzenia nie jest, największe sukcesy w polskiej piłce odnosił jako gracz Górnika Zabrze, także jako trener wiele lat spędził nad Kłodnicą, więc śląski futbol zna i szanuje.

Mnie w to graj. Nie żebym był jakimś zajadłym separatystą, ale gdyby Górny Śląsk mógł wystawić swoją reprezentację, wcale by nam się źle nie wiodło: do wyżej wymienionych kolegów dołączyłoby jeszcze paru zdolnych chłopaków, takich jak młodziutki Dominik Sarapata, świętochłowiczanin, który jest w kadrze Kopenhagi na Ligę Mistrzów, a z wyleczonym weteranem Glikiem w obronie i mistrzem świata Podolskim z przodu taka drużyna dałaby publice nie mniej radości niż drugi garnitur kadry Urbana.

A z Nową Zelandią poradziłaby sobie nie gorzej. ■

FOT. GRZEGORZ WAJDA/REPORTER (2)

eprasa.pl c0e04ea7c4

JOLKA

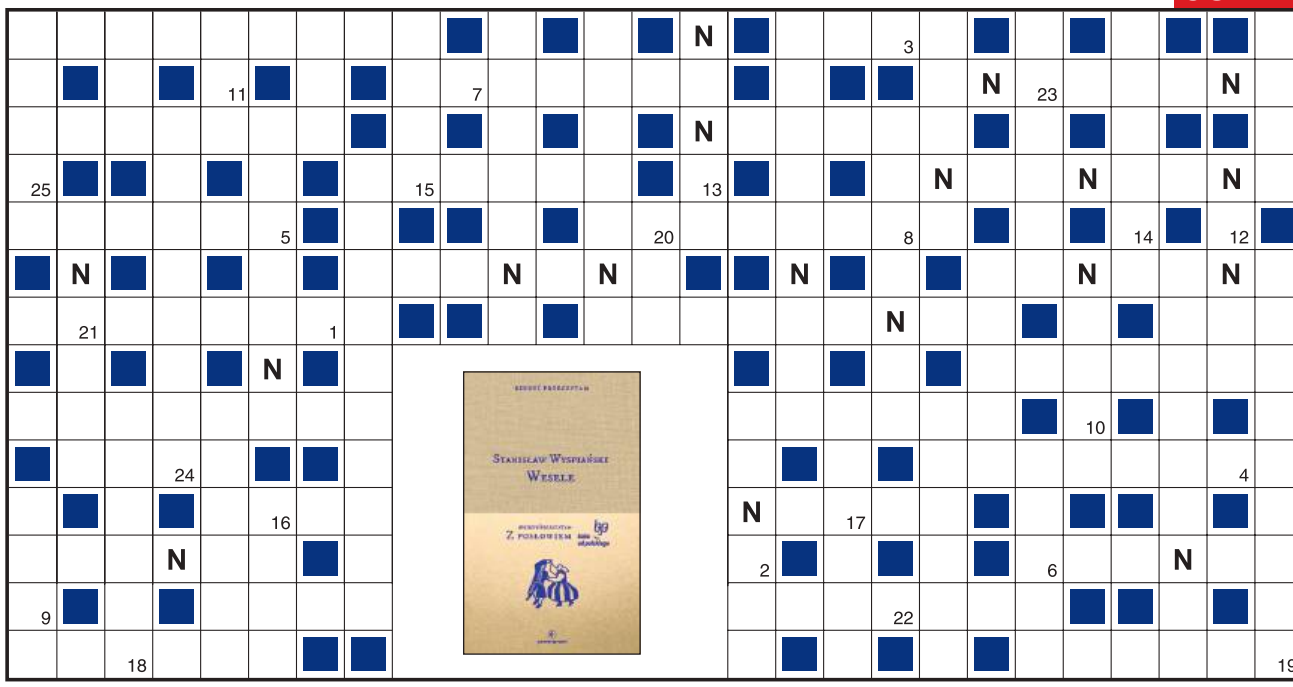

1	2	3	4	5	6	7	8	9	10	11	12	13	14	15	16	17	18	19	20	21	22	23	24	25

Objaśnienia są podane w kolejności alfabetycznej odgadywanych wyrazów. Miejsce wpisu do odgadnięcia. Wszystkie litery N ujawniono. Litery z pól ponumerowanych od 1 do 25 utworzą końcowe hasło.

- konkurent Pumy i Reeboka
- wkładany przez głowę skafander z futra
- żydowski pisarz urodzony w Kutnie
- szansa, argument, zaleta
- krótki utwór muzyczny jak błahostka
- biurokratyczna, dźwięku lub energochłonna
- barwa stroju kobiety z powieści Wilkiego Collinsa
- Eleanor Roosevelt dla Theodore'a
- nieprzemakalna, mocna tkanina
- dawna jednostka masy
- zabawa taneczna w restauracji, kawiarni
- szczególna, wrodzona zdolność
- imitacja skóry
- Walt od filmów rysunkowych
- „…Rity", sztuka Russella i film Gilberta
- imię aktora grającego Chopina
- tatrzańska góra z krzyżem
- klin poszerzający rękaw lub dół sukni
- zbiór reguł opisujących system języka
- substancja do nasycania drewna, płótna
- przykre, zakłócające coś wydarzenie
- zarządza działem gospodarczym instytucji
- od butelek, gra się nimi
- żaba w stadium z ogonem
- dokument wydawany w pralni
- używana przez Tarzana
- kto je ma, ten chichocze od dotyku
- zastój, stan apatii
- burmistrz w Paryżu, Moskwie, Lwowie
- w tej koncepcji natura bytu jest jednorodna
- nielot z Ameryki Południowej
- płaskowyż znany z gigantycznych rysunków
- angażowana do opieki lub ktoś nadopiekuńczy
- potocznie o trzeciej zmianie
- dziewięciu instrumentalistów
- gra na nim ojciec Gabriel w „Misji"
- kwaśna przyprawa
- przyszywany tata
- ona widzi same pozytywy
- imię autora „Śmierci pięknych saren"
- stolica Kanady
- powołany do wojska
- od lekarza dla aptekarza
- układ o przerwaniu działań wojennych
- rozsądek, namysł przed działaniem
- spuścizna, spadek
- komplet połączonych mebli na jednej ścianie
- …powiatowe – urząd
- suchy, pękający owoc wielonasienny
- kardigan lub golf
- zakład przerobu drewna
- forma sprawdzianu lub antydopingowy
- …artystyczna – domena Eleonory Plutyńskiej
- do celu raz za razem
- „…Meduzy", obraz Géricaulta
- zespół z Markiem Piekarczykiem
- roślina z wąsami na poplon
- z cukrowni na paszę
- niepożądane zdarzenie z gwałtownym konfliktem
- wyratował z ciężkiej opresji

KUPON JOLKI „Przeglądu"

hasło: .....

.....

imię i nazwisko: .....

.....

adres: .....

.....

Ja, niżej podpisany(a), wyrażam zgodę na przetwarzanie moich danych osobowych przez Fundację Oratio Recta z siedzibą w Warszawie, ul. Inżynierska 3 lok. 7, 03-410 Warszawa, w celu niezbędnym do rozwiązania jolki w „Przeglądzie", opublikowania moich danych osobowych na łamach tygodnika w razie wygranej i przesłania mi nagrody. Oświadczam, że zostałem(am) poinformowany(a) o dobrowolności podania danych osobowych, o prawie wglądu do moich danych, prawie do ich poprawiania i usuwania.

data, miejscowość .....

czytelny podpis .....

Rozwiązania samego szyfru prosimy nadsyłać na adres redakcji w ciągu 14 dni od daty ukazania się numeru, z dopiskiem: „JOLKA-1243". Do rozlosowania książki „Wesele" ufundowane przez Wydawnictwo Powergraph. Rozwiązanie można też wysłać, pisząc SMS: KRPRZ.XXX.HASŁO KRZYŻÓWKI. Należy stosować litery, cyfry i kropki, wielkość liter nie ma znaczenia, w miejsce XXX wpisać numer krzyżówki. Osoby nadsyłające rozwiązania wyrażają tym samym zgodę na przetwarzanie ich danych osobowych. SMS-y należy wysyłać pod numer 72550 (płatny 2,46 PLN + VAT) do 19 października 2025 r.

Rozwiązanie „JOLKI-1240" z nr. 39: *Z małej winy wielkie lawiny.*
Nagrody otrzymują: Jadwiga Ciechanowicz z Dąbrowy Górniczej, Grzegorz Jóźwik z Legnicy, Jolanta Nowak z Bełchatowa.

eprasa.pl c0e04ea7c4

Ambasador, którego zapamiętamy

Thomas Rose ostatecznie został zatwierdzony przez amerykański Senat na ambasadora Stanów Zjednoczonych w Polsce. W drugim głosowaniu. Pierwsze miało miejsce w lipcu, lecz trzeba było je powtórzyć z powodu niedopatrzeń formalnych.

Głosowanie odbyło się w pakiecie, nad ponad stoma nazwiskami, i republikanie tę grupę przepchnęli stosunkiem głosów 51:47. Gwoli kronikarskiego obowiązku dodajmy, że poprzednicy Rose'a, Mark Brzezinski i Georgette Mosbacher, zostali zatwierdzeni przez aklamację. Tym samym kończy się okres kierowania ambasadą amerykańską w Polsce przez chargé d'affaires.

Rose jest człowiekiem z otoczenia Trumpa, wcześniej współpracował z Mikiem Pence'em. Fakt, że pracował ze „zdrajcą", nie przekreślił jego kariery, Rose nadrobił to wszystko, bo jak mało kto potrafi schlebiać Trumpowi. Na przykład stwierdzeniem, że Nagroda Nobla nie jest warta Trumpa, że najlepiej, gdyby ustanowił własną – bo byłaby największa na świecie.

Swoją nominację Rose zawdzięcza wstawiennictwu miliarderki Miriam Adelson, wdowie po magnacie kasynowym z Las Vegas Sheldonie Adelsonie, która zalicza się do największych darczyńców Partii Republikańskiej. Małżeństwo Adelsonów było znane z silnego poparcia dla Izraela.

Rose na ambasadora w Polsce został wyznaczony już w lutym. Dlaczego więc dopiero teraz zatwierdzono jego kandydaturę? Otóż nie jest on zawodowym dyplomatą. Przed objęciem placówki musiał więc do swojej roli zostać przygotowany. Te kilka miesięcy upłynęło mu na różnych szkoleniach dotyczących i działalności Departamentu Stanu, i Polski. W Ameryce te szkolenia to norma i są traktowane poważnie.

Jak poszło ambasadorowi? Przekonamy się, gdy zacznie działać w Polsce. To może być ciekawe, gdyż Rose jest dziennikarzem i komentatorem, pełnym energii i dalekim od dyplomatycznej powściągliwości. Przede wszystkim słynie z silnie proizraelskich poglądów. Pełnił m.in. funkcję wydawcy i szefa dziennika „Jerusalem Post".

Nic więc dziwnego, że podczas przesłuchania przed senacką komisją, po pierwsze, wyraził podziw dla Polski jako wzorowego sojusznika, a po drugie, zadeklarował, że będzie dążył do poprawy relacji między Polską a Izraelem. Mówiąc przy tym, że Polska jest niesłusznie obwiniana w Izraelu o współudział w Holokauście.

Będziemy zatem mieli w Warszawie ambasadora USA, który ma pracować nad tym, żeby stosunki Polska-Izrael układały się jak najlepiej. Ciekawe będzie przyglądanie się tym zabiegom. I temu, jak ambasador odpowie na pytania w sprawie ustawy 447.

Rose w Warszawie ma zamiar też się pilnować – tak deklarował przed senacką komisją – żeby być neutralnym i nie faworyzować żadnej strony polskiego sporu politycznego. Dodał przy tym, że jego relacje z polskim rządem i opozycją są doskonałe.

Z tym akurat trudno polemizować. Może nie z każdą opozycją jego relacje będą doskonałe, ale z tymi wielkimi na pewno. Jeśli chodzi o PiS i prezydenta Nawrockiego, to prześcigają się w pochlebstwach i odgadywaniu życzeń Trumpa. Ale Tuskowi i Sikorskiemu również zależy na łaskawym spojrzeniu zza oceanu.

Tyle teoria. Praktyka może być inna i jeszcze niejednego zaskoczy.

Attaché

Nektarnik karmi swoje pisklę. Bengal Zachodni, Indie.

FOT. SOLENT NEWS/EAST NEWS

eprasa.pl c0e04ea7c4

PENETRACJE

ZDANIE

PROF. ADAM DANIEL ROTFELD,
DYPLOMATA, BYŁY MINISTER SPRAW ZAGRANICZNYCH

Przyzwoitość – w moim życiowym doświadczeniu i przeświadczeniu nie jest taktyką ani praktyką. Jest cechą wrodzoną i nabytą w procesie wychowania oraz sposobem postępowania ludzi, których empatia, życzliwość i otwartość w relacjach z innymi wynika zarówno z ich genetyki i charakteru, jak też z cech nabytych w domu rodzinnym i szkole. Współodczuwanie jest potrzebą zarówno zrozumienia i wyrozumiałości dla ludzkich słabości, jak i solidarności z innymi ludźmi w potrzebie i cierpieniu, z ludźmi w niedostatku, uchodźcami i prześladowanymi ze względu na przekonania, rasę lub z jakiegokolwiek innego względu. Odczuwamy dziś w życiu publicznym deficyt tej zwykłej ludzkiej przyzwoitości, której sam byłem w różnych momentach swego życia beneficjentem. Mam w tej mierze dług trudny do spłacenia.

KRAKÓW

WIESŁAW UCHAŃSKI,
TWÓRCA WYDAWNICTWA ISKRY

Oczytanie to tylko jeden z elementów uczestnictwa w kulturze, nie dla wszystkich najistotniejszy, czasem może chronić przed szaleństwem, ale czasem – nawet nie tak rzadko – do niego prowadzić. Na przykład Waldorff mówił, że muzyka łagodzi obyczaje, ale czy zawsze? I tak możemy długo dywagować. Ważne jest stałe podnoszenie możliwości uczestnictwa w kulturze – w różnych jej obszarach. I to się u nas dzieje, może zbyt wolno – ale jednak. To wymaga czasu. A w sprawie decyzji ministerialnych? Potrzebna jest ustawa o książce, choć panaceum na wszystkie problemy czytelnictwa ona też nie będzie.

TYGODNIK POWSZECHNY

MAREK RABIJ,
REPORTER

Miliarderzy rzadko przyznają się publicznie do błędów. Canossą prezesa InPostu okazała się wieś Chlebnia pod Grodziskiem Mazowieckim, do której trafiła ostatecznie ta część dokumentacji kadrowej spółki Bezpieczny List, która cudem przetrwała kolejne zmiany właścicielskie. Brzoska sięgnął po te kwity, kiedy zażegnał ryzyko bankructwa, ale nadal ciążył mu wizerunek człowieka, który realizuje swoje cele bez oglądania się na konsekwencje. Aby przebrać się w nowy biznesowy garnitur szyty na miarę „rynku pracownika", który ku jego zaskoczeniu pojawił się w Polsce, prezes zaciągnął kredyt na zapłatę zaległych pensji pracownikom Bezpiecznego Listu. Nawet w 2019 r., kiedy bezrobocie w Polsce spadło w pobliże 5%, większość kurierów InPostu pracowała na umowach śmieciowych lub kontraktach firma-firma. Choć zdaniem prezesa nie było w tym niczego dziwnego.

na szczycie

KATARZYNA JUSZCZYK,
AUTORKA BLOGA „WSZYSCY JESTEŚMY NOMADAMI"

Rysy nie wybaczają lekceważenia, to szlak wymagający kondycji, dobrej pogody i rozwagi. Ale jednocześnie dają coś, czego nie da się zmierzyć wysokością ani czasem przejścia – to poczucie głębokiego spełnienia, górskiej wolności i zachwytu, który zostaje w człowieku na długo po zejściu w doliny. To jedna z tych tras, do których się wraca, nawet jeśli boli, nawet jeśli zmęczenie sięga granic. Bo widok z Dachu Polski, chwila ciszy i maksymalnego skupienia na przełączce, a nawet zwykły łyk herbaty przy Czarnym Stawie, to są momenty, które budują nas od środka. I choć nie uważam się za „dzika" (nie jestem z tych, co to wbiegają na szczyty, żeby tylko je zaliczyć), byłam na Rysach kilkakrotnie. Za każdym razem inne niebo, inny wiatr, inne myśli, inni ludzie. A jednak jedno pozostaje niezmienne: Rysy zawsze wymagają i zawsze dają coś w zamian.

FOT. SEKCJA GIMNASTYCZNA (2), PIC NA WODĘ FOTOMONTAŻ

eprasa.pl c0e04ea7c4

BRAKUJĄCE LITERY

W każdym rzędzie wstaw po 6 liter, tak aby odczytać trzy hasła – rozwiązania.

OPREGOOSSIĄWEZE

EBLATTUFAUBOICH

AŻYKROZOTAWAŚAD

ROZWIĄZANIA: OPORNEGO LOS SIĘĄ WLECZE, CEBULA TO TRUFLA UBOGICH, KAŻDY KROK ZOSTAWIA ŚLAD

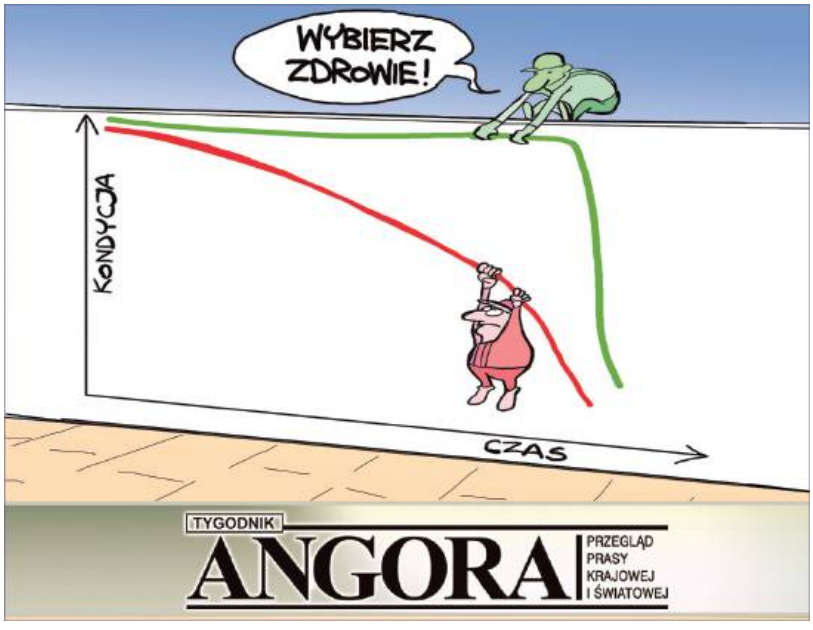

Aby język giętki…

WOJCIECH SMARZOWSKI O NAGRODACH
Mnie nagroda już nie zmieni. Nie będę robił ani lepszych filmów, ani gorszych. To młodzi potrzebują nagród, bo dzięki nim przestają być anonimowi.

DANIEL OLBRYCHSKI O KAROLU NAWROCKIM
Gdybym uczył studentów, jak grać człowieka fałszywego, powiedziałbym: popatrzcie, jak chodzi i mówi, jak uśmiecha się Nawrocki.

LESZEK MILLER O PAWLE KOWALU
Należy do czołowych eksponentów banderowskiej narracji. Relatywizuje i usprawiedliwia władze ukraińskie.

RAFAŁ KALUKIN O SZYMONIE HOŁOWNI
Osobista popularność bywa w polityce zabójczą chimerą, która osłabia zmysły i wiedzie ku upadkowi.

PROF. ANDRZEJ K. KOŹMIŃSKI O PRZESĄDACH
Symbolem tego zjawiska jest powołanie fanatycznego antyszczepionkowca na stanowisko sekretarza zdrowia USA.

KUBA BADACH O TEŚCIOWEJ JOLANCIE KWAŚNIEWSKIEJ
Świetnie się uzupełniamy w pracach domowych, w sprzątaniu. Nie lubię, podobnie jak ona, gdy jest nieporządek.

KAROLINA GRUSZKA O BRAKU POROZUMIENIA
Czasami po drugiej stronie jest taki blok, zaciekłość, nienawiść albo ignorancja, że nie da się nawet zacząć rozmowy.

JULIA PIETRUCHA O STRESIE
Jestem introwertyczką i nieśmiałą osobą, która zdobywa siłę dopiero, kiedy wchodzi na scenę.

ADRES REDAKCJI
03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7
Telefony +48 22 635 84 10,
+48 503 158 795, 503 159 027
fax +48 22 635 84 10 wew. 119
przeglad@tygodnikprzeglad.pl
listy@tygodnikprzeglad.pl

tygodnikprzeglad.pl

Redaktor naczelny: Jerzy Domański j.domanski@tygodnikprzeglad.pl
Pierwszy zastępca redaktora naczelnego: Paweł Dybicz
Zastępcy redaktora naczelnego: Roman Kurkiewicz, Robert Walenciak
Sekretarze redakcji:
Agata Gogołkiewicz a.gogolkiewicz@tygodnikprzeglad.pl
Marzena Michałek m.michalek@tygodnikprzeglad.pl
Zastępca sekretarza redakcji: Aleksandra Pańko
Koordynator do spraw wydawniczych: Ilona Morżoł i.morzol@tygodnikprzeglad.pl
ZESPÓŁ I WSPÓŁPRACOWNICY:
Marek Czarkowski, Regina Dachówna, Jakub Dymek, Beata Dżon-Ozimek, Jakub Katulski, Leszek Konarski, Marek Książek, Helena Leman, Mateusz Mazzini, Tomasz Miłkowski, Jan Ordyński, Jacek Pałkiewicz, Rafał Pikuła, Maciej Polkowski, Eliza Sarnacka-Mahoney, Michał Sobczyk, Małgorzata Szczepańska-Piszcz, Bronisław Tumiłowicz, Krzysztof Wasilewski, Kornel Wawrzyniak, Andrzej Werblan, Elżbieta Wojtalik-Soroczyńska, Daniel Wójtowicz, Artur Zaborski, Beata Znamirowska-Soczawa
Stali felietoniści: Stanisław Filipowicz, Tomasz Jastrun, Wojciech Kuczok, Bronisław Łagowski, Andrzej Romanowski, Andrzej Szahaj, Jan Widacki,
Rysownicy: Grzegorz Bąkowski, Kain May
Studio graficzne: Dorota Markowska-Burbelka, Anna Rosiak, Daria Słowińska-Kettner
Dyrektor artystyczny: Izabela Mierzejewska
Fotoedytorzy: Magdalena Głuska, Rafał Pyznar
Fotoreporter: Krzysztof Żuczkowski
Dział wydawnictw i reklamy:
Dyrektor: Anna Banaszek a.banaszek@tygodnikprzeglad.pl
Koordynator do spraw promocji i reklamy:
Joanna Biegalska j.biegalska@tygodnikprzeglad.pl
Dział kolportażu: tel. +48 22 635 84 10 wew. 120
e-mail: kolportaz@tygodnikprzeglad.pl
Wydawnictwa książkowe: tel. +48 22 635 84 10 wew. 111
e-mail: sklep@tygodnikprzeglad.pl
Sprzedaż elektroniczna: sklep.tygodnikprzeglad.pl

Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych, zastrzega sobie prawo do opracowywania i skracania tekstów. Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada. Redakcja ma prawo do odmowy publikacji ogłoszeń.
Wszelkie prawa zastrzeżone. Rozpowszechnianie artykułów opublikowanych w „Przeglądzie" bez zgody wydawcy jest zabronione. Przedruki po uzyskaniu zgody wydawcy.
Sprzedaż numerów aktualnych i archiwalnych po cenie niższej od ustalonej przez wydawcę jest nielegalna i grozi odpowiedzialnością karną.

Druk: Quad/Graphics Europe Sp. z o.o.
07-200 Wyszków, ul. Pułtuska 120

WYDAWCA: Fundacja Oratio Recta
03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7
NIP: 951-19-67-251, **REGON:** 016275090
KOD SWIFT: WBKPPLPP, **IBAN:** PL
Nr konta: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821

FUNDACJA ORATIO RECTA

eprasa.pl c0e04ea7c4

ARCANA FABULARUM

TAJEMNICE ZAPOMNIANYCH BAŚNI

Spacer

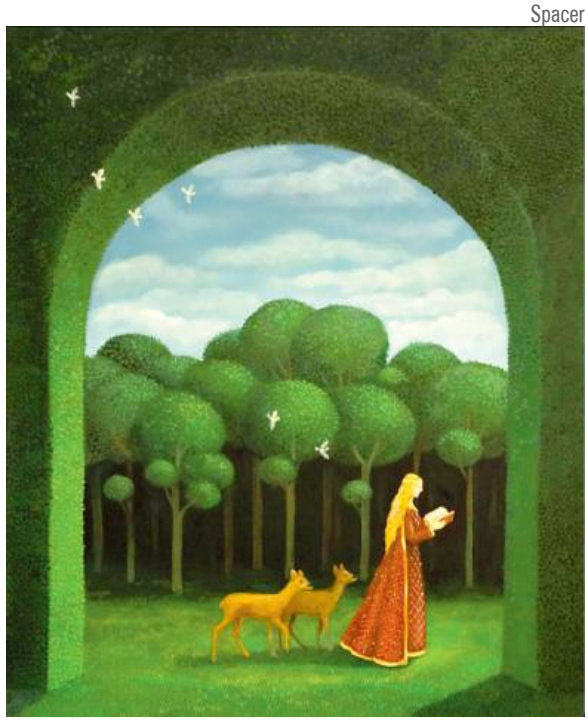

Dama

Malwina de Bradé zaprasza widza do świata, w którym sztuka quattrocenta splata się z baśniową fantazją. Jej obrazy przypominają iluminowane karty dawnych ksiąg – połyskują złotem i nasycone są barwami. Odwołując się do tradycji ilustracji, artystka tworzy własny, oryginalny język malarski. Pełne symbolicznych znaczeń sceny mają charakter niemal teatralny – światło wyodrębnia główne postacie, a pejzaże stają się tłem dla metaforycznych opowieści.

Salon Goldenmark
Wrocław, ul. Legnicka 56
do 23 października

Mądrość

Krucza ballada

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl c0e04ea7c4

WSPIERAJ DZIECIŃSTWO MOCY BEZ PRZEMOCY

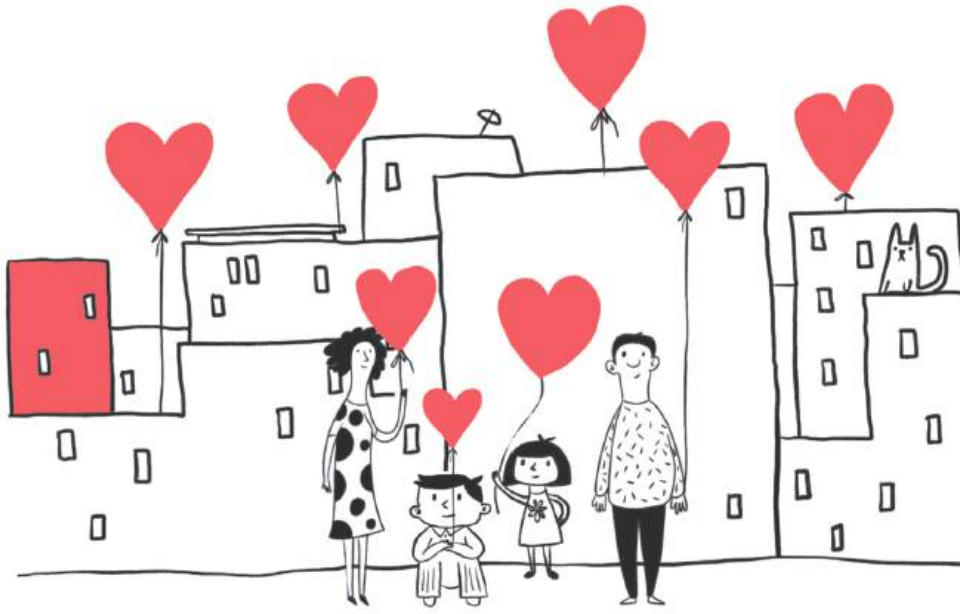

DZIECIŃSTWO BEZ PRZEMOCY

dziecinstwobezprzemocy.pl

FUNDACJA DAJEMY DZIECIOM SIŁĘ

WSPÓŁORGANIZACJA:

Krajowa Koalicja na Rzecz Ochrony Dzieci

PARTNER GŁÓWNY:

Rzecznik Praw Dziecka

FINANSOWANIE:

Fundusz Sprawiedliwości

Ministerstwo Sprawiedliwości

Sfinansowano ze środków Funduszu Sprawiedliwości, którego dysponentem jest Minister Sprawiedliwości

PATRONAT HONOROWY: Marszałek Sejmu RP Szymon Hołownia, Marszałkini Senatu RP Małgorzata Kidawa-Błońska, Sekretarz Stanu w KPRM Katarzyna Kotula

PARTNERZY:

NFZ

KCPU Krajowe Centrum Przeciwdziałania Uzależnieniom

PKDP

LIBRUS wspieramy oświatę

LIDL

ClickMeeting

PATRONAT MEDIALNY:

100 LAT POLSKIEGO RADIA

TVP

GAZETA.PL

naszemiasto.

ngo.pl

eprasa.pl c0e04ea7c4

STING 3.0

24 CZERWCA
OPERA LEŚNA, SOPOT

BILETY: TICKETMASTER.PL / LIVENATION.PL

STING.COM

LIVE NATION

OPERALEŚNA
Powered by Energa

CHERRYTREE MUSIC COMPANY

eprasa.pl c0e04ea7c4